

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 3 (57) • 2024



Darczyńcy Kwartalnika Prowincja

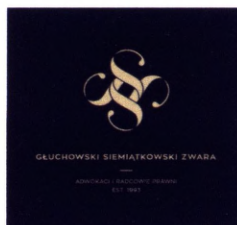


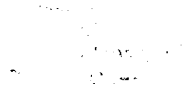
WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2024 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One





PROWINCJA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

Nr 3 (57)

2024

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji
Piotr Napiwodzki
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy

Krzysztof Czyżewski, Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski

Projekt okładki

Mariusz Stawarski

Str. III i IV

Prace plastyczne Mileny Wiśniewskiej

Skład komputerowy i przygotowanie do druku

Ewa Krefft-Bladoszewska

Druk

Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81–574 Gdynia

Wydawca

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82–400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
provincia@onet.pl, www.provincia.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury oraz Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca, w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19
Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy:
Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082–0291
www.provincia.com.pl
Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Pięćdziesiąta siódma „Prowincja”	5
Poezja	
Alfred Kohn.....	6
Proza	
Janusz Ryszkowski – Głodne kawałki	13
Sylwia Kubik – Odyseja żuławska	17
Krzysztof Marcinkowski – Bursztynowe powidoki	24
Esej	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	28
Na tropach historii	
Grażyna Nawrońska – Dawne ratusze.....	34
Ryszard Rząd – O etnografie z Wilczych Błot.....	43
Arkadiusz Wełniak – <i>Przed tutejszym urzędnikiem stanu cywilnego stawił się dzisiaj...</i> Organizacja i działalność Pruskiego Urzędu Stanu Cywilnego w Sztumie w 150 rocz- nicę jego powołania.....	52
Wędrowki po prowincji	
Alicja Łukawska – Żuławskie opowieści	57
Wiesław Olszewski – Wojna o depresję w cieniu wież triangulacyjnych.....	70
Bartosz Marguardt – Odkrywamy tajemnice zespołu dworsko-parkowego z folwarkiem i wsią w Cieszymowie. Część 1: Gross Teschendorf.....	77
Wspomnienia	
Andrzej Kasperek – Mensch. Wspomnienie o Alexie Dancygu.....	89
Yael Barzilai – Kamienie pamięci dla Nanny Krombach	100

Prowincje bliskie i dalekie

Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (23)	106
Marek Suchar – Ulica Proroków	113
Piotr Opacian – Szetlandzkie różności.....	123
Arkadiusz Welniak – Wyspa Bogów. Islandia okiem Kociewiaka	130

Muzyka

Wacław Bielecki – Zapiski melomana	148
--	-----

Galeria Prowincji

Marzę o stworzeniu w Przechmaru domu pracy twórczej – z Mileną Wiśniewską rozmawia Agnieszka Świercz-Karaś.....	161
Piotr Napiwodzki – Patronka Dzierzgonia i jej wizerunki – podsumowanie	164

Czego ci matka nie powie...

Paulina Hoppe-Gołębiewska – Magia wieczornego czytania: odkrywanie świata książek z dziećmi.....	168
--	-----

Recenzje

Alicja Łukawska – Nowy Staw we wspomnieniach	171
Beata Langowska – Głodne kawałki	173

Noty o autorach	175
------------------------------	------------

PIĘĆDZIESIĄTA SIÓDMA „PROWINCJA”

Mariusz Stawarski gustownym czajniczkim zdaje się zapraszać nas na jesienną herbatkę, a my do tej herbatki przygotowaliśmy specjalne treści kolejnego numeru naszego kwartalnika.

Z kolejną dawką poezji wraca do nas Alfred Kohn, a Sylwia Kubik dzieli się z nami fragmentami kolejnej książki, tym razem z wojennego i powojennego Miłoradza (Mielenz). Ponadto opowiadanie Janusza Ryszkowskiego i debiutującego na naszych łamach Krzysztofa Marcinkowskiego.

Andrzej C. Leszczyński o idei uniwersytetu, ciekawości i profesorach, między innymi o Marii Osowskiej. Grażyna Nawrońska przypomina dawne ratusze na Żuławach i Powiślu, z nostalgią, bo wiele z nich już nie istnieje. Ryszard Rząd przedstawia sylwetkę Aleksandra Treichela, etnografa z Wilczych Błot. Arkadiusz Wełniak zagląda do Pruskiego Urzędu Stanu Cywilnego w Sztumie, w 150 rocznicę jego powołania. Alicja Łukawska zbiera kolejne opowieści żuławskie, tym razem swoją bohaterkę, Halinę Ziemińską, odnajduje w Zwierznie i kreśli jej syberyjskie losy. Bartosz Marguardt kontynuuje swoją opowieść o rodzinnej wsi Cieszymowo, w gminie Mikołajki Pomorskie, a Wiesław Olszewski próbuje rozstrzygnąć, gdzie na Żuławach znajduje się największa depresja.

Andrzej Kasperek przywołuje sylwetkę Alexa Dancyga z Izraela, dzięki któremu zgłębiał, wspólnie z innymi polskimi nauczycielami, historię stosunków polsko-żydowskich i umiejętność nauczania o Holokauście. Dancyg był przyjacielem wielu Polaków i miłośnikiem polskiej literatury. W ubiegłym roku został uwięziony przez Hamas i zamordowany. Z kolei pamięć innej Żydówki, Nanny Krombach, która przed wojną mieszkała z rodziną w Sztumie, przywołuje jej prawnuczka Yael Brzilai. Nanny została zamordowana w Treblince, a jej pamięć została uczczona w Berlinie tzw. kamieniem pamięci.

W nieco bardziej odległe prowincje wiodą nas kolejni autorzy. Marek Suchar do Jerozolimy, Piotr Opacian na Szetlandy, Arkadiusz Wełniak na Islandię, a Krzysztof Czyżewski w różne geograficzne i literackie strony.

Agnieszka Świercz-Karaś prezentuje twórczość plastyczną Mileny Wiśniewskiej (także na III i IV stronie okładki), która na realizację projektu ilustracji do sztumskich legend uzyskała stypendium sztumskiego starostwa. Piotr Napiwodzki podsumowuje swoją opowieść o wizerunkach świętej Katarzyny Aleksandryjskiej, patronki Dzierzgonia. Wacław Bielecki niestrudzenie wędruje dla nas w poszukiwaniu doskonałych dźwięków, między innymi do Warszawy, Fromborka, Elbląga, Waplewa, Gdańska, a także bliskich Stążek, a Paulina Hoppe-Gołębiowska zachęca do czytania dzieci i z dziećmi.

Jesień z naszymi tekstami z pewnością nie będzie nudna. Zapraszamy do lektury.

Leszek Sarnowski

Redaktor Naczelny Kwartalnika „Prowincja”

Alfred Kohn

MAKÓW

i cóż mi jeszcze ofiarujesz miasto
oprócz zimna betonu
którym zapełniasz
swoją przestrzeń

spod betonowych płyt
nie wyrosną róże
sadzone kiedyś
przez „Filipinki”¹
nie usłyszę śmiechu dzieci
bawiących się w piaskownicy
i rycerzy walczących na drewniane szable
w Rynku

i cóż mi jeszcze ofiarujesz miasto
oprócz zmywy milczenia

nie odwracam
się plecami od ciebie
choć ty
odwróciłeś się ode mnie

wędruję wspomnieniami
do miejsc dzieciństwa
gdy na dzwonnicy kościelnej
zegar
odmierzał czas

¹ Filipinki – tak nazywano kobiety, które opiekowały się zielenią miejską.

katechetka Genowefa
tarmosiła mnie za uszy
gdy zapominałem Ojczy Nasz

a ksiądz Gościński
egzaminował z wiary przed I Komunią

Pan Bóg
był wtedy na wyciągnięcie ręki
prowadził mnie swoimi ścieżkami

ale zbłądziłem
gdy umierał ojciec

dzisiaj stąkam po betonowym Rynku
rozmyślam o tych co byli
a co już po tamtej stronie...

wierszami powracam do źródła

czy ocalę
w sobie
te niezdarne słowa

X X X

wiem
że każdego dnia
coraz trudniej

ale chciałbym jeszcze
– choć na chwilę –
nie oglądając się
za siebie

odkurzyć skrzydła fantazji
poczuć wiatr młodości
i wzbić się do lotu
w przestrzeń chmurną i durną
w poszukiwaniu straconego czasu

ocal mnie
Panie
od losu Ikara

X X X

kiedys
wszyscy spotkamy się w tym miejscu
bogaci i biedni
mądrzy i głupcy
dobrzy i źli
piękni i brzydki
szczęśliwi i nieszczęśliwi
wierzący i niewierzący
spełnieni i rozczarowani...

przysiadłem na ławce
przy grobie matki i ojca

cisza

tylko od czasu do czasu
wiatr
pozwala ostatnim liściom
spaść z drzewa

ileż w tym poezji i filozofii

żyć
prawdziwie w stosunku do samego siebie
to tyle i aż tyle
by ktoś nas spamiętał

Maków Mazowiecki, 30 września 2023

XXX

już nigdy
nie będzie tak jak dawniej

nic nie gasiło pragnienia
bardziej
niż spieniony różowy napój
spijany z lepkiej szklanki
saturatora
obsługiwanego przez panią G.

nic nie przynosiło ulgi od upału
bardziej
niż kąpiele na Sadochach i Turbinie

nic nie przynosiło dreszczu emocji
bardziej
niż kradzież jabłek z sadu państwa K.
podglądanie zakochanych par na Grzance
i pogoń psa „Czarka” pana K.
za nami – łobuziakami
w parku za mostem

nic nie smakowało
bardziej
niż chleb umoczony w wodzie
posypyany cukrem

chodząc ulicami wspomnień
oglądam się za siebie
jak mały zagubiony chłopiec

X X X

B.B.

jeśli wierzysz w miłość
obejmij mnie nią mocno
tak mocno
bym poczuł
drgnienie
zdrętwiałego
serca

X X X

moje dzieciństwo
to zapach chleba
z piekarni Dobrzyńskich

to smak
mleka od krów pani Łojek
i lodów od Krukowskiej

to wyścigi na kapsle
zabawy w „Rudego – 102”
podwórkowy palant
i mecze w piłkę kopaną

moje dzieciństwo
to zabawy w chowanego na strychu
najlepszą kryjówką
były trumny robione przez mojego chrzestnego
– Jana Wolskiego

moje dzieciństwo
to sąsiedzkie rozmowy na schodkach
przed domem
jak echo powracały wspomnienia o wojnie
których wtedy nie rozumiałem

jak przez mgłę
widzę na podwórku

dziada ze starzyzną
donośnie wołającego
„szm-aaaty skupuję, szm-aaaty!”

a innym razem
chłop
o wysuszonej twarzy
zaciągający się „Sportem”
ostrzył noże i nożyczki

dźwięk
młotka walącego
w blachę na wózku z kołowrotkiem
kamienia szlifierskiego
– mam do dzisiaj w uszach

po domach chodzili domokrażcy
sprzedający kiczowate obrazy Świętej Rodziny
przyjmujący zamówienia na monidła

w środę
nawet za cenę wagarów
chodziłem na jarmark
gdzie można było kupić mydło i powiodło
posłuchać pocztówkowych szlagierów Szczepanika i Laskowskiego
odtworzanych na Bambino

matka kupowała mięso
w Taniej Jatce pani Ciak
z którego robiła najlepszy na świecie
smalec z cebulą

w drodze do domu
zaglądałem do kuźni Otłowskiego
podkute konie rżały ze szczęścia
a ich właściciele opijali
jarmarczne interesy

na Rynku przy fontannie
cyganki za „co łaska”
wróżyły przyszłość
z kart
nie jeden ciekawski

wrócił do domu
goły i wesoły

moje dzieciństwo
to ciepło dłoni
Matki
które chroniło mnie przed złem

patrzę na córkę
wpatrzoną w nowego smartfona
jak w obrazek
surfującą w sieci

i nawet nie próbuję
jej przekonać
że dzieciństwo
miało kiedyś lepszy posmak

X X X

wiosną
pierwszego bociana
zobaczyłem
w locie

ten rok
będzie dla mnie
podniebnołotny
– pomyślałem

lubię pozytywne
przesady

Janusz Ryszkowski



GŁODNE KAWAŁKI¹

Kupiłem płytę. Zachrypniętego Armstronga. Na okładce Louis jak spod igły. Włączam gramofon. I gdyby nie sfatygowana igła, pewnie nie przypomniałbym sobie paru spraw z przeszłości. Na przykład? Największego muzyka jazzowego, jakiego znałem osobiście. Tak, tak. Dzierżysław Roger-Rygielski był moim bardzo dobrym znajomym. Właściwie wzorem innych powinienem napisać: „przyjacielem”. Ale chce być maksymalnie szczery. Nigdy go nie lubiłem, a jakoś zmuszony byłem tolerować. Robił mi głupie kawały. I skłócił z dziewczyną. Pożyczał pieniądze. I z musu od zwraca. Oddawał mocz obok pisuaru. Rozpowiadał w akademiku, że to moje malarskie dzieło.

Kochał do nieprzyzwoitości Armstronga i wszystkie dziewczyny, które akurat nie miały okresu. Kiedyś po coś do niego poszedłem, do legendarnego już wtedy pokoju 1306. Na podłodze wałały się płyty. On szwendał się nagi po pokoju, szukając czegoś.

– Nie wiesz, gdzie to może być? – spytał. Nie załapałem, o co chodzi. – No, gramofon – wydarł się potwornie. – Szukam gramofonu, ty tytule powieści Dostojewskiego. W tej chwili wszedł jego współlokator Marek, niosący samograję. Zanim wysunęły się dwie dziewczyny. Na widok nagiego chłopaka zachichotały. – Z czego rżycie, klaczki? Każdy może zapomnieć, że pożyczył gramofon – wciągał spodnie na gołe ciało.

Odezwała się złota trąbka Luisa. – Skoro nie wyszedłeś, to zostań – Roger zwrócił się do mnie. – Bez krępacji – ciągnął z szelmowską miną. – Pieprzyć będziemy się po przesłuchaniu płyty kolejnej płyty. Zdażysz wyjść po angielsku.

Nigdy nie wiedziałem, kpi czy o drogę pyta? Popijaliśmy mocną herbatę, zagryzając ciepłymi bułkami wprost z piekarni po sąsiedzku, z nocnej zmiany. Nigdy nie zdradzili, jak to robią, że nie mając grosza przy duszy niemal codziennie je stamtąd przynosili. Przyglądałem się dziewczynom. Jedna była laską Marka. Roger z niego pokpiwał, że jest żywym przykładem na to, że piękne kobiety są dla facetów bez wyobraźni. Dziewczyna nie grzeszyła urodą, to fakt, ale może dla Marka, nie miało to znaczenia. Dostrzegaliśmy w niej coś, czego inni nie widzieli.

Śpiewał Armstrong. Zastanawiałem się, czy druga dziewczyna wylądowała w silnych ramionach Rogera. Teraz podrygiwała rytmicznie, miała lekko przymknięte oczy. Wcześniej jej nie widziałem, musiała być z miasta. Wyciera wszystkie łóżka w okolicy, pomyślałem.

Gdy igła w gramofonie z trzaskiem wróciła na dawne miejsce, wstałem i rzuciłem „No to cześć”. Dziewczyna nie została, wyszła ze mną. Roger był wyraźnie tym zawiedziony.

¹ Fragment nowego zbioru opowiadań Janusza Ryszkowskiego *Głodne kawałki*.

Że poszukiwał kamienia filozoficznego, to jeszcze nic o nim nie mówi. Znakomicie grał na gitarze, cudownie szarpał nerwy. A ta sprawa z Lilką – Musiałem ją zerznąć – publicznie się przechwalał – bo ma najśmieszniejsze nazwisko, jakie w życiu spotkałem. Jak je wymówię, nawet teraz, czuję taką niesamowitą chuć. He, he, zna się dzieła Stanisława Przybyszewskiego, nie, głąby kapustne?

Kiedy jedna z jego licznych partnerek zaszła w ciążę, pożyczył u znajomych pieniądze i wysłał dziewczynę prywatnie do ginekologa, szczegółowo wyjaśniając jak tam trafić, z dwoma biletami na autobus miejski. Lilka przestała się z nim spotykać, ale nadal wspierała finansowo. Kaprys jedynaczki, najlepszej studentki na roku, trudno było sobie racjonalnie wytłumaczyć. Roger miał proste wyjaśnienie: ślepy instynkt, kobieta jest zwierzęciem, im ją gorzej traktujesz, tym bardziej się do ciebie przywiązuje, ofiara nie może żyć bez swojego oprawcy.

Właśnie leciał ten standard „Royal garden blues”. Roger spoglądał na mnie szelmowsko. – Ty, stary – cedził niedbale przez zęby – jesteś przebrzydłym konformistą. Chodzisz regularnie na obiady, przytakujesz, że smaczne, dobre, choć masz po nich wzdęcia. Wstydzisz się pierdnąć...

– Przesadzasz – próbowałem obrony.

– Mam ci to dokładniej wyłożyć? No, może na pocieszenie powiem ci, że jestem od ciebie większym sukinsynem, ale to naprawdę marna pociecha.

Roger zdał maturę wieczorowo. Miał świetne pochodzenie (klasa robotnicza), dzięki temu dostał dodatkowe punkty przy przyjęciu na studia. Wyleciał jednak szybko, potem wojsko (biegiem marsz), praca w domu kultury jako muzyk. Koledzy z zespołu, który działał w uczelni, namówili go, by przedłużył sobie młodość i wrócił na studia.

Szybko stał się gwiazdą studenckiej estrady. Być w jego kręgu coś towarzysko znaczyło. Zupełnie nie wiem, jak tam trafiłem.

– Kobiety nigdy nie potrafiły zrozumieć mnie do końca – ciągnął któregoś wieczoru swój fragment monologu na scenie. – No chyba, że za koniec uznać penis.

Dziewczyny chichotały, niektóre wstydliwie. Żenada. Jak wtedy, gdy wpadł do mojego pokoju, lewitując od alkoholu. Mamrotał coś pod nosem. Podszedł do stolika i wziął do ręki leżące akurat tam zdjęcie, na którym byłem z Alicją. Podarł je, śmiejąc się szaleńczo. Ala miała potem do mnie pretensje, że nie obilem mu mordy.

Przyszedł następnego dnia. „Stary, chyba wczoraj przesadziłem. Nie wiem dokładnie co, bo nie tylko u ciebie...”. To było nie w jego stylu. – Ok, nie ma sprawy – zbagatelizowałem.

– Zapraszam ciebie z Alicją na premierę kabaretu. Wejściówki będą na was czekać. Przyjdźcie koniecznie – dodał normalnym tonem.

Poszedłem jednak sam. Cały program mógł się podobać. Trochę kalamburów – obszczyburów, aluzji do obecnej sytuacji politycznej, parodiowanie celebrytów. I melodyjne piosenki, do których muzykę napisał Roger z niegłupimi tekstami.

– Może ty napiszesz nam parę jajecznych tekstów – zapytał, nawiązując z tego, że w uczelnianej gazecie zamieściłem reportaż o praktykach studenckich w zakładach drobiarskich. – Umiesz robić jaja.

W stołówce Roger pojawiał się punktualnie o trzynastej. Bez kolejki zabierał w okienka talerz zupy. Połykał ją łapczywie z kawałkami chleba. Właściwy posiłek pałaszował przed

zamknięciem stołówki. Kucharki dawały mu drugie danie, mimo że nie miał wykupionego abonamentu. Miał na nie magnetyczny wpływ.

– Kurwa – zagadnął mnie kiedyś przy mielonym. – Czytałeś „Dzienniki” Gombrowicza? Prawda, ty znasz tylko sygnał wiadomości rządowej telewizji. – Tym jesteś karmiony. Wpadnij do mnie, to ci kawałki poczytam. Kiepski druk, a ty już słabo widzisz.

Czy można go było traktować na poważnie? Alicja z z troskaniem przeglądała szafę. – Cholera, chyba nic się nie nada – mówiła jakoś tak. – Ty oczywiście nic nie wiesz. Roger się żeni. Jak to z kim. Nie ze mną i nie z tobą przecież. Z Elką.

To była sensacja. No nie w tym, że jakaś dziewczyna z nim zaciążyła. Roger małżonkiem, no nie.

– Nic dla niej z tego nie pasuje – przejęła się. – Wreszcie może trafił na swoją? Kto tam wie? Elka musi urodzić, za późno... Alicja była jedną z kilku psiapsiótek, które organizowały ciuchy dla przyszłej pary młodej. – Może twoja marynarka by pasowała? Jednak nie, Roger musi jakoś wyglądać, reprezentacyjnie.

Oczywiście, byłem na tym ślubie. Podejrzywałem, że to będzie kolejna farsa, którą Roger zainscenizował. Podobnie tłum gapiów, którzy zapelnili dużą salę Urzędu Stanu Cywilnego. Wszystko jednak odbyło się z należytą powagą. Ktoś pokazał starszą kobietę, że to niby jego mama. Co chwila sięgała po chusteczkę.

W sobotnie popołudnie powlokłem się samotnie (Alicja wtedy już została wymazana z mojego życia, to osobny temat) do klubu Piekiełko. Dopadły mnie pytania z tych najważniejszych, przywoływałem na pomoc Lacana, Levinasa, Lakatosa, albo innych facetów na literę L., wyłączając Lenina. Może przez to mało nie połamałem nóg na krętych i słabo oświetlonych schodkach do Piekiełka. Rozejrzałem się, żadnych znajomych. Z przeciwległego kąta, tego dla artystów, kiwnął do mnie Roger. Cóż było robić, zaryzykowałem.

– Słyszałem o tobie bardzo brzydkie rzeczy – rzucił na powitanie. – Siadaj, pogadamy. Lubię ludzi na poziomie, ostatecznie możesz być i ty. Tym razem bez Alicji? To niespodzianka. Zawsze zastanawiałem się, jak ktoś taki jak ty mógł poderwać taką babkę z klasą... Chyba jednak przejrzała na oczy.

Nie miałem ochoty tego dalej słuchać. Wstałem, ale Roger chwycił za rękę. – Słyszałem o tobie naprawdę straszne rzeczy – beczelnie się uśmiechał. – Siadaj – mocno pociągnął. – Postawię ci piwo.

Przyniósł dwie butelki Grunwaldzkiego.

– Podobno już napisałeś magisterkę? Przytaknąłem.

– I po co tak się spieszyć w ten syf...?

Nie chciałem wyjaśniać Rogerowi, że mój promotor obiecał mi staż. Musiałem tylko szybko obronić pracę. Nie miałem jakoś nastroju do dalszych rozmów. Roger chwycił gitarę. Zagrał kilka kawałków. – Wiesz, co się w życiu liczy najbardziej? – spytał zaczepnie. – Pizza i zimne piwo. Gdybyś pisał doktorat o wartościach młodego pokolenia, możesz to zacytować.

Znowu Armstrong. Koncert z 1951 roku. Urodziłem się kilka lat później. Jestem dzieckiem października. Raczej bękartem. Ale to wina okoliczności. Tak. Przede wszystkim. Zostawmy to jednak.

Armstronga słuchaliśmy z Alicją u Rogera. Znowu byliśmy razem. Jeśli się powtarzam, to przepraszam. „I got ideas” – dolatywało z głośników gramofonu. Miałem już prawie wszystko poukładane. Pokoik w hotelu asystenckim, małżeństwo, pisanie doktoratu. Popijaliśmy grzańca. Dusza rwała się do nieba. Potem doszło do kłótni z Alicją. Robiło się późno, ona nalegała, aby jeszcze zostać. Posłuchać nowej Ewy Demarczyk. – Rób sobie, co chcesz – powiedziałem. I poszedłem. Po drodze wyobrażałem sobie, że wyprawiają Bóg wie co. Roger nie przestał mnie prześladować.

Starszy asystent mojego profesora odwiedził mnie w akademiku. Pisaliśmy razem komunikat z badań. Zbliżała się jakaś sesja naukowa, miałem się pokazać.

– Będę szczery – Leszek, ten starszy asystent był wyraźnie zakłopotany. – Jest taki układ. Stary może zostać dziekanem. Wtedy wzrosną twoje, nasze akcje.

– Ale co ja mam do tego? Nie mianuję dziekanów.

Roześmiał się. Strategia była prosta – na zebraniu z udziałem władz politycznych, u których obecny dziekan miał krechę, miałem w odpowiednim momencie dyskusji umiejętnie zwrócić uwagę, że na postawy studentów duży wpływ wywierają osobowości naukowców. Rzucisz przykłady z waszego seminarium. Wszyscy ciężko harują, w terminie bronią prace. A u dziekana przeważają osobniki w rodzaju Rogera.

– Nie podoba mi się ta zagrywka – powiedziałem szczerze. Zgasił mnie szybko.

– Jeśli chcesz całe życie podawać tylko piłki, to bardzo proszę. A tej rozmowy nie było, pamiętaj. Wszystkiego się wyprę.

Złota trąbka Luisa pobrzmiwa. Dostaliśmy z żoną bilety od teścia na jakieś estradowe występy. Nawet nie chciałem iść. Ale Krystyna nalegała. – Rzadko wychodzimy...

Feria kosmicznych światel. Nagle wśród artystów dostrzegłem Rogera. Wykonywał te swoje głodne kawałki najlepiej na świecie. Był błaznem z klasą. Ja jestem błaznem z zarzuconym doktoratem. Uczę w liceum odróżniać Platona od Plotyna, a to wszystko od platyny. Jakoś nie odważyłem się pójść za kulisy, po latach przywitać się z moim, no właśnie, kim...

Teraz jednak po kilku drinkach, gdy kończy się płyta Armstronga, mam chęć pobiec pod dawny akademik i czekać aż z któregoś okna wybuchnie Rogerowy śmiech. Przyłączę się i ten duet przejdzie może do historii muzyki.

– Wycisz to – prosi żona. Nie mogę.

Sylwia Kubik



ODYSEJA ŻUŁAWSKA

T. 1

UCIECZKA Z MIELENZ

(FRAGMENTY)

Na żuławskiej wsi życie toczy się leniwie, wyznaczone mijającymi porami roku. Dwa kościoły, wygrywające dzwonami naprzemienny rytm, nawołują wiernych na nabożeństwa, majestatycznie wierzby szumią kojąco, a przetykana promieniami słońca mgła snuje się leniwie nad Nogatem i uprawianymi w pocie czoła żyznymi polami. Niespodziewanie jednak tę sielską scenerię owiewa wiatr zmian. Kawalkada wojskowych samochodów i liczne wybuchy rozlegające się wokół Danzig zwiastują, że po raz kolejny nadnogackich ziem nie ominą dziejowe zawirowania.

Wkrótce codzienność pozornie wraca do normalnego biegu, jednak nie tego znanego, lecz naznaczonego obecnością jeńców wojennych, którzy zastępują w gospodarstwach młodych chłopców powołanych na front. Gdy z kościelnej ambony padają słowa: „Szykujcie się do ucieczki!”, mieszkańcy wpadają w popłoch. Nie rozumieją, dlaczego mają zostawić swoje domy i ziemię, wszystko, co kochali i własnymi rękami wypracowali. W mroźną styczniową noc wsiadają na wozy, biorąc tylko to, co koń zdoła unieść, i uciekają, zostawiając za sobą całe dotychczasowe życie. Rozpoczyna się podróż w nieznaną, naznaczoną bólem, cierpieniem i niepewnością, ale i nadzieją odyseja żuławska...

W cieniu dawnej wozowni pod stuletnią rozłożystą wierzbą na bujanym fotelu siedzi postawny mężczyzna o kędzierzawych siwych włosach, które, choć miejscami się przerzedziły, wciąż są bujne i dodające uroku.

Wszystko spowija zapach kwitnącego rzepaku, który niczym żółte morze okala całą wioskę. Słychać brzęczenie pszczół, szum liści oraz pracujące w polu traktory. Nowoczesne sprzęty przecinają żyzną żuławską ziemię śladami kół, które niepostrzeżenie podchodzą wodą.

Pachnie...

Horst zaciąga się głęboko ciepłym powietrzem. Oprócz nagrzanego słońcem rzepaku czuje też bez rosnący nieopodal wozowni. Powoli przekwita, lecz wciąż wydziela zapach przywołujący wspomnienia.

Zerka na drogę, wzdłuż której rosną wierzby rosochate. Porusza się nerwowo na fotelu. Zerwałby się i pobiegł co sił w nogach. Środkiem, jak dawniej, bo zbaczać nie można było. Kto chociaż trochę zmienił kurs i wszedł na pobocze, nie wracał już do domu.

I on by nie wrócił. Jemu jednak ktoś przyszedł na ratunek. Mała dziewczynka przywołująca go swym radosnym śmiechem. Dzięki niej uniknął zbłądzenia wśród bezkresnych

podmokłych pól, na które próbował go zapędzić czarny pan na swym ognistym białym ogierze.

Do dzisiaj na samą myśl o tym dniu ciało pokrywa gęsia skórka, a zęby zaciskają się niczym imadło. Kurczowo chwyta poręcz fotela i odpycha się mocno stopą, wywołując kołtysanie. I skrzywienie przywołujące te lepsze wspomnienia, przenoszące go do czasów, gdy we wsi rozbrzmiewał śmiech, a mowa niemiecka była czymś zwyczajnym.

Uśmiecha się.

Znowu biegnie co sił w nogach. Wysoka, mocna trawa płącze się między stopami, ale on wie, jak je wykręcać, żeby nie upaść.

Dołącza do niego Longin. Dalej biegną razem. Coraz szybciej i szybciej. Zwalniają dopiero koło kolejki wąskotorowej. Chwytają wagonik i popychają go mocno.

Z pałacu wybiega pan Bielefeld ze swoją nieodłączną śmieszoną trąbką przy uchu. Coś krzyczy, ale oni nie słuchają. Popychają raz jeszcze wagonik i uciekają w stronę pól. Mijają pana Hoppego, nauczyciela, który zmierza pośpiesznie w stronę wsi. Jest czymś wzburzony. Widać to po nerwowych ruchach i tym, że ignoruje ich psotę.

Zaciskają usta, żeby stłumić śmiech, i biegną w dal, chłonąc aromat rzepaku, który dawniej pachniał dokładnie tak samo, jak dzisiaj.

To było ich ostatnie beztróskie i szczęśliwe lato. Wtedy jednak jeszcze o tym nie wiedzieli...

GISELA

Ależ się cieszę!

Rodzice się zgodzili, żebym poszła do gimnazjum w Marienburgu. To całkiem blisko nas, ale to już Niemcy, a w sumie Prusy.

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę swoją nową szkołę. I poznam koleżanki! Ciekawe, skąd będą?

Mama obiecała, że kierowca zabierze nas na zakupy.

Dostanę pieniądze na nowe buty i zeszyty.

I zobaczę Rynek Starego Miasta. Podobno jest piękny.

Byłam tam dawno temu, ale nic już nie pamiętam.

Wszystko jest takie ekscytujące, że nie mogę spać po nocach!

Trochę też się boję, bo może się okazać, że wcale nie jestem taka mądra, jak mówi nauczyciel. Ale będę się starała i dużo uczyła.

Nie mogę zawieść rodziców. I siebie!

Mielenz, wiosna 1939 roku

Rzepak bujnie kwitł, rozsiewając słodki zapach po całej wsi. Żółty pyłek oblepiał wszystko złotawą powłoką. Gisela nie zwracała na to uwagi do czasu, gdy matka wręczyła jej wiaderko z wodą, nakazując umyć porządnie wszystkie okna w sklepie i gospodzie. Zazwyczaj był

to obowiązek jej starszej siostry, Hannah, lecz wiosną i latem mieli tak wielki ruch, że każda para rąk była na wagę złota.

Mamo, przecież ja nie umiem dobrze myć okien. Zawsze zostawiam smugi. – Gisela próbowała się wymigać od niechcianego obowiązku. – Może zrobię coś innego?

Coś innego też zrobisz. Później – odparła matka tonem nieznośnym sprzeciwu. – Nie jesteś już małym dzieckiem. Idziesz do gimnazjum, więc i z oknami sobie poradzisz. Jeśli będą smugi, to tak długo będziesz je czyściła, aż znikną.

Dziewczynka spojrzała na szczupłą, wysoką kobietę w beżowej sukience i z włosami nieodmiennie upiętymi w mały kok upleciony tuż nad karkiem. Wyglądała na surową i stanowczą. Taka też była, lecz Gisela wiedziała, że pod tą wywołującą dystans powłoką kryje się kochająca kobieta, która poprzez dyscyplinę i surowe przestrzeganie zasad okazywała swoją miłość. Chciała dopytać matkę, jak naj- lepiej myć ramy, ale tak się na nią zapatrzyła, że ta zdążyła pójść na zaplecze, żeby zająć się zatowarowaniem sklepu. Zabrała się więc do pracy, bo po południu otwierali karczmę i musiała się spieszyć. Delikatne dłonie już po kilkunastu minutach nabawiły się pęcherzy od wyciskania szorstkiej ścierki i polerowania szyb. Momentami tarła tak mocno, że farba odpryskiwała z drewnianej ramy. Na szczęście były to niewielkie ubytki i matka nie zauważyła. Gdy skończyła, była cała spocona i zmęczona. Dłonie piekły, a plecy bolały od ciągłego napinania mięśni. Była jednak szczęśliwa. Wykonała zadanie.

Radość trwała krótko, bo matka zaraz zagnała ją do kolejnych prac. Gisela cały dzień spędziła na zapleczu, gdzie myła półki, ustawiała towary, a na koniec musiała poukładać zapasy w spizarce, żeby zrobić miejsce na nowe przedmioty, które matka z siostrą robiły w każdej wolnej chwili. Dopiero późnym wieczorem miała czas dla siebie i mogła się zająć przygotowaniami do pierwszego dnia w szkole. Po kilka razy przeglądała wszystkie spódnice i bluzki, sprawdzała podkolanówki oraz przybory do pisania. Książki obłożyła w ładny złotawy papier, żeby się nie zniszczyły. Każdą stronę równiutko przycięła i dokładnie podkleiła. Każda też była na okładce podpisana. Imię i nazwisko starannie wykaligrafowane. Tego nauczyła ją dawno temu babcia. Nie lubiła ćwiczyć, gdyż babcia Agata była niezwykle wymagająca i trudno ją było zadowolić. Teraz jednak się cieszyła, że nabyła umiejętność pięknego pisania. Babcia zmarła, ale zawsze gdy trzymała w ręku pióro, wspominała ją ciepło, wypierając z pamięci reprimendy i ostre słowa. Gdy wszystko przejrzała, spakowała do teczki i usiadła na łóżku, podziwiając zawieszkę, którą uplotła z kolorowych nici i przyczepiła do agrafki. Nie wiedziała, co ją czeka w nowej szkole, gdyż jej starsza siostra słabo się uczyła i rodzice nie wysłali jej do gimnazjum. Podobnie było z braćmi, którzy ani myśleli o dalszej edukacji. Woleli iść do pracy, żeby mieć swoje pieniądze i nie być zależnym od matki i ojca. To jej przypadł zaszczyt bycia pierwszą w rodzinie, która zdobędzie wykształcenie ponadpodstawowe. Czuliła ciężar odpowiedzialności, ale i dumę oraz ekscytację. Zamierzała się wykazać i sprawić, że rodzice nie będą żałowali wydanych na jej naukę pieniędzy. Z tą myślą, mocno zmęczona, zasnęła praktycznie od razu, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Po sobotnich obowiązkach i przygotowaniach nastąpiła niedziela, którą spędziła na zabawach z koleżankami. Tylko jedna z nich, Alice, miała wraz z nią rozpocząć naukę

w gimnazjum żeńskim o tajemniczo dla dziewczynek brzmiącej nazwie Luisenschule¹. Spędziły wiele czasu, zastanawiając się, jak ich nowa szkoła będzie wyglądała i czy znajdą tam dużo koleżanek.

Rodziców zaprzętały natomiast inne sprawy. Sytuacja polityczna po 1920 roku sprawiła, że Mielenz² znalazł się w obszarze Freie Stadt Danzig³, Marienburg zaś w wyniku plebiscytu włączono do Niemiec. Można było do niego dojechać autobusem lub kolejką wąskotorową, lecz rozkład jazdy nie pasował do planu lekcji. Postanowiono więc wraz z rodzicami dzieci z ościennych wsi złożyć się i wynająć autobus z kierowcą posiadającym paszport umożliwiający przekroczenie granicy na Nogacie oraz dokumenty uprawniające go do przewożenia uczniów do szkoły.

Pierwszy wyjazd był niezwykle ekscytującym wydarzeniem, więc matka zaprowadziła Giselę na przystanek, gdzie wraz z grupką uczniów oraz towarzyszących im rodziców wspólnie czekali na autobus.

Tylko nie zgub pieniędzy – pouczała ją matka. – Trzymaj schowane w kieszonce i wyjmij dopiero, gdy będziesz przy ladzie.

Wiem, mam – odparła dziewczynka, klepiąc poę mundurka.

– Są dobrze ukryte. Nie zgubię ich.

I weź tylko to, co masz na liście. Żadnych zbędnych zakupów. Buty i zeszyty.

Dobrze.

I pamiętaj, żeby buty od razu założyć i trochę je przybrudzić, a w każdym zeszycie zapisać chociaż linijkę, bo inaczej celnicy zabiorą ci rzeczy.

Gisela pokiwała intensywnie głową i z zadowoleniem zauważyła, że podjechał po nie mały autobus. Przytuliła się szybko do matki i wbiegła do pojazdu, żeby zająć miejsce przy oknie. Chciała podziwiać widoki i wszystko dokładnie zapamiętać. Obiecała młodszemu bratu, Wolfowi, że mu opowie, jak wygląda Marienburg i czy mocno się różni od ich wsi. Alice usiadła obok niej. Gisela zaraz pożałowała, że to zrobiła, bo przez cały czas ją zagadywała, uniemożliwiając skupienie się na tym, co mijali po drodze. Zamilkła dopiero w Kalthof*. Ulokowano tam polski urząd celny. Kierowca już wcześniej ich przestrzegł, że mają siedzieć cicho i się nie odzywać. Zastosowali się do jego zaleceń, więc kontrola przebiegła szybko i bez zakłóceń.

Gdy wjechali na most, Gisela bała się patrzeć w dół, gdyż miała nieodparte wrażenie, że droga się zarwie i spadną prosto w roziskrzoną promieniami porannego słońca toń rzeki. Przemogła jednak strach i spojrzała na zamek, otulony złotymi refleksami. Wyglądał naprawdę imponująco. Wieżyczki rozbudzały wyobraźnię, a wysoki mur rozpałał ciekawość. Szybko jednak pojechali dalej i minęli kolejny urząd celny, tym razem niemiecki, usytuowany po drugiej stronie rzeki. Tam jednak nikt ich nie kontrolował.

Jak myślisz, w tym zamku mieszkają księżniczki? – zapytała przejętym głosem Alice.

Nie bądź dziecinna. Księżniczki nie istnieją – odparła wyniośle Gisela, pomijając fakt, że zaledwie kilka dni temu zadała identyczne pytanie starszej siostrze, która wyśmiała jej naiwność. – Poza tym tu nigdy żadna nie mieszkała. To zamek rycerzy.

¹ Gimnazjum żeńskie im. Królowej Luizy w ówczesnym Marienburgu (Malborku).

² Miłoradz.

³ Wolne Miasto Gdańsk.

Jak byli rycerze, to i powinna być księżniczka, którą mogli bronić – upierała się Alice. – Po co inaczej byłiby w tym zamku?

Na to pytanie Gisela nie potrafiła odpowiedzieć. Na szczęście tuż za mostem skręcili w boczną uliczkę, prowadzącą do gimnazjum. Nie spodziewała się, że to jest tak blisko. Co prawda mieszkali tuż przy granicy, ale rodzice nie zabierali ich ze sobą, gdy jechali robić większe zakupy. Ich rodzina była liczna, a poza tym uważali, że sprawniej pójdzie bez balastu w postaci dzieci, rozdziawiających buzie przy witrynach sklepowych. Fakt, byli na uprzywilejowanej pozycji, gdyż ich sklep oraz gospoda generowały wysokie zyski i dzięki temu żyli na godnym poziomie, a co za tym idzie, mogli kupić dzieciom wszystko, co potrzebne. Uważali jednak, że pieniądź, ciężko zarobiony, należy szanować i nie można go wydawać na głupstwa, a o takie zbędne drobiazgi zazwyczaj prosiły młodsze pociechy.

Kierowca zatrzymał się przed samym wejściem. Gdy wysiedli, musieli mocno zadzierać głowy, żeby zobaczyć szczyt budynku.

Ale jest wielkie – westchnęła Alice. – Prawie jak ten zamek przy moście.

Aż tak to nie – odparła Gisela. – Ale ten budynek jest zdecydowanie dużo większy niż cokolwiek w naszej wsi. Chyba nawet wyższy od naszego kościoła.

O tak – przytaknęła gorliwie Alice. – Dużo wyższy.

I ma ogromne okna.

Gisela skrzywiła się na tę wzmiankę. Miała jeszcze świeżo w pamięci przykre sobotnie obowiązki, więc współczuła osobie, która musiała myć łukowate, ogromne, mające liczne szybki szprosowe okna.

Wnętrze było dość przytłaczające. Wysokie pomieszczenie odbijało echem każdą rozmowę. Ceglane ściany wydawały się wyjątkowo chłodne i nieprzystępne. Gisela poczuła się mała i bardzo zagubiona. Chwyciła Alice za rękę i mocno ją ścisnęła. Spojrzały na siebie ze zrozumieniem i przysunęły się bliżej siebie. Nowe, nieznanne miejsce trochę je przerażało, a mnogość głosów, śmiechów i chichotów dezorientowała.

Gwar na korytarzu coraz bardziej je przytłaczał. Na szczęście wyszła do nich ubrana w granatową spódnicę i wysoko zapiętą białą koszulę nauczycielka, a wtedy wszystkie głosy umilkły. Sprawnie podzieliła ich na grupy, wyczytując nazwiska i wskazując numery sal, do których mieli się udać.

Gisela niewiele zapamiętała z tego, co im mówiono, gdyż zbyt zajęta była próbą zapanowania nad szalejącymi w jej sercu emocjami. Wszystko wydawało się bardzo duże. Ławki były wysokie, krzesła też. Nie należała do najniższych, ale miała problem, żeby stopami dotknąć podłogi. Majtała nimi do czasu, gdy spoczął na niej surowy wzrok nauczycielki, Mathilde Schade. Zawstydzona zarumieniła się mocno i trwała w bezruchu do końca spotkania. Nie drgnęła, nawet gdy nauczycielka przesadziła znacznie niższą Alice do pierwszej ławki, a obok niej kazała usiąść obcej dziewczynce. Gisela nie ośmieliła się na nią spojrzeć. Zbyt się bała kolejnej niemej nagany.

Ulgę poczuła dopiero, gdy wsiedli do autobusu i pojechali na rynek. Kierowca widział ich ekscytację nowym miejscem, więc pozwolił im przez kwadrans pochodzić i popatrzeć na kunsztowne budynki. Giseli najbardziej podobały się te z podcieniami. Nigdy wcześniej takich nie widziała. Albo nie pamiętała. Wpatrywała się w nie teraz z szeroko otwartymi

ustami, zastanawiając się, jak to możliwe, że balkony nie spadają. Czym są przymocowane do budynku? I jak zrobiono te łuki, skoro ceglówki są prostokątne, a nie okrągłe?

Chciałabym mieszkać w takim wielkim domu – szepnęła Alice, patrząc na rząd okazałych budynków.

Przecież to nie domy, tylko kamienice. W nich jest wiele mieszkań. Siostra mi opowiadała, że ma koleżankę, która mieszka w takiej kamienicy, i tam pomieszczenia są bardzo wysokie. Chyba takie jak w naszej klasie.

Myślisz, że to możliwe?

Na pewno. Zobacz, jakie tu są wielkie okna. – Gisela wskazała ręką pobliski budynek. – W normalnym mieszkaniu by się nie zmieściły. Są prawie tak wielkie, jak cała ściana w naszej karczmie.

I większe niż u mnie – przyznała lekko zawstydzona Alice, gdyż nie pochodziła z zamożnego domu, a rodzice z trudem odłożyli pieniądze na to, żeby mogła iść do gimnazjum. – Ale nie chciałabym w takim mieszkać. Tam na pewno jest bardzo zimno.

Myślę, że mają też wielkie piece i jest ciepło – dodała po namyśle Gisela, którą również frapowało, jak się żyje w takich wysokich pomieszczeniach.

Czas iść na zakupy. – Stanowczy, donośny głos kierowcy sprawił, że cała gromadka szybko zebrała się przed wejściem do księgarni, w której mieli się zaopatrzyć w zeszyty i bruliony.

Gisela poklepała się po piersi, sprawdzając, czy pieniądze są na miejscu. Odetchnęła z ulgą, wyczuwając lekkie zgrubienie. Wyjęła też z kieszeni listę zakupów. Gdy rozglądała się po sklepie, bardzo się ucieszyła, że ją ma, gdyż było tam tyle cudownych rzeczy, iż najchętniej kupiłaby wszystko. Czegóż tam nie było! Notesy, zeszyty, bruliony, pamiętniki, albumy, arkusze papierów w różnych rozmiarach, bibuły, pióra i farby... Wszystko pięknie i przejrzyście wyeksponowane. Zachęcające do kupienia. Mimo iż praktycznie wychowała się w sklepie, nigdy nie widziała takiego bogactwa materiałów piśmiennych. Oczy biegały jej od półki do półki i nie mogła się zdecydować, na czym się skupić. Podeszła więc do kasy i podała sprzedawcy lekko zmiętoloną kartkę, którą w ostatnich chwilach mocno ścisnęła w dłoni.

Pierwsze zakupy? – zapytał, uśmiechając się wyrozumiale.

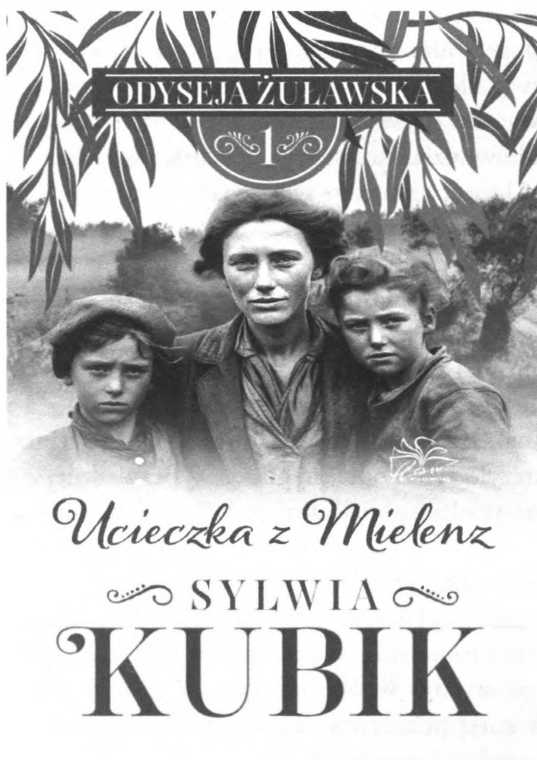
Tak. Nie martw się, zaraz znajdziemy dla ciebie wszystko, co masz na liście.

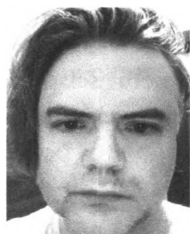
Poszło bardzo sprawnie, więc szybko wyszła z księgarni i za zgodą kierowcy poszła do magazynu mody damskiej po drugiej stronie ulicy. Tam wybór również był ogromny. Wzrok przyciągały ładnie wyeksponowane eleganckie damskie skórzane pantofle. Ona jednak musiała kupić buty w fasonie wymaganym w szkole. Była na nie nawet wyznaczona osobna półka. Ta najniższa na regale. Znajdowały się tam niezliczone pary niemal identycznych ciemnych półbutów. Przymierzyła kilka, wybierając, zgodnie z zaleceniem matki, te numer większe i uściwszy opłatę, wybiegła na dwór, gdzie mogła bezkarnie nimi szurać po brukowanej uliczce.

Wkrótce dołączyły do niej inne dzieci i ganiali beztrąsko, przydeptując noski. Nie za mocno, żeby ich nie zniszczyć, ale na tyle solidnie, żeby zostawić odciski. Gdy kierowca uznał, że wystarczy, gromadnie zasiedli w autobusie i przez kilka minut pieczołowicie zapisywali pierwsze strony w zeszytach, żeby w razie czego bez problemów przejść kontrolę

celną. Wszak nie można było niczego przywozić z zagranicy, ale gdy rzeczy nosiły ślady użytkowania, żaden celnik nie mógł udowodnić, że to nowy nabytek.

Gisela cieszyła się z tego wymogu. Dało jej to okazję do uzupełnienia notatek, których nie zapisała na lekcji, zbyt zawstydzona spojrzeniem nauczycielki, które na siebie ściągnęła. Gdy wszystkie zeszyty zostały poznaczone pospiesznie wpisanymi zdaniami, ruszyli w drogę powrotną, wypełniając autobus gwarem pełnych emocji relacji z pierwszego dnia pobytu w szkole.



Krzysztof Marcinkowski

BURSZTYNOWE POWIDOKI

Srebrzysty blask gęstniejącej piany morskiej był niesamowity. Hipnotyzował wyobraźnię. Przyciągał i pobudzał do rozmyślań o magicznej sile prastarych opowieści. Wylewająca się z wysokich wierzchołków fal woda układała się w mozaikę firan, odgradzających głębię morskiej toni od napowietrznej szarugi. Fale wydawały się na miarę drapaczy chmur. Morze okazywało swoją potęgę i niezaprzeczalne piękno. Panowało na całym obszarze zatoki, nie dając nikomu nawet cienia szansy na bezpieczne nurkowanie w wirujących lokach wody. Bardziej spodziewać by się w nich można już było mitologicznych trytonów niż windsurfingowych śmiałków, dziarsko wślizgujących się w mroczne tunele akwaticznego żywiołu. Wycie sztormu, które zagłuszało świst wiatru, utwierdzać mogło w przekonaniu, że jego przenikliwe dźwięki pochodzą z boskich muszel trytonów i zdradzają ich zamiary – chęć postraszania płochliwych nereid zgrzytliwą muzyką. Co prawda, nie sprzyjała temu pogoda, ponieważ trytony dokuczają nereidom w okolicznościach sprzyjających bardziej rekreacyjnemu wędkowaniu czy połowom ryb w sieci, gdy morze jeszcze nie wariuje. Tymczasem powierzchnia szerokiej plaży zaczęła stopniowo się kurczyć i zanośiło się na to, że woda podplynie wkrótce do piaszczystych wydm. Choć wiało od morza niemilosiernie, powietrze nie kłuło jednak przesywającym zimnem. Chcąc ogarnąć wzrokiem pienne bałwany morskie, wystarczyło tylko opuścić plażę. W bezpiecznej odległości od brzegu zatoki, na promenadzie ciągnącej się ponad wydmami, wciąż można było podziwiać majestat morskiej topieli.

„Szykuje się niezłe żniwo dla poławiaczy bursztynu” – pomyślał po chwili. Harce morskie sprawiły, iż nabrał chęci popływania rybackim kutrem. Ale mógł jedynie tylko o tym pomarzyć. Gdy wpełzł na promenadę, rzucił okiem na rozkołysaną zatokę, przypomniał mu się obraz japońskiego artysty. Wyobraził sobie, iż jest jednym z uczestników podróży morskiej, którzy pokonują przestrzeń długimi łódkami podczas piekielnego sztormu. Dookolna przestrzeń wywołuje przerażenie, fale wzbierają i bezlitośnie atakują śmiałków, cudem utrzymujących się jeszcze na wodzie i krok po kroku przesuwających się do przodu. Żaden rybak nie został jeszcze pochłonięty przez rozhukane morze. Wszyscy, przykucnięci i bardzo wychyleni, wpatrują się w morską głębinę, jak gdyby czekało tam na nich zbawienie. Są ledwie zauważalni. Nadchodząca z lewej strony ogromna fala zwiastuje niewyobrażalną potęgę, tak jakby to była fala tsunami. Choć łodzie wciąż utrzymują się na powierzchni wody, można odnieść wrażenie, że lada moment śmiałkowie zostaną na dobre wchłonięci przez paszczę morską w ciemnoniebieskie głębiny. Rybacy są chyba tego świadomi, a ich wygląd najwyraźniej sugeruje, że są już częścią żywiołu natury. Znikome,

małe, trupio białe główki jedną się z pianą morską, a ich granatowe tułowia z modrym kolorem wody.

Pamięć odezwała się innym jeszcze obrazem, przypominając mu niemniej widowiskową sytuację żeglugi podczas sztormu. Tym razem nie namalowaną, lecz opisaną. W pysznym sonecie. Woda triumfalnie wdziera się na pokład łodzi, większość podróżników zamiera w przerażeniu, niektórzy są przekonani, że to ostatnie chwile ich życia. Co począć? Modlić się czy wygrażać opatrności? Niektórzy się modlą, inni żegnają się z bliskimi i ze światem. Nikt nie wymachuje pięściami. Przykuwa uwagę jeden podróżnik, który siedząc w odosobnieniu, w ogóle nie reaguje na to, co dzieje się wokół niego. Inaczej być nie może, samotnik pusty w środku jak wydmuszka. Jego życie, pozbawione sensu, uniemożliwia mu bycie czułym na bodźce płynące ze świata zewnętrznego. Zazdrości tylko tym, którzy czują. Gdyby można go chociaż porównać do bryłki bursztynu, ale jest, niestety, w środku wynędzniały i pusty jak bęben.

Idąc wzdłuż wybrzeża i patrząc na rozbrykane fale morskie, przypomniał sobie, że trzy- mał kiedyś w rękach dwie okazałe bryły bursztynu wielkości dłoni dorosłego człowieka, w kolorze złotawo-żółtym. Był wtenczas jeszcze młodym chłopakiem. Bardzo młodym. Oglądał je wtedy z uwagą i przejęciem. Może nawet i z namaszczeniem. Nigdy wcześniej nie miał przed sobą takich okazów. Sycił się ich widokiem do woli. Zawdzięczał to swemu koledze z dzieciństwa, którego ojciec robił w bursztynie. Któregoś dnia, w tajemnicy przed ojcem, kolega pozwolił mu wejść do warsztatu w willowej piwniczce, gdzie leżały na pułkach skarby jantaru wyłowione z Bałtyku. Przygotowane do specjalistycznej obróbki. Ich urok tkwił w bogatej gamie kolorów. Było na co popatrzeć. Przykuwały uwagę te o barwie rubinowej czerwieni, krwawnikowe, ale nie tylko. Na półkach czekały także bryłki czarne jak węgiel, stanowiące specyficzną i rzadką odmianę bałtyckiej biżuterii. Mało atrakcyjne dla oka, ale cenione przez znawców i producentów bursztynowych ozdób. Dostatek tej bajecznej komnaty określały nade wszystko bryłki w kolorze złotawo-żółtym. Były wspa- niałe. Patrzył na nie z uwielbieniem. Przypominały słoneczno-złotawe półkola otaczające na ikonach głowy świętych.

Barwa tych niezwykłych minerałów, przywodząca również na myśl przechowywane w pamięci wyobrażenia miasta zbudowanego z drogocennych kruszców, do którego wstęp mają jednak tylko wybrani, pozwalała snuć roztańczonej wyobraźni marzenia, że pochodzą one ze świata bytów doskonałych. Przyjemnie było pomyśleć, że oto trzyma w rękach namacalne odpryski świata idealnego. Pieścił je w dłoniach. Oczy świeciły mu jak żarówki. W tamtej chwili trudno było mu zrozumieć, że bezcenne dlań okruchy wkrótce utracą swą naturalną formę, tylko po to, by stać się tworzywem do produkcji ozdób, które przyniosą jednej stronie zysk, a drugiej – satysfakcję estetyczną z faktu ich posiadania.

Dzisiejsza noc zapowiadała obfite połowy. Pewnie woda wyrzuci na brzeg najwięcej ru- binowych bryłek. Tak przynajmniej mu się wydawało, bo przecież słyszał od tubylców, że szczodrość Bałtyku manifestuje się w tym regionie przede wszystkim dzięki temu, że woda wyrzuca na brzeg plaży duże ilości bursztynu ciemnoczerwonego. Przekonywał go o tym nie raz, nie dwa pewien rybak portowy, który na czas sztormu porzucał swe tradycyjne zajęcie, wcielając się w namiętneho poławiacza bursztynu. Mieszkał blisko morza. Po sztormie, ubrany w długie kalosze, wyposażony w obowiązkowy kasiorek, śmiało wchodził do

wody na wysokość pasa i wylawiał z niej świecące kamyki jantaru. Był odważny i zdeterminowany. Szczęście mu zwykle sprzyjało. Łowił bursztyn, bo czerpał z tego jakiś zarobek. Oplacało się. W skupie u bursztywnika dostawał za większe kawałki całkiem ładną kasę. Połów dorsza, sandacza, łososia, będący dla niego i jego rodziny stałym źródłem dochodu, nie budził w nim jednak takiej ekscytacji, ponieważ był zwykłą pracą, która po prostu go nużyła. Ponadto, no właśnie, cóż więcej można powiedzieć o zapachu ryb? Po udanym połowie cuchnął na kilometr. Nie miał wyjścia, musiał cuchnąć. Dzięki temu na biedę nie narzekał. Ale przygodne wylawianie z morza skamieniałej żywicy to przecież niezwykle dar losu. Świecący bursztyn, trzymany w mokrych dłoniach, był dla niego czymś na tyle pięknym, że czuł się w tej euforycznej dla siebie chwili niczym artysta, który dopracował w szczegółach ukończone dzieło. Chyba dlatego ów rybak budził w nim spore zaciekawienie, jeśli nie sympatię nawet. Jak to możliwe, że w monotonnym i mało ciekawym życiu nadmorskiej osady można zdobyć się na wyczyn, który w zupełności uszczęśliwia?

Borykał się z myślą o śmierci. Szedł, naturalnie, pod jej prąd, ale życia nie znosił. Nowoczesność, tykanie czasu, zmiany w tempie suprakalejdoskopowym... To wszystko budziło niesmak, jeśli nie odrazę. Może z wyjątkiem pytań o czas, które stwarzały sposobność do snucia rozważań o jego względności. Wszystko przecież ma swój czas. Cywilizacja. Natura. Człowiek. Rybak zajmujący się czyszczeniem sieci. Kolejny supermarket. Przypominał sobie, że w latach osiemdziesiątych w podobnym tempie budowano kościoły. W tempie zawrotnym. Teraz przypominały mu one bardziej huty niżli świątynie. Wydawało mu się, że subiektywne odczuwanie upływu czasu pozwala w minimalnym choćby stopniu opanować lęk przed nieznanym. Przed chaotycznym ruchem naoczności. Chwilowym ratunkiem wydawała się myśl, że przestrzeń i czas to złudzenie. Że są jak koszmarny sen, z którego można się jednak wybudzić. Może bardziej znośne byłoby życie w półmroku, kiedy mózg nie jest jeszcze osaczony przez bodźce dobiegające ze świata zewnętrznego? W półmroku nie doświadcza się przecież tylu wrażeń, ilu za dnia. Dla mózgu to sytuacja znacznie bardziej komfortowa. Zbawienna wręcz. Być wolnym od nadmiaru wrażeń, bez przykrej konieczności przetwarzania całej masy niepotrzebnych informacji, z których utkany jest świat.

Tkwiał w całkowitej rozpsepce. Jego wiara skurczyła się rozmiaru ziarnka maku. Wyparowała jak para ze starej ciuchci. Mrok w głowie gęstniał niewybaczalnie. Przyszłość jest przecież trudna do przewidzenia. Szlak, malujący się na jej horyzoncie, podąża w ślepych kierunku. Czas terazniejszy mieści się w nanosekundach i nie zostawia po sobie żadnych śladów. Magia tymczasowości. Wehikuł, niesiony przez żywioł, choć płynie z prądem, mknie ku nieuniknionej zagubie.

Udręka wydawała się nie do zniesienia. Była dla niego jak beczka bez dna. Pomyślał, że ratunkiem okazać by się mogła ucieczka w szaleństwo. Kontrolowane szaleństwo. Przeciśniętą się przez szczeliny czasu niczym kot przedostający się do ogrodu przez wąską wnękę drewnianego ogrodzenia; reanimować przeszłość. Odnaleźć przestrzeń (albo niech będzie przystań), która nie poddaje się rachubie czasu. Gdzie jej szukać, jeśli nie pod swoją kopułą? Pamięć wciąż jest jeszcze w mózgownicy pojemna i przechowuje sporo wspomnień. Gdyby je tak przywrócić do życia i spleść z czasem terazniejszym. Stworzyć temporalny warkocz. Zatopić głowę w przeszłości i zobaczyć raz jeszcze wydarzenia, które działy się in statu nascendi. Przydałoby się naczynie znane pod nazwą myślodsiewni. Wywlec z siebie

jak srebrne nitki myśli nasiąknięte duchem czasu przeszłego. Niech sfruną niczym babie lato do misy wypełnionej po brzegi wodą, osiadając na niej i tworząc krąg. Następnie zatopić wzrok w wodzie i zobaczyć przeszłość. I w tej właśnie chwili przypomniał mu się dobry i kojący sen o starym buku, rosnącym w ogrodzie jego rodziców. Jego wiek został oszacowany przez dendrologa na ok. 300 lat. Wpisany w poczet pomników przyrody. We śnie objawił mu się cały jego majestat. Przyciągał oczy intensywnym kolorem żywej, głębokiej i zachwycającej czerwieni. Sączyło się z niej życie. Liście igrały w przyjaznych podmuchach wiatru. Niektóre listki odrywały się od gałęzi i zamieniały w jakieś ptaszyny, które radośnie fruwały wokół jego korony. Potem następowała jeszcze jedna, dziwna metamorfoza: ptaki zamieniały się w bryłki żółtego i zarazem przezroczystego bursztynu, który jak grad zaczął spadać na ziemię. W bursztynach tkwiły znieruchomiłe owady. Owinęte w pysznie wyglądającej żywicy, insekty te przedstawiały idealny bezruch materii, jej zatrzymanie. Miało się wrażenie, że w tym zjawisku zapisana jest wieczność. I chyba bursztyn z owadami w środku jest właśnie najcenniejszy, cenniejszy nawet od bursztynu czarnego. W każdym razie sen mu przypominał, że do tej odmiany odczuwa największy sentyment.

Andrzej C. Leszczyński



OKRUCHY

IDEA UNIwersYTETU

Pojęcie idei odnosi się do „bytu w formie” (José Ortega y Gasset). „Istotą całej rzeczywistości – pisze hiszpański myśliciel – jest to, że może ona przeżywać owe dwa stany, czyli: stan pełni i doskonałości oraz stan ruiny”. Idea uniwersytetu to właśnie „uniwersytet w formie”, właściwa jego postać. Idea ta może być widoczna w wielu różnych miejscach – w liceum, zakładzie pracy, rodzinie; może urzeczywistniać się w relacjach społecznych i w praktyce politycznej. Może też być, co daje się coraz częściej zauważyć, nieobecna lub martwa („zrujnowana”) w placówkach mających w nazwie słowo „uniwersytet”.

Uniwersytet to przede wszystkim powszechność („universitas”) tego, co różne. To miejsce napięć między odmiennymi stanowiskami teoretycznymi i metodologicznymi, między epokami uobecnianymi w kulturze, między wiedzą i wartościami, między nauką i nauczaniem, między studentami i profesorami. Uniwersytet w formie pokazuje, że nie ma niczego w rzeczywistości, co zdolne byłoby do utrzymania formy. Mówi, że niemożliwa jest całość. Cokolwiek jest, pozostaje – jako cząstka – w relacji do czegokolwiek innego. Idea uniwersytecka wypełniona jest dialogicznością, która wiąże to, co fragmentaryczne, chwilowe, „trochę” (a nie: „całkiem”) jakieś. Fragment – pisze Walter Hilsbecher – „uczy nas zrozumienia płynnej struktury naszego świata, przejmując nas czarem tymczasowości”.

Studiowanie, w przeciwieństwie do nauczania, zawsze łączyło się z dorosłością i samodzielnością; „studeo” to m.in. dążyć do czegoś, łaknąć czegoś, poszukiwać. Na uniwersytecie w formie nie naucza się (w sensie przekazywania wiedzy), lecz skłania do myślenia. Nie teoria (doktryna) jest ważna, lecz samo badanie. Jak mówił Wilhelm von Humboldt, uniwersytet zwraca się ku nauce, „która nie jest jeszcze całkiem odkryta” („Wissenschaft, die noch nicht ganz gefunden ist”). Jerzy Szacki, wspominając początki swoich dociekań, mówi: „Zawsze robiłem to, co mnie ciekawiło. Może zawdzięczam to usposobieniu, może to zbieg okoliczności. Miałem szczęście, bo trafiłem na ludzi mądrych, którzy niczego nie narzucali”. Język uniwersytecki unika kategorię brzmienia; od ścisłości wieńczonej kropką woli formy otwarte i wolne, w których żywa jest myśl.

Pień uniwersyteckiej wiedzy był zawsze potężny dlatego, że wyrastał z wielu korzeni. Władysław Stróżowski („O idei uniwersytetu”) tak o tym mówi: „Wiedząc o tym, musimy z góry liczyć się z wielością dróg dochodzenia do niej. Ich konieczność potwierdza także praktyka. Toteż postulat metodologicznego pluralizmu musi być traktowany jako naczelną ideą regulatywną każdej instytucji poświęconej zdobywaniu naukowej prawdy. Istnieje konieczność wstępowania na różne drogi i wypróbowywania różnorodnych metod badawczych. Wymaga to z kolei bezwzględnej wolności ich stosowania, wolności podejmowania

jednych i odrzucania innych, wolności w osiąganiu sukcesu, ale i wolności w narażaniu się na błąd i porażkę”.

CIEKAWOŚĆ

Zdaniem Karla Jaspersa źródłem rozwoju wiedzy nie mogą być zewnętrzne wobec niej cele stawiane przez instytucje; musi nim być sama ciekawość badacza. Należy prowadzić właśnie badania podstawowe, rozwijać nauki czyste, tylko wtedy powstanie wiedza, którą będzie można wykorzystać praktycznie. Kiedy z góry wyznacza się nauce cele i kierunki rozwoju, będzie przypominać dziecko wzrastające z jarzmem na plecach. Może właśnie dlatego – dodałbym dziś – nieszczęsna „doba reformy gospodarczej” trwa wciąż mimo upływu trzydziestu lat i nic nie wskazuje na jej zmiernicę. Niestety, rządzą dziś pragmatyści zamieniający kulturę w cywilizację, a uniwersytet w szkołę zawodową. To jedna z tych paskudnych rzeczy, które wzmacnia przynależność do UE. Proszę, oto kierunki, jakie można dziś studiować na Uniwersytecie Gdańskim: Biznes chemiczny, Sztuka kreatywnego pisanie, Bezpieczeństwo jądrowe i ochrona radiologiczna, Bezpieczeństwo narodowe, Akwakultura – biznes i technologia.

Sięgam do notatek z drukowanego niespełna pół wieku temu w warszawskiej „Kulturze” cyklu publikacji na temat chorób nowotworowych, które zbierają coraz większe żniwo mimo powoływania nowych, mających je zwalczyć, placówek. Podejrzewam, że dzisiaj byłyby traktowane jak czyste dziwactwo. Oto dwaj młodzi amerykańscy profesorowie wypowiadają myśl brzmiącą zrazu horrendalnie: jeśli chcemy zlikwidować raka, winniśmy zapomnieć, że on istnieje. Trzeba – tłumaczyli tak, jak robił to Jaspers – rozwijać podstawowe badania z biologii, biochemii, genetyki. Dzięki nim powstanie wiedza, którą dopiero będzie skutecznie wykorzystywać. Coś podobnego mówił wcześniej o walce z rakiem James D. Watson, współodkrywca (wraz z Francisem Crickiem i Mauricem Wilkinsem) struktury DNA. Zamiast leczyć za wszelką cenę pacjentów – trzeba zrozumieć, czym jest rak, prowadzić podstawowe badania w biochemii. Pogląd ten był zresztą powodem wyrzucenia go z utworzonego przez Richarda Nixona federalnego komitetu walki z rakiem. Leon Ledermann (fizyk, noblista): „Politycy chcą, by nauka skupiała się na pilnych potrzebach. Ale większość wynalazków, które wpłynęły na jakość życia, pochodzi z abstrakcyjnych badań napędzanych ciekawością”. Znany oksfordczyk David Teutsch podstawową skazę dzisiejszej nauki widzi w stawianiu pragmatycznego pytania „jak?” i szukaniu recept pozwalających przewidywać skutki założonych działań. Potrzebne jest pytanie „dlaczego?”, prowadzące do wyjaśniania, a nie przewidywania. To zresztą szerszy problem i może nie pozbawione sensu byłoby wrócenie do Arystotelesa, który (poza materialną i formalną) odróżniał przyczynę celową i sprawczą. Sprawcza („dlaczego?”) cofa w przeszłość i szuka wyjaśnień, czyli wiedzy. Celowa („po co?”) wybiega w przyszłość określając, wynaturzone czasami, zawsze konkretne oczekiwania. Trudno nie zauważyć, że utrwaliło się nastawienie utylitarne, w którym wszystko musi być „po coś”.

PROFESOR

Nie tak znowu dawno, w międzywojniu, zapisywano się na polskie uniwersytety w ten sposób, że dopisywano swoje nazwisko pod nazwiskiem profesora. Na poszczególnych kierunkach było kilka katedr, a kierujący nimi profesorowie po swojemu daną dyscyplinę pojmowali i wykładali. Profesor był przede wszystkim człowiekiem kulturalnym. Oznaczało to najpierw, że umiał słuchać, a kiedy mówił lub pisał, posługiwał się dobrą polszczyzną. Poczytywał sobie za obowiązek równie ważny, jak prowadzenie własnych badań, chodzić na wystawy, przedstawienia teatralne i koncerty. Wielu przedstawicieli nauk ścisłych znało na pamięć twórczość największych poetów, często w oryginalnych językach; niektórzy sami pisali wiersze. Byłem świadkiem, jak prof. Janusz Sokołowski – chemik, rektor Uniwersytetu Gdańskiego – wygłaszał z pamięci kolejną księgę *Pana Tadeusza*.

Edgar Morin („Metoda”) zauważa, że nie ma już nauki rozumianej jako akt bezinteresownej przygody umysłu. Została podporządkowana interesom ekonomicznym i politycznym, stała się narzędziem technicznych, ideologicznych i wyznaniowych manipulacji. Towarzyszy temu zjawisko na pozór przeciwstawne: amok tzw. naukowego obiektywizmu (zwracał nań uwagę Edmund Husserl w odczycie poświęconym kryzysowi nauki europejskiej). Nieszczęście nauki polega na tym, pisze Morin, że została pozbawiona pięknego subiektywizmu (ten został zarezerwowany dla poezji, ewentualnie – filozofii). „Na szczęście naukowcy nie są wyłącznie naukowcami. Wiodą życie podwójne bądź potrójne. Są także osobami prywatnymi, obywatelami, posiadają różne przekonania religijne, mistyczne”.

W potocznym języku słowo „profesor” (także: „majster”) wyraża uznanie dla kogoś, kto w swojej dziedzinie przewyższa innych biegłością i rozumnością; może to być malarz, aktor, rzemieślnik czy piłkarz. Jest „profesorem”, czyli profesjonalnym, fachowcem. Fachowość nie redukuje się w tym wypadku do sprawności warsztatowej, lecz obejmuje też reguły etosu danego zawodu i respektowanie związanych z nim wartości – szacunek dla klientów, powaga pracy, dotrzymywanie zobowiązań itp. Właściwe użycie tego pojęcia wiąże się z działalnością naukową: profesor to pracownik wyższej uczelni bądź instytutu badawczego. Tadeusz Kotarbiński odróżniał w tej mierze aspekt etykietalny i ontologiczny: widział na uniwersytetach ludzi posiadających profesorski tytuł i takich, którzy profesorami są; bywa że jedno z drugim się rozmija. Zauważał też, że w filozofii profesorskie honory zyskuje się przetrawiając myśli ludzi zazwyczaj wolnych od jakichkolwiek tytułów (walczył z etykietalną gębą jak mógł Witold Gombrowicz: „Krzyknąłem, że nie jestem ani pisarz, ani członek czegośkolwiek, ani metafizyk, czy eseista, że jestem ja, wolny, swobodny, żyjący... Ach, tak, odrzekli, jesteś więc egzystencjalistą”). Do tych dwóch aspektów trzeba dziś dodać trzeci, etatystyczny: profesor to także uczelniane stanowisko, którego znaczenie często przewyższa tytuł naukowy i po swojemu określa społeczny status pracownika.

Profesorska etykieta częściej okazuje się efektem dążenia do bezpiecznej stabilizacji niż do myślowego skandalu, przełomu mogącego przynieść nagrodę Nobla. Jak mówił Henry David Thoreau, dziś nie ma już filozofów, są jedynie profesorowie od filozofii. Andrzej Dobosz (niezapomniany Filozof z „Rejsu” Marka Piwowskiego) nie przebiera w słowach, mówi o „półinteligentach z tytułami naukowymi”. Sądzi – może zbyt łatwo – że wywodzą się z marca 1968 roku. Nominowano wtedy ponad siedmiuset tzw. marcowych docentów,

„którzy następnie nawzajem się habilitowali i awansowali, praktykując to dziś jeszcze”. Tytuł i stanowisko związane są z rolą, która czasami przytłacza, zmienia. Pamiętam to wciąż, choć minęło wiele lat. Z kolegą, który został właśnie docentem, idziemy do przystanku w Oliwie, nadjeżdża tramwaj. – Chodź – mówię – podbiegnijmy. – Nie – odparł z godnością – docent idzie powoli.

Profesor w sensie ontologicznym, to nauczyciel i znawca („professor”); ktoś, kto niezależnie od tytułu i stanowiska potrafi sprostać takim profesorskim powinnościom, jak otwartość i jawność („professē”) sądów, które są głoszone („profiteri”) zgodnie z przekonaniami. Uosobieniem powyższych cech niezmiennie pozostaje dla mnie mój uniwersytecki promotor, profesor Kazimierz Sośnicki.

MARIA OSSOWSKA

Że jest damą – widać było na pierwszy rzut oka. Mówili o tym jej współpracownicy i studenci Niepodobna było myśleć o jakimkolwiek skróceniu dystansu. Chłodna rzeczowość wypowiedzianych zdań. Niechęć do konformistów („ludzi bez kantów”). Duchowy arystokratyzm, dostojeństwo widoczne w sposobie chodzenia, siadania, oszczędnej gestykulacji. Stoicyzm, z jakim przyjmowała życiowe nieszczęścia. Na miejscu wydaje się używana w każdym jej tekście forma „my” (pluralis maiestatis). Leszek Kołakowski w pośmiertnym wspomnieniu pisze o odrazie, jaką Ossowska żywiła wobec wulgarności. „Powiadając, że była autorytetem moralnym, tyle mam na myśli, że ludzie się jej wstydzili, robiąc świństwa, że pamiętali o niej, gdy trzeba było coś uczynić lub czegoś zaniechać w sytuacjach moralnie obligujących”.

Po raz kolejny przerzucam kartki wydanej w 2002 roku książki zatytułowanej „Intymny portret uczonych. Korespondencja Marii i Stanisława Ossowskich” (wyd. Sic!). Zredagowała ją Elżbieta Neyman, mieszkająca w Paryżu dawna studentka Ossowskiej. Poznałem ją u Zbyszka Szczypińskiego, gdy przyjechała do Gdańska. Okazało się, że w Paryżu mieszka tuż obok mojego stałego miejsca noclegowego, na Rue du Chevalier de la Barre, pod Montmartre z monumentalną bazyliką Sacré-Coeur.

Maria, wtedy jeszcze Niedźwiecka, wcześniej poczuła się zadomowiona w przestrzeni wyznaczonej przez ratio, to znaczy takiej, w której rzeczą naturalną jest obrachunek, obliczanie, rozważanie czegoś. W okresie narzeczeńskim pisze do Stanisława (1923 r.): „Najbardziej lękam się dla Ciebie mojego egoizmu naukowego. [...] Czuję w sobie od tej strony jakieś zupełnie nieobliczalne potencje i zupełnie przerażającą potęgę”. Stanisław dostrzega w tak otwarcie sformułowanej przestrodze coś niepokojącego. Nie chce być kimś, kogo Maria wydobędzie dla siebie z zewnętrznego świata (używa zwrotu „quelque chose d’asquis”, mówiącego o czymś nabytym). Pisze: „Gdy mówiłem wczoraj o zdobyciu Ciebie, myślałem o zdobyciu podwójnym: nie tylko o Twoim uczuciu do mnie, lecz o zdobyciu ciebie alla vita nuova” (do nowego życia). W styczniu 1924 roku (pobrali się kilka miesięcy później) Maria uprzedza, jak widzi owo wspólne życie: „Wczoraj wieczorem, gdy położyłam się spać, przyszedł Czarny Duch w jednej z postaci, którą bardzo często przywdziewa. Wyobrażałem sobie, że oto już od dawna jesteśmy razem i że mam z Tobą dziecko. Przeżywałam

tysiące uczuć z niebywałą intensywnością. Postanowienie, że się nie dam, »wytworzyło we mnie pozycję obronną«. Żyłam, szpiegując samą siebie nieustannie, czy aby nie pozwalam owładnąć się zanadto fali miłości ze szkodą dla swojej pracy. Nie pozwalałam sobie za długo patrzeć w drogą twarzyczkę, bo bałam się, że ulegnę. Nieustannie przerzucałam się z jednego stanowiska na drugie. To zwyciężało dziecko, a wtedy zadręczałam się zaniebdywana pracą, to zwyciężała praca, a wtedy ugiąłam się pod ciężarem ogromnej, popełnianej nieustannie winy wyrodnego macierzyństwa. Konflikt tym okropniejszy, że miłość dla dziecka wydaje mi się czymś zupełnie irracjonalnym. W żadnej ze swych postaci ideologia macierzyństwa nie przedstawia dla mnie nic, co by mnie nęcić mogło rozumowo. Nie potrzebuję dziecka, by memu życiu nadać sens”.

Maria Ossowska nie zawsze ulegała „egoizmowi naukowemu”. Zabierała głos także w sprawach aktualnych, istotnych społecznie. W 1966 roku wyraziła swój pogląd w dyskusji na temat kary śmierci. Przytaczała pogląd Alberta Camusa mówiącego, że akceptując karanie śmiercią zachowujemy się jak ludzie nieskazitelni eliminujący spośród siebie parzywą owcę; przecież jednak tolerując warunki sprzyjające przestępstwom sami stajemy się za nie odpowiedzialni. Każdy człowiek ma prawo do życia. Znaczy to, że zasada ta nie dopuszcza gradacji: „[...] albo można, albo nie można zabijać człowieka w imieniu prawa. Rozwiązania pośrednie w tym wypadku nie istnieją”.

W 1970 roku zaopiekowała się, dobrze ponad siedemdziesięcioletnia, pozostawionym bez naukowej opieki Włodzimierzem Pawluczukiem. Doktorant Zygmunta Baumana, po wydaleniu promotora z uniwersytetu nie miał widoków na sfinalizowanie swej pracy. „Spotkałem Elżbietę Neyman. Zapytała: »Co tu robisz?«. Powiedziałem, że byłem na uniwersytecie, ale wygonili mnie z tym moim dziełem. Elżbieta powiedziała: »Daj to, zaniósę do Pani Marii, zobaczymy«. Po tygodniu, czy po dwóch Pani Maria zaprosiła mnie do siebie. Bujała się w bujaku, powiedziała: »przeczytałem Pana pracę, mam wrażenie, że to coś poważnego«. A potem jeszcze mówiła, nadal bujając się i śmiejąc się serdecznie [...]. Po miesiącu, czy dwóch, dokładnie nie pamiętam, ale było to bardzo szybko, obroniłem tę pracę. [...] Przyjeżdżałem na seminarium Pani Marii. Elżbieta powiedziała mi wczoraj, że raz, kiedy opowiadałem o mistyce pól i lasów Białowieży, Pani Maria się popłakała”.

W 1972 roku w dyskusji, jaką zorganizowała redakcja „Etyki” na temat moralności i polityki, przytacza nie bez ironii, jak można sądzić, poradę, której w 1748 roku udzielił chcącemu poświęcić się polityce synowi lord Philip Stanhope Chesterfield: „Kto chce być politykiem, ten musi opanować sztukę podobania się”. Wskazuje na kilka trwałych punktów odróżniających moralność i politykę. Kończy swą wypowiedź zdaniem: „Gandhi i Nehru pragnęli oczyścić politykę. Jak się zdaje, bez powodzenia”. Kilkanaście lat wcześniej w Bibliotecze „Po prostu” opublikowała głośny w tamtym czasie szkic zatytułowany „O pewnych przemianach etyki walki”, gdzie wskazała na zanik tradycyjnych, towarzyszących nie tylko politycznym konfrontacjom, reguł (motywacja współczująca, szacunek dla przeciwnika, szacunek dla siebie, motywacja zabawowa, lęk przed odwzajemnieniem).

Dwa lata później w tygodniku „Literatura” ukazała się ostatnia jej wypowiedź publiczna (umrze trzy miesiące później). W rozmowie z Jerzym Mikkem, pytana o zadania uczonego, przytacza fragment jednej ze swoich wcześniejszych publikacji: „Potrzebni są nam ludzie o mocnym kręgosłupie, który nie chwieje się wraz z każdą zmianą wiatru. Decyduje o nim

posiadanie hierarchii wartości, do której jest się przywiązany i z której nie zamierza się rezygnować. Uparta obrona tych wartości stanowi o postawie, którą nazywamy godnością. Potrzebni są nam ludzie wrażliwi na krzywdę i niezasłużone przywileje, ludzie, którzy śpieszą innym z pomocą mi nie odwracają się od przyjaciół, gdy im się nie powiedzie. Walczą, gdy zachodzi po temu potrzeba, przestrzegając reguł gry, nie rzucają się we trzech na jednego i nie kopią pokonanych. Potrzebni są nam ludzie uczciwi wobec siebie i wobec innych ludzi, którym się ufa. Brak zaufania bowiem w obcowaniu z ludźmi czyni społeczeństwo chorym”. Narzuca się myśl, szczególnie wyostrzona przez dzisiejsze praktyki i zjawiska, że słowa Ossowskiej nie tylko do grupy uczonych winny się odnosić. Może bardziej jeszcze do sędziów i prokuratorów, także do pedagogów i twórców kultury; do każdego, kto chciałby się określać mianem obywatela.

Grażyna Nawrońska



DAWNE RATUSZE

TYTUŁEM WSTĘPU

Ratusz będący siedzibą władz miasta, jest jednym z wielu budynków publicznych. W przeszłości, ale również i dzisiaj, jest dowodem tożsamości wyróżniającym miasto od innych ośrodków, dając świadectwo samorządności jego obywateli.

Ratusz pojawił się w okresie średniowiecza na terenach Europy w miejscach, gdzie powstawały gminy i wspólnoty miejskie, których członkowie zdobywali coraz większe uprawnienia do sprawowania władzy. W bogatych i ludnych miastach – głównie we Włoszech i Niderlandach – „ratusz” prowadził politykę wewnętrzną i zewnętrzną. Na terenie Polski takie możliwości miały kiedyś Gdańsk i Kraków.

W Polsce pierwsze rady miejskie powstawały w trzynastym stuleciu. W miastach i wsiach lokowanych na prawie lubeckim lub magdeburskim istniały pewne różnice w samodzielności i uprawnieniach władz samorządowych. Funkcjonowały bowiem oddzielnie rady miejskie lub ławy. Z czasem jednak przekształciły się w jednolity organ, złożony z obu szczebli, dla sprawowania władzy w mieście. Czasami ich kompetencje były rozdzielane – rada stanowiła zarząd miasta, a ława była sądem pierwszej instancji. Dotyczyło to jednak tylko dużych miast. W mniejszych, a była ich zdecydowanie większa liczba, oba te gremia decyzje podejmowały wspólnie. Wszystkie zebrania związane z zarządzaniem w mieście początkowo odbywały się w domu „zasadźcy”, który był organizatorem życia gospodarczego w nowo lokowanym ośrodku i z urzędu przewodniczył ławie miejskiej. W uzyskanym akcie lokacyjnym były zawarte prawa i obowiązki osadników, m.in. zasady określające „immunitet sądowy”. Bardzo szybko nowa gmina posiadająca własny skarb (niezależność finansową) podejmowała decyzję o budowie siedziby przeznaczonej specjalnie dla swych władz. Wybór miejsca na jej budowę nigdy nie był przypadkowy, zwłaszcza jeśli miasto było lokowane na tzw. *surowym korzeniu*, czyli na terenie niezabudowanym wcześniej. Przy rozległej otwartej i dostępnej przestrzeni – na której sytuowano przyszły ośrodek miejski – wybierano zawsze centralny punkt na zlokalizowanie centrum nowego miasta i budowę przyszłego ratusza. Z reguły był on wznoszony na środku centralnego placu – pełniącego funkcję targu, rynku – który bardzo szybko zaczął pełnić zróżnicowane i ważne funkcje w życiu publicznym miasta. W jego obrębie miały miejsce oficjalne uroczystości publiczne, m.in. powitania dostojnych gości, ogłaszanie werdyktów sądowych i wilkierzy, jak również i egzekucje.

Ratusz był jednak przede wszystkim ośrodkiem władzy miejskiego społeczeństwa. Znajdowała się w nim kancelaria, w której uwierzytelniano transakcje handlowe, składano testamenty czy podziały majątkowe, płacono podatki. W znajdującym się tutaj archiwum miejskim gromadzono różnorodne dokumenty, przechowywano akt lokacyjny

miasta i miejską pieczęć. Wydawane przez radę miasta wilkierze – ogłaszane w ratuszu – jak i różnorodne rachunki z prowadzonej działalności handlowej, spisywane przez kam-larzy (skarbników), deponowano w siedzibie miejskiej władzy. Do ratusza doprowadza-no oskarżonych o przestępstwa, gdzie byli przesłuchiwanii – w izbie tortur znajdującej się w piwnicach ratusza – a następnie skazywani. Przed ratuszem znajdował się często pęgierz, gdzie wymierzano kary za lżejsze przewinienia.

Wokół każdego ratusza znajdowało się szereg obiektów, które były ściśle związane z funkcjonowaniem miasta. Tworzyły one swoisty tzw. kompleks ratuszowy. Należała do nich jedna z wag miejskich, służąca do ważenia tzw. towarów lekkich. Często na ścianie budynku bywał zawieszony wzorec miary długości. Do dzisiaj można zobaczyć na ścia-nie ratusza w Chełmnie tzw. „pręt chełmiński” – jedną z podstawowych miar w średnio-wieczu. Wokół ratusza mieściły się bogate kramy, warsztaty rzemieślnicze i tzw. budy (niewielkie obiekty mieszkalno-warsztatowe). W dużych miastach do ratuszy dostawia-no budynki sukienic, przeznaczone do prowadzenia działalności handlowej. Ich po-zostałościami są obecnie Sukiennice w Krakowie, czy obiekty w Poznaniu i Wrocławiu. Piwnice ratuszowe były również miejscem towarzyskich wesołych spotkań i określano je często piwnicami winnymi, głównie ze względu na podawane tutaj trunki – wino i piwo.

Dekoracyjnym elementem ratusza była wieża zegarowa z umieszczonym na niej zega-rem, który ukazywał właściwą godzinę, odmierzając rytm życia mieszczan. Pełniła ona jed-nocześnie rolę punktu obserwacyjnego miejskiej straży.

W wielu miastach zachowały się dawne ratusze, z których większość była przebu-dowywana na przestrzeni wieków. Niektóre jednak w wyniku różnych zbiegów oko-liczności – wojny, pożary – zupełnie zniknęły z krajobrazu miasta, a o ich przeszłości dowiadujemy się tylko ze źródeł pisanych i ikonograficznych, chociaż często zachowały się one w niewystarczającym zakresie. Kluczową rolę w rekonstrukcji założeń dawnych nieistniejących zespołów ratuszowych odgrywiają badania archeologiczne. Na podstawie wyników możemy odtwarzać poszczególne fazy ich rozwoju przestrzennego i określać chronologię względną.

Tak było w przypadku ratusza na Starym Mieście w Elblągu.

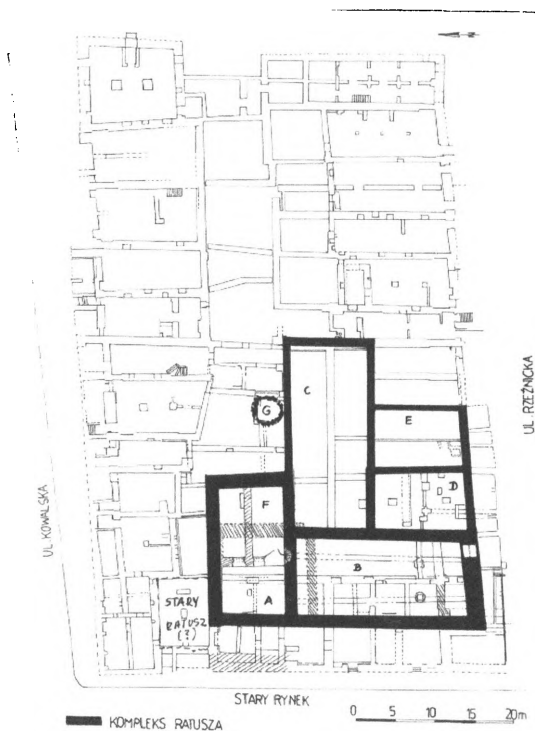
RATUSZ STAREGO MIASTA W ELBLĄGU

Elbląski ratusz staromiejski do chwili podjęcia w 1993 roku badań archeologicznych stanowił dużą zagadkę dla badaczy. Nieliczne wzmianki źródłowe, np. z roku 1332 o po-stawieniu wieży i zawieszeniu na niej dzwonu, czy wzmiankowany w 1340 roku dom handlowy, tzw. *sukiennice*, niewiele nam mówią o tym obiekcie. Źródła wspominają o tzw. nowym ratuszu, w którym m.in. mieściły się siedziba sądu, skarbiec, izba kam-larii. W piwnicach ratuszowych miały znajdować się składy wina i prowadzony miał być wyszynk importowanych trunków. Obok budynku ratusza znajdować się miał dom miejskiego pisarza i dwa budynki jatek rzeźniczych, a wewnątrz całego kompleksu dzie-dziniec ratuszowy.

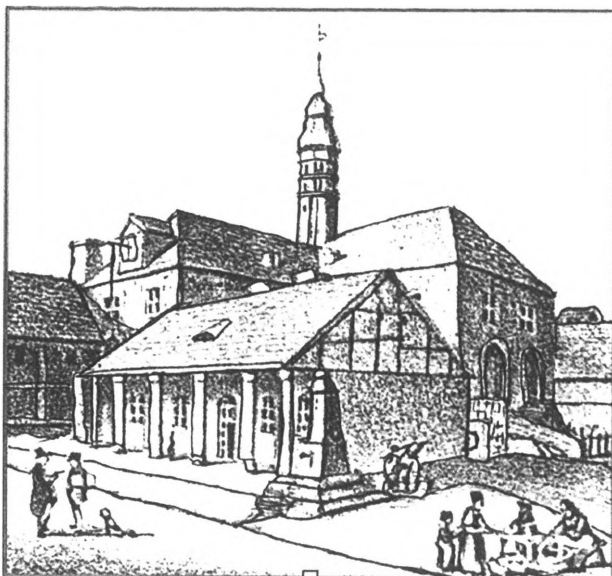
Znikoma ilość dostępnych źródeł historycznych uniemożliwiła praktycznie odtworzenie całego założenia przestrzenno-funkcjonalnego. Bowiem tylko jeden rysunek J. H. Amelunga z 1756 roku, a więc sprzed pożaru ratusza w roku 1777, nie mógł być podstawą do rekonstrukcji bryły obiektu (Ryc. 1).

Dopiero podjęte w 1993 roku szerokopłaszczyznowe badania archeologiczno-architektoniczne pozwoliły na zrekonstruowanie zasięgu i podziału funkcjonalnego oraz ustalenie chronologii całego zespołu ratuszowego (Ryc. 2).

Najstarszą formą ratusza była kamienna wieża o wymiarach 13 m x 14,80 m i grubości ścian 2,60 m, zbudowana jeszcze przed pożarem miasta w 1287/1288 roku. Na przełomie XIII i XIV wieku, od strony południowej, dostawiono do niej budynek sukiennic, który łącznie z nią miał 36 m długości i dwa wejścia. Prowadzono w nim handel sukniem, a piwnice dzierżawił miejscowy winiarz. W XIV wieku rozbudowano obiekt poprzez dostawienie od strony wschodniej dużego budynku o powierzchni 250 m² i wysokości piwnic 4,50 m. Trudno określić jego funkcję, gdyż obiekt ten jest zupełnie nieznan z żadnych źródeł. Można jednak przypuszczać po znalezionej w jego obrębie dużej liczbie fragmentów dzbanów kamionkowych, że wnętrza mogły pełnić funkcje piwnic winnych (podobnie jak w Toruniu). Do sukiennic dostawiono dom pisarza, a za nim wybudowano dwa budynki jatek rzeźniczych. Ostatnim etapem rozbudowy zespołu ratuszowego, który miał miejsce na początku szesnastego stulecia,



Ryc. 1. Rysunek J. H. Amelunga z 1756 r.



Ryc. 2. Ratusz w Elblągu

Do sukiennic dostawiono dom pisarza, a za nim wybudowano dwa budynki jatek rzeźniczych. Ostatnim etapem rozbudowy zespołu ratuszowego, który miał miejsce na początku szesnastego stulecia,

była budowla postawiona w miejscu kamiennej wieży. Właśnie jej front jest widoczny na jedynym wspomnianym już źródle ikonograficznym z roku 1756. Do zespołu ratuszowego należało wewnętrzne podwórkó, w obrębie którego znajdowała się duża murowana latryna. Cały kompleks ratuszowy zajmował znaczną powierzchnię liczącą 1440 m² i był najważniejszym świeckim obiektem w przestrzeni dawnego Elbląga. Warto jeszcze dodać, że podczas prac wykopaliskowych znaleziono cenne egzemplarze ceglano- i kamiennego detalu architektonicznego, datowanego na czternaste i piętnaste stulecie, zdobiącego elewacje i wnętrza ratusza. Podkreślał on znaczenie i ważność obiektu oraz rolę, jaką odgrywał w miejskiej przestrzeni.

RATUSZ W PRABUTACH

Prabuty to obecnie niewielka miejscowość o ciekawej a zarazem burzliwej przeszłości, jak każde miasto leżące w szeroko pojętym obszarze Powiśla. To dawna „stolica” diecezji pomezańskiej, będąca niegdyś także siedzibą biskupa. Zachowany akt lokacyjny ośrodka jest datowany na rok 1330, chociaż, jak sądzą niektórzy badacze, pierwszy dokument dotyczący założenia Prabut mógł być wystawiony pod koniec trzynastego stulecia.

W mieście o regularnym układzie urbanistycznym centralną część zajmował rynek – plac targowy, w obrębie którego znalazły swoje miejsce obiekty administracyjno-handlowe, przede wszystkim centralnie usytuowany ratusz, będący ośrodkiem władzy i życia miejskiego.



Ryc. 4. Ratusz w Prabutach

Obiekt niestety nie zachował się do naszych czasów, bowiem już w połowie XIX wieku był mocno zniszczony, a w projektowanej odbudowie przeszkodził duży pożar miasta w 1868 roku, podczas którego pozostałości ratusza spłonęły doszczętnie. Nie znamy więc najstarszej formy jego postaci. Jedynie nieliczne źródła pisane i ikonograficzne przedstawiają nam ratusz jako dwupiętrowy budynek o długości stu stóp i szerokości trzydziestu stóp, ze stojącą obok wieżą zegarową z kruzgankiem i dwoma zegarami. Wokół budynku znajdowały się kramy rzemieślnicze i mały browar (Ryc. 3). W dolnych kondygnacjach ratusza urządzono archiwum, pomieszczenia magazynowe i areszt. Na górnych piętrach znajdowała się obszerna ratuszowa sala narad oraz sądowa, pomieszczenia przeznaczone dla wojska, miejska kasa, izby kamlarzy (miejskich skarbników). Tutaj odbywały się sprawy sądowe, wydawano rozporządzenia, płacono podatki i różnego rodzaju opłaty. W ratuszu koncentrowała się władza administracyjna i działania handlowe miasta. Tutaj „rozgrywało się” życie publiczne Prabut.

Żałować należy, że nie zachowały się pozostałości prabuckiego ratusza i jedynie na poziomie dzisiejszego rynku zaznaczono hipotetyczny zarys dawnej budowli, którego autorem jest dr Antoni Pawłowski.

RATUSZ W KWIDZYNIE

Pierwsza lokacja Kwidzyna na prawie chełmińskim dokonana przez Krzyżaków miała miejsce w roku 1233 lub 1235, w miejscu starszego grodu (osady?) pruskiego, a powtórna w 1336 roku. Ośrodek był stolicą biskupstwa pomezkańskiego i siedzibą kapituły.

Średniowieczne miasto miało kształt nieregularnego pięcioboku otoczonego mурowanymi umocnieniami, w obrębie których znajdował się zamek kapitulny i katedra, miejskie parcele oraz usytuowany centralnie kwadratowy rynek. W jego centrum wybudowano ratusz – jedyną do końca średniowiecza świecką budowlą miasta. Wzniesiony prawdopodobnie przed rokiem 1336 w stylu gotyckim, dopiero na początku siedemnastego stulecia, w latach 1608–1609, został częściowo przebudowany. Nadano mu wówczas formy renesansowe (Ryc. 4). W roku 1879 prawie całą budowlę zniszczył pożar. Na fundamentach najstarszego średniowiecznego ratusza wzniesiono trzypiętrowy budynek w tak modnym w ówczesnych czasach stylu neogotyckim (Ryc. 5). Rok 1945 przyniósł całkowite zniszczenie budowli, z której zachowały się jedynie fragmenty wieży i mury fundamentowe, które po odświeżeniu w 1973 roku zostały zinwentaryzowane, a następnie zasypane.



Ryc. 5. Ratusz w Kwidzynie

Ratusz w Kwidzynie zbudowany na planie prostokąta o wymiarach 13,3 m x 21,9 m, pierwotnie nazywany domem kupieckim, podobnie jak w każdym innym mieście, był obiektem spełniającym różnorodne funkcje. Początkowo większość powierzchni zajmowały pomieszczenia służące handlowi, a siedziba władz miejskich była umieszczona w zdecydowanie mniejszej partii budynku. Później systematycznie następowała zmiana niektórych funkcji w obiekcie i ratusz stał się instytucją wielofunkcyjną.

W piwnicach znajdowały się pomieszczenia magazynowe różnorodnych towarów, wzorcowa waga miejska, ławy rzeźnicze. Był prowadzony wyszynk wina i piwa. Umieszczono tutaj izbę tortur i tzw. kozę, niewielką celę więzienną do przetrzymywania aresztantów. Pierwsze piętro zajmowały: sala posiedzeń Rady Miasta i sala obrad Gminy, jak również archiwum. Druga kondygnacja należała do Sądu Miejskiego i jego archiwum.

Po przebudowie ratusza w latach 1878–1880 niektóre funkcje uległy zmianie. Chcąc podkreślić rangę Kwidzyna jako stolicy regencji kwidzyńskiej, ulokowano w ratuszu m.in. Kasy: Oszczędnościową i Miejską, Urząd Meldunkowy, różne sale obrad i gabinety przedstawicieli władzy miejskiej. Zniknęła natomiast wcześniejsza typowa dla tych obiektów funkcja handlowa, jaką ratusz pełnił przez stulecia.

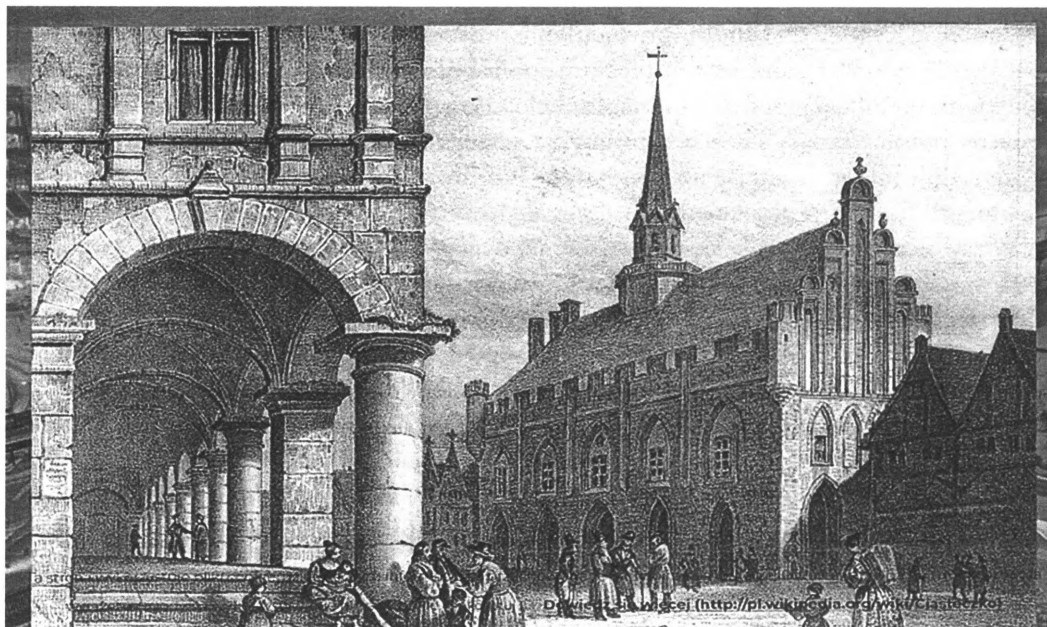
Od strony południowo-wschodniej do ratusza dostawiono wieżę z umieszczonym na niej zegarem i sygnaturką, która pełniła także funkcję punktu obserwacyjnego. Ratusz – podobnie jak w innych miastach otaczały kramy i budy, w których znajdowały się warsztaty rzemieślnicze i była prowadzona sprzedaż wyrobów.

W Kwidzynie, podobnie jak w Prabutach, ratusz zniknął z krajobrazu miasta w roku 1945.

RATUSZ W MALBORKU

Historia Malborka kojarzy się przede wszystkim z jego rolą stolicy Państwa Zakonnego do roku 1457, a później siedzibą starosty królewskiego w czasach Rzeczypospolitej. Dominującym obiektem był i jest średniowieczny zamek – obronna warownia, nie mająca sobie równej w Europie. W położonym obok zespołu zamkowego mieście były – chociaż nie zawsze zachowały się – inne obiekty wyjątkowe, funkcjonujące już od XIV wieku, np. ratusz czy szkoła łacińska.

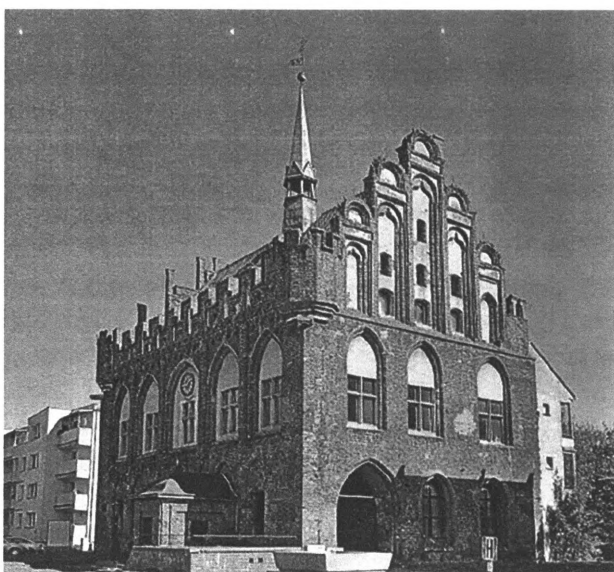
Najstarsza forma ratusza przed połową XIV wieku nie jest znana. Być może był to budynek o konstrukcji szkieletowej. Obiekt ceglany w stylu gotyckim zbudowany w latach 1365–1380 prawdopodobnie powstał w miejscu wcześniejszego domu kupieckiego. Po zniszczeniach, jakich doznał podczas wojny trzynastoletniej w latach 1457–1460 i po podpisaniu pokoju w Toruniu w 1466 roku, został odbudowany i przeznaczony na siedzibę starosty królewskiego. Znacznych uszkodzeń doznał ratusz podczas pożaru miasta, który miał miejsce 26 lipca 1899 roku (Ryc. 6). Jednak już w roku 1901 wg planów Conrada Steinbrechta i działań Bernharda Schmida został odbudowany w stylu „gotyckim”. W wyniku działań wojennych w 1945 roku budynek ratuszowy ponownie został mocno uszkodzony. Mimo to kolejna odbudowa przywróciła mu dawny blask.



Ryc. 6. Ratusz w Malborku

Malborski ratusz zbudowany z cegły na planie prostokąta jest obecnie budynkiem podpiwniczonym i dwukondygnacyjnym (Ryc. 7). Posiada dwuspadowy dach, a na wieżycze umieszczono uratowane z pożaru krzyż, kulę i chorągiewkę, na której zachowała się data 1686 rok. Jak w każdym ratuszu, na wieży znajdował się dzwon, a najstarszy znany ze źródeł pisanych został odlany w 1407 roku. W dolnej kondygnacji funkcjonowały podcienia, stosunkowo rzadko występujące w ratuszach północnych miast. Ściany wypełniają ostrołukowe okna, a na szczytowej powyżej ich linii umieszczono strefowo blendy, w które później wprowadzono niewielkie otwory okienne. Szczyty są dekorowane blankami, a w narożnikach umieszczono nadwieszone wieżyczki.

Piwnice ratuszowe pełniły funkcje magazynowe, prowadzony był wyszynk wina i piwa, a od XIX wieku funkcjonowała restauracja „Ratskeller”. Na wyższych



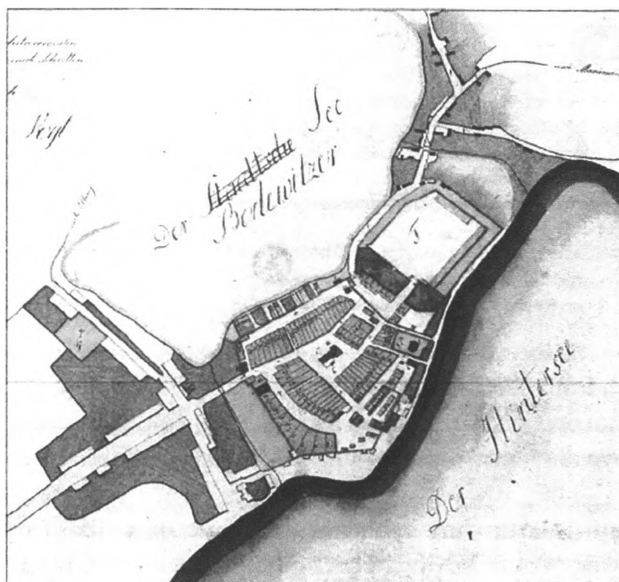
Ryc. 7. Ratusz w Malborku, stan obecny

poziomach znajdowały się sale rady i ławy, archiwum, pomieszczenia sądu i jego archiwum, potem policja.

Obecnie w odbudowanym ratuszu mieści się Miejski Dom Kultury „Ratusz”.

RATUSZ W SZTUMIE

Najstarszym elementem zespołu określanego mianem Sztum był zamek krzyżacki, o którym wspominają dokumenty źródłowe z końca XIII i pierwszej połowy XIV wieku. Po jego zachodniej stronie funkcjonowała niewielka osada targowa. 23 września 1416 roku wielki mistrz zakonu krzyżackiego, Michał Küchmeister von Sternberg, wystawił przywilej lokacyjny, sankcjonujący przekształcenie jej w ośrodek miejski – Sztum. Zostały w nim określone prawa i obowiązki mieszkańców. Wiązało się to także z wytyczeniem granic ośrodka, podziałem na ulice i bloki zabudowy mieszczkańskiej, wybudowaniem ratusza i kościoła parafialnego miasta.



Ryc. 8. Sztum. Plan miasta z 1810 roku (wg Sztum 1806–1945).

Na planie miasta z roku 1810 widzimy Sztum (zamek, miasto, przedmieścia) usytuowany między dwoma jeziorami. Miasto podzielone na nieregularne kwartały zabudowy z centralnie położonym rynkiem z ratuszem (Ryc. 8). W narożniku północno-wschodnim znajduje się kościół parafialny pw. św. Anny. Z lustracji przeprowadzonej w 1804 roku dowiadujemy

się, że w mieście było 105 budynków mieszkalnych, 2 kościoły i 39 budynków gospodarczych. Ale już w roku 1818 źródła informują, że liczba budynków uległa zmniejszeniu i nie ma również budynku średniowiecznego ratusza. Może to wskazywać na klęskę, która dotknęła miasto (pożar?).

W miejscu dawnego ratusza w 1816 roku rozpoczyna się budowa świątyni fundowanej przez króla Fryderyka Wilhelma III, która została ukończona dwa lata później i przekazana luteranom (Ryc. 9).

Podczas prowadzonych na przełomie XX i XXI stulecia prac remontowych i konserwatorskich w obrębie i na zewnątrz świątyni odsłonięto fundamenty średniowiecznego ratusza. Nie miałam jednak możliwości zapoznania się z dokumentacją związaną z prowadzonymi pracami.



Ryc. 9. Sztum. Kościół ewangelicki zbudowany w latach 1816–1818 w miejscu średniowiecznego ratusza (wg Sztum 1806–1945).

ZAKOŃCZENIE

Ratusz, będąc najokazalszym świeckim budynkiem każdego miasta, stanowił – co jest faktem oczywistym – dumę jego mieszkańców. Wznoszony był na miarę ich ambicji, gustów i możliwości materialnych. Może to być dla nas również pewną informacją o zdolnościach finansowych gminy czy miasta.

Ratusze były budowane w centrum miasta – na rynku – względnie na najbardziej reprezentacyjnej pierzei przyrynkowej. Początkowo były budynkami wznoszonymi w konstrukcji szkieletowej. Wraz z bogaceniem się mieszczaństwa przebudowywano je w obiekty murowane (kamiennie-ceglane).

Rozwój handlu i rzemiosła, wzrost liczby mieszkańców miast, powodowały rozrastanie się ośrodków miejskich, a tym samym rozbudowywanie ratuszy o kolejne segmenty i tworzenie w ten sposób kompleksów ratuszowych. Zmieniające się w budownictwie style przeobrażały sylwety ratuszy. Czasy renesansu, baroku, klasycyzmu przyniosły nowe formy dekorowania obiektów, m.in. poprzez fryzy układane z cegieł, zdobienie szczytów blendami, attyki, wieżyczki. Motywy te były także inspiracją dla bogatych mieszczan, którzy przebudowując swoje kamienice czerpali z nich wzory.

Ryszard Rząd



O ETNOGRAFIE Z WILCZYCH BŁOT

Jedną z naukowych dziedzin, jakie rozwijały się w 2 poł. XIX w., była etnografia. Zainteresowanie kulturą ludową stawało się popularne także na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. I to zarówno wśród badaczy polskich, jak i niemieckich. Wśród nich był Aleksander Treichel, gromadzący materiały na temat zwyczajów i życia codziennego Kaszubów.

Johann August Alexander Treichel urodził się **28 sierpnia 1837 r.**, jak sam później pisał – w „dzień Goethego”, w posiadłości wuja Johanna Hannemanna w Starych Polaszkach w powiecie kościerskim. Mieszkali tam wówczas jego rodzice: Karl Heinrich i Friederike Eleonore Hannemann. Narodziny dwóch siostr oraz przedwczesna śmierć ojca w wieku 27 lat również miały miejsce w Starych Polaszkach. Wychowaniem i edukacją Aleksandra zajęła się matka. Zatrudniła prywatnego nauczyciela, który później, w 1850 r., został jego ojczymem. Być może wówczas nowa rodzina przeprowadziła się do pobliskich Wilczych Błot (*Hochpaleschken*), majątku, który Fryderyka otrzymała w posagu. W trakcie nauki w gimnazjum w Szczecinku Aleksander wyróżniał się wśród rówieśników – założył szkolną korporację o nazwie Towarzystwo Okruchów Myślowych („Verein der Gedankenspäne”). To w nim poznał swoją przyszłą żonę, Emmę Toepfer (1834-ok.1919). Po zdaniu matury studiował prawo i ekonomię w Berlinie – bez wielkiego zapału, chociaż napisał doktorat, którego jednak celowo nie obronił, rezygnując z kariery prawnika. Uczęszczał wówczas także na zajęcia z historii, etnografii oraz nauk przyrodniczych, a zwłaszcza botaniki, która stała się jego największą pasją. Poświęcił się jej niemal całkowicie, rozszerzając krąg swoich zainteresowań także o geografii rozmieszczenia roślin. Angażował się w działalność berlińskiego Towarzystwa Botanicznego Prowincji Brandenburgia, gdzie był sekretarzem i bibliotekarzem. Publikował liczne monografie, artykuły i sprawozdania w wydawanym przez nie periodyku. W 1874 r. w uznaniu zasług biolog ze stołecznego Ogrodu Botanicznego, dr Georg Karl Wilhelm Vatke, uhonorował go, nazywając jego imieniem (*Treichelia longebracteata*) jeden z gatunków kwiatów rosnących na Przylądku Dobrej Nadziei.



Johann August Alexander Treichel



Dwór w Wilczych Błotach

krok z wewnętrznymi oporami, po długich wahaniach i rozmyślaniach – szczególnie że nie miał kwalifikacji w zakresie uprawy ziemi, a razem z Berlinem tracił swoje intelektualne otoczenie. Mimo tego jako urodzony i wychowany na wsi posiadał zrozumienie dla natury i już niedługo miał odnaleźć tu swoje naukowe pasje”. W 1885 r. Wilcze Błota obejmowały obszar ok. 750 ha i były jedną z większych posiadłości ziemskich w powiecie kościerskim. Znajdowała się w nich „parowa fabryka mączki, hodowla żrebców i świń na tucz”. Aleksander troszczył się o powierzony mu majątek z pomocą zarządcy i kilku techników. Około 1887 r. folwark gruntownie przekształcono. Przed starym dworem z 1 ćw. XIX w. pojawiły się okazałe, murowane zabudowania gospodarcze okalające rozległy dziedziniec. Na tyłach urządzono ogród z różnymi klombami i żywopłotami oraz warzywami i drzewami owocowymi, a za nimi park ze stawem i zagajnikiem. W przyległej osadzie robotników folwarcznych liczącej 7 domów i 88 mieszkańców (71 katolików i 17 ewangelików) wzniesiono murowaną kuźnię i rządcówkę. Według niektórych źródeł w marcu 1888 r. w folwarku



Anna z matym Aleksandrem i Franz z Elzą w towarzystwie dzieci z folwarku

W styczniu 1867 r. ożenił się ze wspomnianą wyżej Emmą Toepfer, z którą miał dwoje dzieci, Franza i Annę. Dziewięć lat później w ich życiu zaszła radykalna zmiana. Na prośbę matki, która z racji wieku (67 lat) nie mogła dalej sama zajmować się rodzinnym majątkiem, Aleksander wrócił z rodziną z Berlina do Wilczych Błot. Uczynił to bardzo niechętnie. Jak wspominała po latach córka Anna: „Zdecydował się na ten

wybuchł pożar. Spłonąć miała część zabudowań, stado około tysiąca owiec i koni oraz położona w pobliżu remiza strażacka.

Mimo zaangażowania we wspomniane wyżej prace Treichel nie zaprzestał swoich badań. Poszerzył przy tym znacząco krąg swoich zainteresowań o etnografię, antropologię i etnologię. Już ok. 1880 r. wstąpił do Gdańskiego Towarzystwa Przyrodniczego, biorąc regularnie

udział w jego dorocznych spotkaniach w różnych miastach Prus Zachodnich. Aktywnie udzielał się zwłaszcza w jego Sekcji Antropologicznej. W lutym 1881 r. wystąpił tam ze swoim pierwszym odczytem na temat grobu skrzynkowego kultury pomorskiej odnalezionej w Radoszowie koło Pucka.

Jak wspominała Anna: „Kiedy jednak nie musiał zajmować się rolnictwem, oddawał się zajęciom, które pochłaniały go całkowicie. W wielu dziedzinach jak etnografia, biologia i prehistoria, związanych z badaniem i opisem powiatu kościerskiego, a nawet całej prowincji Prus Zachodnich nie miał sobie równych. Jeździliśmy do położonych na uboczu wiosek, gdzie gromadziliśmy stare kobiety przy słodkiej nalewie i cukierkach. Prosiłszy je, by śpiewały i opowiadały, przez co udało się uratować wiele dóbr kultury ludowej” (cytaty za: wykład dr Hanny Nogossek z Niemieckiego Muzeum Historycznego w Berlinie na wernisażu wystawy „Polacy, Niemcy i Kaszubi. Życie codzienne, obyczaje i kultura ludowa w Prusach Zachodnich około 1900 roku”, Wdzydze Kiszewskie 2010 r.). Opisywał sposób życia miejscowej ludności, jej zwyczaje, szczególnie te związane ze ślubem i z weselem, gry i zabawy. Kaszubi przez długie lata wspominali „Pana z Paleschken”, jak drabiniastym wozem lub innym środkiem lokomocji przyjeżdżał, aby z nimi rozmawiać. Niektórzy uważali go za aptekarza zbierającego zioła i owady. Podkreślano jego dobry charakter, niezwykłą uprzejmość i otwartość na rozmówców. Był przy tym osobą wielce oryginalną. Pracując do późna żartował, że w ten sposób oszczędza na stróżach nocnych. Jako

notoryczny śpioch rzadko bywał na rodzinnych obiadach. Był wybuchowy i czuł się, jak mawiał, niczym „mały król w swoim państwie”. Potrafił wykazać się dobroduszością i gestem przy jednocześnie bardzo oszczędnym trybie życia. Przyjaciele śmiali się, że do swojej pracy wykorzystuje każdy niezapisany skrawek papieru. Nie rozstawał się ze swoim starym znoszonym ubraniem, ale bez namysłu kupował drogie książki i rzadkie znaczki pocztowe.

Obok cennej biblioteki i herbarium zgromadził wielkie kolekcje motyli, znaczków i kart pocztowych. Pasjonował się także ezoteryką i kabałą, czego dowodzą jego publikacje na temat tzw. kwadratu magicznego „Sator-Rotas”. Niewykluczone, że był członkiem jednej z gdańskich łóż wolnomularskich.



Anna z synem i mężem Bernhardem



Aleksander z synową Martą i wnuczką



Aleksander (w beczce) z rodziną i służbą na schodach dworu



Aleksander i Anna przy grze w karty

Jak pisała o nim w pośmiertnym wspomnieniu królowiecka *Königsberger Hartungsche Zeitung* (1901): „W świecie naukowym uznawany był za swoisty fenomen, oryginała, który samodzielnie wybierał sobie tematy badawcze i sam je opracowywał. Treichel nie wychodził od uczonych studiów, ale w kontaktach z ludem widział źródło swojego poznania. Stosował rozliczne metody w celu uzyskiwania materiału potrzebnego mu do badań, włączając w to szerokie kręgi osób. Nie krępowały go samotne wyprawy, podczas których rozmawiał z robotnikami i czeladnikami na wszelkie interesujące go tematy, korzystając z dialektu i specyficznego żargonu tych ludzi. Stąd też chętnie jeździł pociągami czwartą klasą po to, aby zaprzyjaźnić się z prostymi ludźmi i w ten sposób wysłuchać wszystkich ciekawostek i poznawać odpowiedzi na frapujące go pytania etnograficzne. Poza tym był w pisemnym kontakcie z wie-

loma uczonymi, często też angażował prasę do prowadzenia sondaży, promowania swojej działalności i kierowania apeli, by zgłaszać eksponaty do jego kolekcji. Rozumiał pojęcie folkloru w najszerszym tego słowa znaczeniu i zwracał uwagę na pozornie nieistotne szczegóły. Interesował się wszystkim i miał wspaniały talent zbieracza”.

Efektom jego prac były m.in. wydane w 1895 r. dwutomowe „*Volkslieder und Volksreime aus Westpreussen*” („Pieśni i rymowanki ludowe z Prus Zachodnich”). Opublikował też blisko 300 artykułów, m.in. w: *Zeitschrift des historischen Vereins für den Regierungsbezirk Marienwerder*, *Altpreussische Monatschrift* i *Verhandlungen der Berliner Gesellschaft für Anthropologie, Ethnologie und Urgeschichte*. W 1996 r. Muzeum Kaszubskie w Kartuzach wydało część zebranych przez niego opowieści ludowych *Die Kaschubischen Heimatsagen des Alexander Treichel*.

Jak pisali organizatorzy wspomnianej wyżej wystawy, „na temat Kaszubów dominował wtedy pogląd, że pochodzą od dawnej ludności słowiańskiej na południowym wybrzeżu Bałtyku i że stopniowo giną. Kaszubska kultura ludowa, obca i niezrozumiała zarówno dla Niemców, jak i Polaków spoza Pomorza, stawała się nawet dla samych Kaszubów swego rodzaju balastem, czymś niegodnym zainteresowania, wręcz wstydlwym. Zwłaszcza wobec pełnej germanizacji bądź polonizacji tzw. warstw wyższych. Dopiero ruch młodokaszubski z początków XX wieku zmienił sytuację. Działalność uczonych polskich i niemieckich – w tym z pewnością Aleksandra Treichela – przyspieszyły ten proces”.

W dokumentowaniu zwyczajów i obrzędów kaszubskich od najmłodszych lat pomagała mu córka Anna (1874–

1971). Już kiedy miała 24 lata jej biografia znalazła się w „Słowniku niemieckich kobiet pióra” (*Lexikon deutscher Frauen der Feder*). Czytamy tam m.in., że: „dorastała jako dziecko nieco samotne, ale w złotej wolności. O jej edukację duchową dbała guwernantka. Jej pierwsze opowiadania ukazały się w 1894 r. w berlińskiej *Volkszeitung* i *Danziger Zeitung*. Dzięki ojcu, który zawsze pozwalał jej brać udział w swojej pracy naukowej i podróżach, poznała dużą część świata i środowisko naukowców berlińskich. Często brała też udział w konferencjach przyrodniczych i antropologicznych, a na jednej z nich, we Frankfurcie nad Menem, poznała swojego przyszłego męża dr Bernharda Hagena, radcę wielkiego księcia Badenii, za którego wyszła w roku 1897. Wraz z ojcem wydała *Pieśni i rymowanki ludowe z Prus Zachodnich*, a poza tym pisuje do wielu magazynów i gazet codziennych”.

Wspomniany ożenek sprowadził do Wilczych Błot kolejną niezwykłą osobę, z pojawieniem której rozpoczął się nowy okres w naukowych dziejach posiadłości. Bernhard Hagen urodził się 23 listopada 1853 r. w Germersheim w Nadrenii-Palatynacie. Od dziecka zafascynowany był przyrodą – jak opowiadano – od chwili, gdy otrzymał



Aleksander i Anna z dworskimi praczkami



Zaproszenie na wesele



Sianokosy



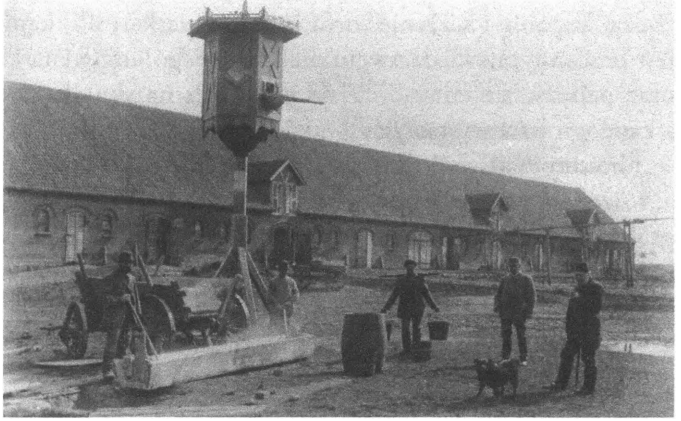
Pławienie owiec

w prezencie zasuszonego motyla. Po ukończeniu studiów medycznych w Monachium w 1879 r. wyjechał na Sumatrę, aby pracować jako lekarz na plantacji. Poprowadził także dwie wyprawy badawcze w głąb tej wyspy. W 1887 r. powierzono mu kierownictwo służb medycznych na jej wschodnim wybrzeżu. Wskutek czerwonki i malarii musiał na pewien czas wrócić do Europy. W latach 1893–95 pracował jeszcze na wybrzeżu Nowej Gwinei, ale nawrót choroby zmusił go ponownie do porzucenia Antypodów. Po powrocie do Niemiec trafił do wspomnianego wyżej Frankfurtu nad Menem i poznał Annę Treichel. 9 września 1897 r. w zborze w Nowych Polaszkach pastor Alfred Schmidt udzielił im ślubu. Anna wyjechała za mężem do Frankfurtu, gdzie w lipcu 1898 r. przyszedł na świat

ich syn, którego na cześć dziadka ochrzczono imieniem Aleksander. Ich gościnny dom w willowej dzielnicy Wiesenau był miejscem spotkań dla wielu naukowców i badaczy. W 1899 r. Bernhard opublikował monografię „Wśród Papuasów”, w której podsumował wyniki swoich badań na Sumatrze i Nowej Gwinei. Rok później założył Frankfurckie Towarzystwo Antropologiczne, które w 1904 r., dzięki poparciu władz miejskich przekształcił w Muzeum Etnograficzne. Kierował nim i systematycznie poszerzał zbiory o eksponaty ze swojej prywatnej kolekcji i z nowych wyjazdów badawczych. Prowadził wykłady z entomologii we frankfurckim Instytucie Senckenberga i z etnologii na Uniwersytetach w Heidelbergu i Halle, publikował kolejne prace.

Anna fascynowała się kulturą Wikingów i skandynawskimi mitami, czego dowodem jest jedno z jej ówczesnych opowiadań „Hugin i Munin” (1901), traktujące o parze kruków towarzyszących nordyckiemu bogu Odynowi. Wśród jej biżuterii znajdował się widoczny na kilku zdjęciach charakterystyczny naszyjnik składający się z młota Tora zdobionego głową kruka i plecionki w kształcie trzech krzyży.

Przyjeżdżając do Wilczych Błot małżonkowie zabierali ze sobą aparat fotograficzny i wspólnie z Aleksandrem dokumentowali życie folwarku i okolic. Warto poświęcić chwilę tym fotografiom, z których kilkanaście prezentujemy poniżej. Cudem ocalały w obu światowych wojnach i dziś przechowywane są w Instytucie Herdera w Marburgu. „Inscenizacja kadrów zdradza oko osoby wyszkolonej w komponowaniu zdjęć, ustawianiu różnych planów i efektów świetlnych. Mimo, iż rzeczywistość na zdjęciach Treichela często była inscenizowana przed oczami przesuwa się nam wyraziście cała panorama życia i pracy na w prowincji pruskiej pod koniec XIX wieku. Dla Treichela nie było rzeczy niegodnych utrwalenia; pokazuje nam krajobraz kaszubski, budynki m.in. siedzibę wójta Krönke w Rudzie, ewangelicką szkołę w Starym Bukowcu, dwór w Orlem, zamek w Kiszewie. Niemało jest zdjęć, na których występuje sam Alexander Treichel – z rodziną, sąsiadami, w ogrodzie, przed domem, na pikniku. Najliczniejsze i z pewnością najciekawszą grupę stanowią fotografie z życia wsi i folwarku. Widzimy kuźnię w Wilczych Błotach, inne budynki folwarczne z ludźmi i inwentarzem, wiejskie ulice, prace przy sianokosach, żniwach, młóckę



Gaszenie wapna na folwarku



Podkuwanie koni przy dworskiej kuźni



Kołodzieje z Wilczych Błot

zboża, kopanie i suszenie torfu, sortowanie kartofli, kąpiel i strzyżenie owiec ... Kolekcja jest bezcennym świadectwem nieistniejącego już świata i architektury, kultury regionalnej oraz pejzaży, zmieniających się w oczach na skutek industrializacji i urbanizacji” (cytat z katalogu w/w wystawy).

Niestety nadszedł tragiczny dla rodziny rok 1901. 30 marca zmarł mały Aleksander, a 4 sierpnia, wskutek nowotworu krtani, odszedł także jego dziadek. Pochowano go obok grobu ojca na ewangelickim cmentarzu w Nowych Polaszkach. Jako właściciel ziemski był bowiem patronem tamtejszego kościoła. Na grobie Anna kazała wykuć pełne smutku słowa:

Tu spoczywa w cichym, wiecznym spokoju
po długiej i ciężkiej chorobie,
którą zniósł z dzielną cierpliwością,
posiadacz dóbr rycerskich
Alexander Treichel
ur. 28 sierpnia 1837 r.
zm. 4 sierpnia 1901 r.
Jaskółki lecą w dal, ale też wracają,
tylko człowiek, gdy odchodzi, nie powraca,
także ten odszedł bezpowrotnie,
na smutek wiernego serca, które kocha go jak nikt,
odszedł – i pozostało puste miejsce po nim –
zapomnieć, zapomnieć, to tak trudno uczynić.

Wilcze Błota opustoszały. Żadne z dzieci nie zdecydowało się tu zamieszkać – Franz z żoną Martą i córeczką Elzą pozostał w Berlinie doglądając swoich interesów handlowych, Anna we Frankfurcie, gdzie trafiła też biblioteka i zbiory jej ojca. Nie znamy dalszych losów żony Aleksandra, Emmy. Według niektórych źródeł zmarła w roku 1914. W 1902 r. folwark sprzedano Komisji Osadniczej, a cztery lata później rozparcelowano między niemieckich kolonistów. Jeszcze przed rokiem 1920 większość z nich odsprzedała swoje działki Polakom i Kaszubom. Dwór przekształcono w niemiecką szkołę podstawową, wydzielając z jego części mieszkanie dla nauczyciela. Funkcjonowała ona do roku 1920, po czym została przekształcona w szkołę polską działającą do roku 1993. W 2003 jej pomieszczenia, z częścią dawnego ogrodu i parku, zostały wydzierżawione osobom prywatnym z przeznaczeniem na szkołę rzemiosł artystycznych.

Po śmierci ojca Anna dalej z oddaniem służyła mężowi radą i pomocą. Pracowała w Muzeum i towarzyszyła mu we wszystkich jego wyjazdach naukowych, m.in. w podjętej w 1905 r. wyprawie na Sumatrę i Jawę. Jej efektem był wydany w 1906 r. atlas typów głów i twarzy ludów Azji Wschodniej i Melanezji, zawierający obszerne pomiary antropometryczne i ponad pięćdziesiąt stron ze zdjęciami w nowatorskich ujęciach („Kopf- und Gesichtstypen ostasiatischer und melanesischer Völker”). W roku 1909 Bernhard został prezesem Frankfurckiego Towarzystwa Geograficznego, a w 1914 profesorem honorowym antropologii na tamtejszym Uniwersytecie. Zmarł wskutek powikłań pogrypowych 3 maja 1919 r. Miasto uczciło go honorowym grobem, którym do dziś opiekuje się powołane przez niego Muzeum.

Anna starała się podtrzymywać naukowe tradycje rodziny. Pracowała w deputacji ds. nauki, sztuki i szkolnictwa ludowego podległej ministerstwu oświecenia publicznego oraz w Instytucie Holenderskim uniwersytetu frankfurckiego. Była członkinią zarządu Towarzystwa Antropologicznego i jako pierwsza kobieta honorową członkinią miejscowego Towarzystwa Geograficznego. Wspierała i udzielała się także w wielu stowarzyszeniach charytatywnych, m.in.: *Akademischen Auslandstelle* zajmującym się pomocą dla niemieckich studentów uczących się za granicą, była współzałożycielką i przewodniczącą oddziału Stowarzyszenia Kobiet Czerwonego Krzyża dla Niemców za Morzem (tj. w dawnych koloniach). Zmarła w wieku 97 lat, 5 listopada 1971 r. Spuściznę naukową jej i męża przechowuje dziś Archiwum Miejskie we Frankfurcie.

W Wilczych Błotach niemymi świadkami opisanych wyżej wydarzeń są dziś: przydrożna kuźnia, zespół dawnych zabudowań folwarcznych, dwór i pozostałości przyległego doń parku. Bardziej dociekliwi odnaleźć też mogą w Nowych Polaszkach na dawnym cmentarzu ewangelickim grób Aleksandra Treichela, po latach powojennego zapomnienia, zidentyfikowany i odtworzony staraniem proboszcza tamtejszej parafii katolickiej.



Odtworzony grób Aleksandra Treichela w na cmentarzu ewangelickim w Nowych Polaszkach

Arkadiusz Wełniak



**PRZED TUTEJSZYM URZĘDNIKIEM STANU
CYWILNEGO STAWIŁ SIĘ DZISIAJ...¹**
**ORGANIZACJA I DZIAŁALNOŚĆ PRUSKIEGO
URZĘDU STANU CYWILNEGO W SZTUMIE
W 150 ROCZNICĘ JEGO POWOŁANIA**

W dniu 5 października 1874 roku ówczesny burmistrz Sztumu Schneider odnotował w księgach stanu cywilnego zgon trzyletniego syna Fryderyka Konopackiego, robotnika ze sztumskiego Abbau. Wpis ten rozpoczął działalność Urzędu Stanu Cywilnego w Sztumie (Standesamt Stuhm), który to przez następne siedemdziesiąt lat administracji pruskiej i niemieckiej był podstawą rejestracji ludności. Przypadająca właśnie 150-rocznica powołania urzędów stanu cywilnego w Prusach jest dobrą okazją do przypomnienia kontekstu historycznego, organizacji oraz znaczenia tej instytucji.

Zwycięstwo w wojnie z Francją i proklamowanie w styczniu 1871 roku Cesarstwa Niemiec kończyło kilkuletni proces jednoczenia państw niemieckich pod przywództwem Prus. Jednym z priorytetów polityki wewnętrznej kanclerza Otto von Bismarck stała się tzw. *walka o kulturę* (Kulturkampf), szczególnie widoczna w Poznańskim i na znacznym obszarze Prus Zachodnich z przewagą ludności narodowości polskiej oraz silną pozycją kościoła katolickiego. Wprowadzony obowiązek cywilnej rejestracji ludności bazujący na rozwiązaniach z czasów napoleońskich zakończył kilkunastuletni okres monopolu kościoła w tym zakresie. Metryki chrztów, ślubów i zgonów (pogrzebów) prowadzone w parafiach katolickich czy ewangelickich straciły tym samym dotychczasową rangę na rzecz aktów stanu cywilnego. W styczniu oraz marcu 1874 roku *Reichstag* przegłosował ustawę o małżeństwie cywilnym i obowiązku prowadzenia ksiąg urodzeń, małżeństw i zgonów. W ciągu następnych kilku miesięcy opublikowano szereg przepisów wykonawczych określających tryb, zasady i formy rejestracji. W kwietniu 1874 roku dokonano nowego podziału terytorialnego, określając siedziby i granice zatwierdzonych obwodów urzędowych (Amtsbezirke). Powiat sztumski został podzielony na 28 takich obwodów, w tym dwa w gminach miejskich (Stadtgemeinde): Sztum i Dzierzgoń. Były one równoznaczne z obwodem stanu cywilnego (Standesamtsbezirk). USC w Sztumie obejmował terytorialnie miasto, Sztumskie Pole i osady Wydry (Ostrów-Lewark) i Kępina (Antonienhof). Obowiązek rejestracji i prowadzenia ksiąg scedowano na burmistrzów, wójtów i ustanowionych naczelników w jednostkach najniższego szczebla (Amtsvorsteher). Z obwodem stanu cywilnego w Sztumie sąsiedował obwód wiejski Sztum-Przedzamcze (Vorschloss Stuhm), obejmujący poza terenem Przedzamcza także Sztumską Wieś, Zajezierze, Lipkę oraz Ostrów Brzezi. Faktyczna siedziba USC Sztum Przedzamcze znajdowała się do połowy lat 90. dziewiętnastego wieku w Zajezierzu, a długoletnim naczelnikiem urzędu był Henryk Donimirski. Mieszkańcy Barlewiczek,

¹ „Vor dem unterzeichneten Standesbeamten erschien heute“ (niem.). Regulka rozpoczynająca zapis każdego aktu stanu cywilnego w okresie prusko-niemieckim.

Ramz Wielkich, Górek, Szpitalnej Wsi podlegali z kolei pod urząd Barlewicach.

Pierwszym kierownikiem Pruskiego Królewskiego Urzędu Stanu Cywilnego w Sztumie był burmistrz Johann Friedrich Emil Schneider, który zresztą w 1879 roku, przed majestatem swego następcy na urzędzie Otto Hugona Doffenga, zawarł swój własny ślub cywilny. W okresie 1881–1904 sztumskim USC kierował długoletni burmistrz Luis Hagen. Wobec rozrostu biurokracji i kolejnych zadań odgórnie nakładanych na lokalne władze w 1906 roku w strukturze sztumskiego Magistratu powołano osobne stanowisko urzędnika stanu cywilnego.



Obwoluta księgi urodzeń Sztumu z 1874 roku. Landesarchiv Berlin

Początki działalności urzędów stanu cywilnego w Prusach Zachodnich nie były łatwe z wielu przyczyn. Niektórym urzędnikom, szczególnie w obwodach wiejskich, trudności sprawiało prawidłowe przypisanie właściwości terytorialnej czy zapis polskojęzycznych nazwisk. Z kolei miejscowa ludność przyzwyczajona do rejestracji kościelnej i nie do końca świadoma zmian zaniebdywała lub pomijała początkowo obowiązek zgłaszania narodzin i zgonów w USC. Dopiero wprowadzone kary administracyjne oraz sędowanie zadań kontrolnych na wójtów, właścicieli ziemskich i żandarmów zaczęło przynosić efekty.

Akt urodzenia wypisywany na ujednoliconym formularzu na podstawie osobistego zgłoszenia zawierał dane dotyczące rodziców dziecka, ich wyznanie oraz miejsca zamieszkania. Wśród zgłaszających fakt narodzin był najczęściej ojciec dziecka oraz akuszerki przyjmujące poród. Na przełomie lat 70./80. XIX wieku w Sztumie porody domowe przyjmowały Elisabeth Willem z d. Reinhold oraz Teresa Zakrzewska. Pierwszy akt urodzenia w Sztumie zarejestrowano dopiero 10 dni po powołaniu urzędu, kiedy pocztynion Joseph Krause oświadczył, że jego żona Katarzyna z domu Drebs urodziła w dniu 7 października o godzinie 2 w nocy córkę, której nadano imiona Joanna Katarzyna. Pierwsze dziecko wyznania ewangelickiego, syna dzierżawcy cegielni, wpisano do księgi 2 listopada, a 20 grudnia 1874 roku w Sztumie urodziła się córka farbiarza Żyda Moryca Brüma. W pierwszej dekadzie działalności sztumskiego USC liczba rejestrowanych urodzeń mieściła się w średnim przedziale 80–100 rocznie. Dopiero na początku ubiegłego stulecia, wraz ze wzrostem liczby mieszkańców, zaczęła ona rosnać, by w momencie demograficznego boomu w okresie III Rzeszy przekroczyć 150 wpisów rocznie.

W księgach zgonów USC w Sztumie z lat 1874–1877 dominują zgony noworodków i małych dzieci. Bardzo wysoka śmiertelność w tej grupie wiekowej zmniejszyła się sukcesywnie wraz z rozwojem powszechnej opieki szpitalnej i poprawą warunków bytowych

Sterbefall


Marienburg

Ortschaft	Ldstrm.
Vor- und Familiennamen	Alexander Szypniewski.
Religion	kath.
Ort der Geburt (Wohnort, Geburtsort, Geburtsort)	Stuhmsdorf, Stuhm, Pr.
Datum der Geburt	12. 1. 94.
Beschäftigung (Stand, Gewerbe)	Landwirt.
Wohnort	Stuhmsdorf. <i>(Hofen)</i>
Vor- und Familiennamen der Ehegattin Zahl der Kinder Bemerk. bei der Bestattung ledig ist	ledig.
Vor- und Familiennamen, Stand des Bewerbers und Wohnort der Eltern	Peter S., Landwirt, Stuhmsdorf.
Exampenteil (Stampagne, Patente, Erbschaften etc.)	Res. Inf. Regt. 59, 9. Komp.
Ursache des Todes	Am 5. 11. 15 vorm. 1 Uhr infolge Verwundung und Krankheit im Res.Laz. Hohensalza verstorben.
Ortschaft <i>Königl. Preuss. Reserve-Infanterie-Regiments No: 59.)</i>	

Die Richtigkeit vorstehender Umschrift bezeugt

Berlin, den 1. Februar 1916

Der Königlich Preussische Minister des Innern.



14. 436.

Meldunek o śmierci Aleksandra Szypniewskiego w Szpitalu Wojskowym w Inowrocławiu w dniu 5.11.1915 roku. AP Gdansk, Akta miasta Sztum, sygn. 838

ny i umierali w lazaretach w imię militarystycznych i imperialistycznych ambicji ostatniego niemieckiego cesarza.

Księgi małżeństw pozostają szczególnie cennym materiałem źródłowym nie tylko dla genealogów odtwarzających żmudnie dzieje własnych przodków, ale także dla historyków, socjologów i etnografów badających stosunki społeczne, narodowościowe, wyznaniowe i tendencje migracyjne małych społeczności. Pierwszy akt ślubu cywilnego w Sztumie zarejestrowano 19 listopada 1874 roku, a przed urzędnikiem Schneiderem stanęli: kontroler Franz Johann Pelzer, katolik pochodzący z Düren w Nadrenii, oraz Anna Maria Hausschulz, mieszkanka Sztumu wyznania ewangelickiego. Świadcami byli Karol Kannenberg, kupiec ze Sztumu, oraz lekarz i radca miejski dr Joseph Hesse. Małżeństwa cywilne zgodnie z pruską ustawą ze stycznia 1874 roku zawierane były w miejscu zamieszkania panny młodej. Analiza i zestawienie danych co do statusu społecznego, adresu zamieszkania mężczyzn zawierających związki małżeńskie w Sztumie potwierdza dobitnie tendencje wyjazdowe wielu młodożeńców ze Sztumu. Decydowały o tym względy ekonomiczne

i higienicznych. Pierwszy odnotowany w Sztumie zgon osoby dorosłej dotyczył osiemdziesięcioletniej wdowy Anny Zaborowskiej, katoliczki z Abbau Stuhm. Co ciekawe, zgłaszającemu ten fakt synowi nieznane było miejsce urodzenia matki. W następnych latach zarejestrowano także zgony wskutek nieszczęśliwych wypadków, m.in. zatonięcia dwójki nastolatków w jeziorze Białym czy ofiarę pożaru. Nieliczne są natomiast przypadki samobójstw czy morderstw, które były każdorazowo zgłaszane i opisywane protokolarnie przez miejscowy zarząd policji. W czerwcu 1929 roku w rejestrach sztumskich wpisano akt zgonu Ferdynanda Schulza, lotnika i instruktora lotnictwa, który pilotując samolot „Marienburg” rozbił się na sztumskim rynku. Na przełomie stuleci liczba aktów zejścia zmalała, by eksplodować w okresie pierwszej wojny światowej. Przykładowo w 1915 roku w księdze zgonów zarejestrowano aż 145 wpisów, z których ponad połowa dotyczyła poległych żołnierzy. Młodzi mieszkańcy Sztumu – niezależnie od pozycji społecznej, wyznania i narodowości ginęli na wszystkich frontach woj-

i dotyczyły przede wszystkim niezamożnej części mieszkańców. Wielu z narzeczonych, mimo że urodzonych na Powiślu, w momencie rejestracji ślubu mieszkało na terenie Westfalii, w Brandenburgii, Elblągu czy w większych miastach Prus Wschodnich. Notowane wzmianki i przypiski na aktach małżeństw pokazują rosnącą z czasem skalę rozwodów cywilnych, a w okresie hitlerowskim także skalę urzędowych zmian polskich nazwisk na niemieckie. Reforma urzędów stanu cywilnego w czasach Republiki Weimarskiej (1920–1933) spowodowała odstąpienie od notowana konfesji rejestrowanych osób oraz uproszczenie samego rejestru. Z kolei pod koniec lat trzydziestych zmieniony został dotychczasowy formularz aktów, a w miejsce dotychczasowych rejestrów ślubów wprowadzono tzw. księgi rodzin (Familienbuch). Miały one odpowiadać założeniom rasistowskich i nazistowskich regulacji, a jednocześnie ułatwiać inwigilację i nadzór nad społeczeństwem. Urzędnicy zostali zobligowani do sprawdzania i wpisywania dokładniejszych danych o przodkach z ujęciem ich pochodzenia. Akty stanu cywilnego miejscowych Żydów odpowiednio opieczętowano wedle klauzuli ustaw norymberskich, określając, że chłopcy i mężczyźni wyznania mojżeszowego otrzymują odtąd imię *Israel*, a dziewczynki i kobiety – *Sara*.

Księgi stanu cywilnego od początku istnienia tej instytucji w Prusach były prowadzone w dwóch seriach, to jest księgi głównej (Hauptregister) oraz duplikatu, czyli księgi bocznej (Nebenregister). Ta drugą po zamknięciu roku kalendarzowego przekazywano do archiwum miejscowego Sądu Obwodowego. Pod koniec 1944 roku, podczas wojennej ewakuacji, księgi sztumskie w całości zostały wywiezione w głąb Niemiec i znalazły się potem w zasobach Standesamt I w Berlinie. Obecnie większość z ksiąg (aczkolwiek jedynie z serii Nebenregister), jest dostępna w berlińskim Archiwum Krajowym (Landesarchiv zu Berlin). W przeciwieństwie do rejestrów z obwodu miejskiego Sztum, księgi stanu cywilnego z sąsiednich obwodów w Przedzmaczu, Barlewicach, Koniecwałdzie, Watkowicach, Kołozębie i Białej Górze przetrwały wojenną pożogę i można je już w większości znaleźć w archiwum państwowym. Niemal w całości zniszczeniu uległy natomiast przedwojenne akta zbiorcze

C. Nr. *40*
Schlau am *17. Juni* 19*29*
 Vor dem unterzeichneten Standesbeamten erschien heute, der Bestenfallszeit nach _____

 der *Polizei*, Verwaltung in *Schlau* für öffentliche Angelegenheiten
 wohnhaft in _____
 und zeigte an, daß *sein* *Lehrer* *Ferd.* *Schulz*, *ledig*

36 *Jahre* alt,
 wohnhaft in *Waldenau* *Str.* *1*
 geboren zu *Waldenau* *Kreis* *Posen* am *18. August* *1891*

 zu *Schlau* auf dem *Platz* *des* *letzten* *Tages* *seiner* *Lebens* *am* *17. Juni* *1929*
 am _____
 des Jahres *tausend* *neuhundert* *zweihundert* *neunzig*
sech *mittags* um _____ *Stunden* *verstorben* sei.

 Vorgelesen, genehmigt und

 Der Standesbeamte.
F. H. H. H.
 Die Übereinstimmung mit dem Hauptregister beglaubigt
Schlau am *18. Juni* 19*29*
 Der Standesbeamte.
F. H. H. H.
 R. 21.

Akt zgonu Ferdynanda Schulza z 1929 roku. Księga zgonów Sztumu. Zespół Landesarchiv Berlin

do ksiąg. Należały do nich m.in. akta zapowiedzi ślubnych (Aufgebote) oraz „zbiorówki” urodzeń i zgonów.

Instytucja urzędu stanu cywilnego wprowadzona w Prusach 1 października 1874 roku była praktycznym potwierdzeniem rozdziału kościoła od państwa. Znaczenie ksiąg stanu cywilnego dla genealogii nie dyskwalifikuje oczywiście wartości ksiąg metrykalnych zawierających dane, których z kolei trudno szukać w rejestrach stanu cywilnego. Można tu wskazać np. informacje dotyczące rodziców chrzestnych, miejsca pogrzebu czy stanu rodzinnego osoby zmarłej. Niekompletne metrykalia parafii rzymskokatolickiej w Sztumie sprzed 1945 roku są przechowywane obecnie w zasobie Archiwum Diecezjalnego w Elblągu. Księgi kościoła ewangelickiego w Sztumie można znaleźć natomiast w Centralnym Archiwum Ewangelickim w Berlinie Dahlem. Omawiając znaczenie, funkcje i rolę pruskich Standesamtów należy podkreślić jeszcze ich charakterystyczny związek z działalnością rejestracyjną późniejszych polskich urzędów stanu cywilnego. W 1920 roku na byłych terenach zaboru pruskiego utrzymano rejestrację cywilną wedle dotychczasowych zasad, a formularze w języku polskim były odwzorowaniem 1:1 pruskiego szablonu. Po drugiej stronie Wisły: w Gniewie, Świeciu, Chojnicach, Żninie, Barcinie, podpoznańskich zamożnych wsiach czy śląskim Radzionkowie owa polska administracja korzystała z „odziedziczonej” formy rejestracji ludności. Na pozostałych obszarach wskrzeszonej II Rzeczypospolitej, gdzie nieznaną była instytucja stanu cywilnego, pozostawiono dotychczasowy tryb oparty na strukturze parafialnej. Dopiero w 1945 roku powołano w całej Polsce sieć urzędów stanu cywilnego.

[Arkadiusz Wełniak, sierpień 2024]

Alicja Łukawska



ŻUŁAWSKIE OPOWIEŚCI

SYBIRACZKA ZE ZWIERZNA

Halina Ziemińska przyjechała na Żuławy w 1946 roku ze Związku Radzieckiego. Mieszka w centrum Zwierzna prawie naprzeciwko kościoła. Zajmuje połowę dużego, murowanego domu z cegły, do którego wchodzi brukowany podjazd. Strzeże go stary, rozłożysty kasztanowiec. Tamtędy właśnie wjeżdża się na zadbane podwórze obsadzone kwiatami. Na schodach wita przybyszy mały, rudy kotek. Jest sielsko i spokojnie.

Kiedy wiosną 2024 r. po raz pierwszy tam pojechałam, by rozmawiać z panią Haliną o jej życiu, uderzyło mnie pewne jej podobieństwo do mojej zmarłej mamy Haliny Łukawskiej. To samo imię, podobny wiek, wygląd, a także symetria wojennych losów życiowych oraz trauma wojenna osoby wyrwanej w dzieciństwie z własnego środowiska i deportowanej w nieznaną. Moja mama została skrzywdzona przez Niemców, Halina Ziemińska przez Sowietów. Takie przeżycia zostają z człowiekiem na zawsze. Nie sposób ich wyrzucić z pamięci, bo stale wracają. Można tylko o nich opowiedzieć.

SPOD BRZEŚCIA POD ARCHANGIELSK

Nasza rodzina wywodzi się z Podlasia. Mój ojciec Wincenty Pałdyna pochodził ze Stoka Lackiego koło Siedlec. Jego ojciec, a mój dziadek, był szlachcicem. Nazywał się Jan Borowski. Brał udział w powstaniu styczniowym, a potem musiał uciekać i ukrywać się przed Rosjanami. Wtedy właśnie zmienił nazwisko na Pałdyna. Jednak niewiele to pomogło, bo Moskale i tak go dorwali i powiesili.

Tatuś jako młody chłopak walczył z bolszewikami w wojnie polsko-radzieckiej w 1920 roku, za co otrzymał od państwa polskiego 10 hektarów ziemi jako wojskowy osadnik. To nadanie było w wiosce Suszki pod Wierchowicami, położonej po lewej stronie Bugu, kilka kilometrów od Brześcia.

Moja matka Stanisława pochodziła z arystokratycznego rodu Wyszomirskich. Jej ojciec, a mój dziadek, był hrabią. Jej rodzina mieszkała we wsi Skórzec w powiecie siedleckim.

Moi rodzice pobrali się na początku lat 20. XX w. Mamusia wniosła w posagu 10 hektarów ziemi. Przed wojną urodziło im się czworo dzieci: Zdzisław, Daniela, Zbigniew i ja, Halina. W okresie międzywojennym za pieniądze przypadające mu w spadku po rodzicach



Stanisława i Wincenty Pałdynowie. Zdjęcie zrobione w ZSRR tuż przed wyjazdem do Polski. Archiwum Haliny Ziemińskiej

tatuś dokupił jeszcze 15 hektarów ziemi oraz wybudował dom w Wierzchowicach przeznaczony na działalność usługową. Miały tam być rzeźnia i apteka.

Nasza rodzina żyła dość dostatnio, jak na tamte czasy. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne w Suszkach, liczyli też w przyszłości na dochód finansowy z domu w mieście. Jednak wszystkie ich nadzieje zniszczyła II wojna światowa. We wrześniu 1939 r. do wsi od wschodu wkroczyły wojska radzieckie, zajmując cały teren aż do Bugu, który stał się rzeką graniczną pomię-

dzy III Rzeszą a ZSRR. Po prawej stronie Bugu zapanowały sowieckie porządki. Zaczęła się likwidacja bardziej zamożnych i znaczących obywateli, a także aresztowania i wywózki pozostałych.

Naszą rodzinę wywieźli 2 lutego 1940 roku. Pewien złośliwy parobek z sąsiedztwa doniósł nowej radzieckiej władzy, że jesteśmy kułakami. Byłam wtedy dzieckiem, miałam kilka lat, ale pamiętam to wszystko jak dziś. Mam to wciąż przed oczami!

Enkawudziści przyszli do nas bez zapowiedzi, w środku nocy. Wyrwali nas ze snu. Tatusia i najstarszego brata Zdzisława postawili pod murem, pod karabinem. Wycelowali w nich broń i tak trzymali. Uwolnili ich dopiero, jak już mieliśmy wyjeżdżać. Mieliśmy bardzo mało czasu na zabranie czegokolwiek z domu. Mamusia szybko pakowała pierzyny, poduszki, ciepłą odzież i jakieś jedzenie. Brała m. in. suszoną fasolę, którą sypała w bańki. Jak byliśmy już gotowi, to dopiero wtedy puścili ojca i brata.

Powieźli nas kilka kilometrów saniami na dworzec kolejowy w Brześciu. Nie wiem, ile tam czasu byliśmy, zanim podstawili dla nas wagony. Na tym dworcu czuć było dym, bo gdzieś tam palił się węgiel. Nawet teraz, jak czuję ten smród, ten zapach palonego węgla, to przypomina mi się dworzec w Brześciu.

Około miesiąc jechaliśmy na północ pociągiem w bydłowych wagonach. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Podróż była bardzo ciężka. Warunki były prymitywne i trudne. Załatwialiśmy się do dziury w podłodze wagonu. Pamiętam, jak mama mnie tam zaprowadzała. Spałiśmy w wagonie na narach. Dręczyły nas zimno, mróz, głód i choroby. Ludzie umierali po drodze. W tym wagonie zmarła córka jednej pani, która z nami jechała. Z naszej wsi wywieźli wtedy także m. in. rodziny Króli, Kawów i Krasuckich oraz dziedzica z Wierzchowic.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Po wyjściu z pociągu powieziono nas dalej w nieznaną. Najpierw jechaliśmy samochodami ciężarowymi, a potem na saniach. Ostatecznie 1 marca 1940 roku znaleźliśmy się w przysiółku Warda, gmina Ust-pinega, Rejon Chołmogorski, Obwód Archangielski nad rzeką Dwiną Północną. To było około 100 kilometrów od Archangielska. Z początku ulokowano nas w jakimś pałacu w puszczy. Mieszkaliśmy w jednym pokoju

z innymi rodzinami. W pobliskiej Ust-pinedze mieszkała siostra mojego ojca z rodziną, tam było sześcioro dzieci. Oni też zostali wywiezieni.

Ojciec był wtedy niepełnosprawny. Na początku II wojny stracił słuch, bo tuż koło niego wybuchła bomba. Z powodu głuchoty nie nadawał się do ciężkich prac fizycznych. Rozumiał jednak, co ludzie mówią do niego, bo umiał czytać z ust. Został zatrudniony jako elektryk przy elektryfikacji tej okolicy.

Pracował także jako stróż. Natomiast mamę skierowano do ciężkiej pracy fizycznej przy wyrębie tajgi. Ta praca była przymusowa, zgodnie ze stalinowskim hasłem „kto nie pracuje, ten nie je”. Władza radziecka budowała wtedy drogę w lesie z Chołmogorów do Archangielska. Droga była wykładana wielkimi balami drewna. Była to wyniszczająca praca fizyczna, w zasadzie możliwa do wykonania jedynie dla silnych mężczyzn. A musiały ją też wykonywać kobiety.

Warunki życia na dalekiej Północy były mordercze. Przede wszystkim był tam niezwykle mroź, z którym nigdy wcześniej się nie zetknęliśmy. Było tam tak zimno, że jak się splunęło, to ślina zamarała w powietrzu, nim doleciała do ziemi. Strasznie głodowaliśmy. Była tam stołówka, w której raz dziennie wydawano nam cienką zupkę i trochę chleba. Racja wynosiła 20 dekagramów chleba dla dzieci i 40–50 dekagramów dla dorosłych na cały dzień. Jak ktoś był samotny, to jadł tę zupę na miejscu, a jak ktoś miał rodzinę, to zabierał ją w naczyniach na wynos. Ale to było za mało, aby przeżyć. Wszyscy Polacy byli słabi i niedożywieni. Bardzo chorowali. Śmiertelność była ogromna, nieraz codziennie umierały 2–3 osoby. Starsze dzieci, których nie obejmował jeszcze obowiązek pracy, chodziły po lesie i zbierały wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia, głównie był to szczaw i klukwy (żurawina). Zbierały też witki brzożowe, które sprzedawały miejscowym Rosjankom na paszę dla kóz. Po pewnym czasie przeniesiono nas z pałacu do obozu dla zesłańców, gdzie mieszkaliśmy w drewnianych barakach. Pomieszczenia ogrzewały żelazne piece, w których wprawdzie palono, jednak mimo to było strasznie zimno.

Na miejscu nie było żadnej szkoły, więc nie mogliśmy się uczyć. Tylko raz, na Nowy Rok, w obozie urządono nam jakieś święto. Zorganizowano wtedy spotkanie dla wszystkich dzieci. Dostaliśmy w prezencie od batiuszki Stalina cukierki w kształcie małych poduszeczek.

Jeśli chodzi o ubrania, to na początku każdy nosił to, co przywiózł ze sobą. Dopiero później, jak Niemcy napadli na ZSRR, pojawiła się pomoc amerykańska. Stany Zjednoczone w ramach umowy przysyłały do Związku Radzieckiego m. in. żywność i ubrania. Czasem udało się nam z tego skorzystać. Jednak te lepsze amerykańskie ubrania mama wynosiła



Od lewej: Ireneusz Prokopowicz, Daniela Prokopowicz, Zbigniew Pałdyna, Stanisława Pałdyna, Wincenty Pałdyna, Halina Pałdyna. Z przodu: Renata Pałdyna i Czesław Pałdyna. Zwierzno, lata 50. XX w. Archiwum Haliny Ziemińskiej

zaraz do kołchozów i wymieniała z Rosjankami na jedzenie. Przynosiła od nich mleko i ziemniaki.

Kiedy zaczęło się formowanie polskiego wojska w Związku Radzieckim, to wszyscy młodzi polscy zesłańcy chcieli zostać żołnierzami i bić Niemców. Mój brat Zdzisław też wstąpił do polskiego wojska. Nie zdążył do Polskich Sił Zbrojnych, czyli armii generała Andersa, ale zaciągnął się do „kościuszkowców” – to jest 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która w maju 1943 roku została sformowana w Sielcach nad Oką. Miał wtedy zaledwie 17 lat. Po krótkim przeszkoleniu wojskowym skierowano go na front. Został śmiertelnie ranny w Bitwie pod Lenino (12–13. 10.1943 r.). Do dzisiaj spoczywa w zbiorowej mogile w rosyjskiej ziemi.

SPOD ARCHANGIELSKA POD SMOLEŃSK

Na dalekiej Północy ZSRR byliśmy cztery lata. W 1944 roku wywieziono nas pociągiem na południe. Wyszadzono nas na Ukrainie niedaleko Smoleńska. Tamta stacja kolejowa nazywała się Putin. Jak nas tam wieźli, to widzieliśmy jak tamtejszych Ukraińców wywozili pociągami na daleką Północ, tam skąd myśmy przyjechali.

Pod Smoleńskiem osiedlono nas niedaleko Katynia, w pałacu w kołchozie Boryń. Tam był „sacharnyj zawod”, czyli cukrownia. Pałac ten musiał kiedyś należeć do jakiegoś bardzo zamożnego właściciela. Były tam ogromne pokoje. W takiej jednej wielkiej sali ulokowano siedemnaście polskich rodzin i jeszcze zostało sporo wolnego miejsca. Mieszkaliśmy tam przez pewien czas. Później przeniesiono nas w inne miejsce, które nazywało się „Bolnyj Chutor”. Tam był szpital. Mieszkaliśmy tam przez jakiś czas, a potem znowu przeniesiono nas do tego pałacu koło cukrowni.

Moja mamusia pracowała tam w kołchozie przy uprawie warzyw, brat Zbyszek zarabiał jako woźnica dowożący wozem konnym wodę na pole, siostra Daniela zatrudniła się jako opiekunka do dziecka u miejscowej lekarki, a potem u enkawudzisty. Tatuś pracował jako zdun. Stawiał ludziom piece w domach. A poza tym dodatkowo dorabiał sobie jako wróżbita. Przepowiadał przyszłość ludziom ze zwykłych kart do gry, nie z tarota. Nauczył się tego w młodości od pewnej dziewczyny, z którą spotykał się jeszcze przed ślubem z mamusią. W kołchozie kładł karty ukraińskim sąsiadom, a oni przynosili mu za to żywność: śmietanę, mleko, masło, mąkę, chleb i ziemniaki. Dzięki temu zajęciu cała rodzina miała więcej do jedzenia.

Wróżby ojca zwykle się sprawdzały. Był taki przypadek, że jedna pani chciała przekonać się, czy on mówi prawdę. Przyszła i poprosiła o położenie kart. Tatuś miał powiedzieć, jaka będzie przyszłość jej matki. A tu karty mówią mu, że ta mama nie żyje. Tatuś powiada, że tak karty pokazują: „O, tu jest krzyż, żołędzie i inne symbole.”. Widać z tego, że ona umarła. Ta klientka potem przyznała się, że chciała go tylko sprawdzić, czy nie zmyśla.

Był też przypadek odwrotny. Pewna Ukrainka dostała „powiastkę” z wojska, że jej mąż zginął na froncie. Przyszła do ojca po radę. Tatuś kładzie karty i mówi, że ten żołnierz żyje.

– Ale mi napisali, że on nie żyje – mówi ona.

– A ja ci kobieto powiadam, że on żyje! – upiera się tatuś.

I co wyszło potem? Za tydzień żona dostaje od niego list! Mąż przeżył!
Jak tam byliśmy, to tatuś pytał swoich kart, czy wrócimy do Polski. I to też się sprawdziło!

Z POWROTEM W POLSCE

W Związku Radzieckim byliśmy do wiosny 1946 roku. W kwietniu tamtego roku udało się nam wyjechać pociągiem do Polski. Było nas pięć rodzin w jednym wagonie. Znowu nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Zawieźli nas aż pod Gryfin na Pomorzu Zachodnim. Tam nam się nie spodobało. Nie chcieliśmy tam zostać. Mój tatuś i ci inni państwo, którzy z nami byli, załatwili z kolejarzami, że nas stamtąd zabiorą gdzie indziej. W tamtym czasie siostra mojej mamy Jadwiga Bieńko mieszkała w Pszczółkach, a druga siostra Maria Derkiewicz w Malborku.

Chcieliśmy jechać w tamte strony. Tym samym pociągiem pojechaliśmy więc do Tczewa. Po drodze w Pile była jakaś strzelanina. Kładliśmy się wtedy w wagonie na podłodze, by uniknąć strzału. Zatrzymaliśmy się w Zajączkowie pod Tczewem. Stamtąd mój starszy brat i siostra poszli pieszo do cioci do Pszczółek. Potem przyjechał wujek wozem konnym i zabrał nas do siebie. Tamte cztery polskie rodziny, które z nami jechały z Ukrainy, zostały w Zajączkowie. Nie wiem, jakie były ich dalsze losy. A my z Pszczółek ruszyliśmy do Malborka. Wisłę przepłynęliśmy promem.

W Malborku mój wujek Aleksander Derkiewicz pracował w starostwie jako geodeta. On był Białorusinem, bardzo wykształconym człowiekiem. Był duchownym prawosławnym. Najpierw skończył „szkołę dla popów”, a potem jeszcze uczył się geodezji. Znał język niemiecki, więc umiał odczytać ponemieckie mapy. Zajmował się w urzędzie zmianą dawnych nazw niemieckich na polskie w całym powiecie malborskim. Potem te nazwy były jeszcze ponownie zmieniane. Na przykład, u nas z początku było Duninowo, które przerobili na Zwierzno. Później zmieniono też układ administracyjny, to jest przenieśli nas z powiatu malborskiego do elbląskiego. Wujek przeniósł się wtedy do pracy z Malborka do Elbląga, też do starostwa, gdzie również pracował w geodezji.

To właśnie on nami pokierował. Wyszukał nam niezajęte jeszcze duże gospodarstwo w Zwierznie, tuż przy samym kościele. Wcześniej zaproponował nam gospodarstwo w Krzyżanowie koło Starego Pola, ale tatuś stwierdził, że ono będzie dla nas za wielkie. A to w Zwierznie mu pasowało. To miała być rekompensata za nasze utracone gospodarstwo w Suszkach za Bugiem. Prócz tego, za dom w Wierzchowicach dostaliśmy przydział na dom w Malborku na Nowej Wsi.

W Zwierznie był jednak ten kłopot, że dom mieszkalny należący do tego gospodarstwa był spalony. Zostały jednak porządne, murowane budynki gospodarcze i czworaki dla służby należące do tego gospodarstwa. Te czworaki stoją do dzisiaj, o, tam dalej, przy skrzyżowaniu. Tam właśnie po przyjeździe na Żuławy zatrzymała się nasza rodzina. Ja wtedy nie pojechałam z nimi, bo przez jakiś czas byłam u cioci w Pszczółkach. Dopiero potem dołączyłam do rodziców i rodzeństwa.

NASZ DOM NA ŻUŁAWACH

Jak przyjechałam po raz pierwszy do Zwierzna, miałam 12 lat. Przyjechałam wtedy sama pociągiem do Gronowa, wysiadłam, patrzę, a tu tyle wody! Zmartwiłam się. Jak ja się dostanę do tego Zwierzna?

Miałam szczęście, bo na stacji spotkałam dwóch sąsiadów moich rodziców ze Zwierzna. To byli panowie Wincenty Kopij i Kazimierz Błaszczyk, Wołyniacy. Oni akurat przyjechali do Gronowa bryczką. Pytają mnie, do kogo przyjechałam.

– Do Pałdyny – mówię.

– A to wsiadaj z nami, zawieziemy cię – powiedzieli.

Znali mojego tatusia, mówili na niego „Rusek”. Zabrali mnie ze sobą, dzięki czemu uniknęłam 7-kilometrowego marszu w wodzie po kostki do mojego nowego domu. Wszystko wokół było jeszcze zalane, nawet droga.

Sąsiedzi wysadzili mnie z bryczki tutaj, koło tego kasztana przy spalonym domu.

– To jest gospodarstwo twoich rodziców – powiedzieli i odjechali.

A ja nie wiedziałam, co mam dalej robić. Pokręciłam się tu i tam, popatrzyłam. Mojej rodziny tu nie ma. Wszędzie pusto. Nie ma nawet kogo zapytać, gdzie są moi krewni.

– Boże, co teraz będzie? – myślę sobie.

Widzę, że z domu naprzeciwko wychodzi jakiś radziecki żołnierz. A to sąsiadka Hanna Niemiec chodziła po swoim obejściu w żołnierskim szynelu...

Stoję koło tego kasztana i patrzę na drogę. Nagle słyszę, że ktoś idzie i gwizdże sobie jakąś melodię. Poznałam głos mojego brata Zbyszka. Najpierw go usłyszałam, a potem

dopiero zobaczyłam. On akurat wracał od kolegów we wsi. Przywitaliśmy się i zabrał mnie do rodziców, do tych czworaków. Przyjechałam tu w maju 1946 roku i zostałam do tej pory.

Ten kasztan tak bardzo urósł przez ten czas, kiedy tu przyszłam. Na początku, kiedy tu przyjechałam, to on był młody i tak cienki, że nawet nie mogłam się za nim schować.

Ten dom należał kiedyś do jednego z najbogatszych Niemców w tej wsi. On miał dużo ziemi i zatrudniał robotników, dla których wybudował czworaki w pobliżu. Nazywał się Max Knorr. Jego inicjały „MK” i data 1912 są widoczne u góry, na szczycie „świniarnika”, który zachował się do tej pory. Jest tu obok i należy do moich sąsiadów. Tam u góry obok inicjałów „MK” umieszczono rzeźbę głowy świni.

Członkowie rodziny Knorrorów przyjeżdżali tu po wojnie z Niemiec. Najpierw był jego syn, potem wnuczek, a później to już cała wycieczka tych Niemców do mnie przyjechała. Siedzę



Halina Ziemińska. Zwierzno, lata 50. XX w. Archiwum Biblioteki Publicznej Gminy Markusy

sobie kiedyś spokojnie przed domem, a tu mi przewodnik ich prowadzi. Oni zdjęcia robią, rozglądają się, kręcą się po moim podwórzu jak u siebie. Syn Knorra odgrażał się, że będzie się starał o zwrot domu i gospodarstwa.

– A czy mnie zwrócą nasz rodzinny dom, który został pod Brześciem na Białorusi, po tamtej stronie Bugu? – tak mu na to odpowiedziałam. Siostra była tam niedawno i widziała, że dom, który wybudował nasz tatuś, jeszcze stoi w Wierzchowicach. Obecnie jest w nim kino.

W czasie II wojny w gospodarstwie Knorra byli niewolnicy, to jest robotnicy przymusowi, Polacy i Rosjanie. Mieszkali u góry nad oborą. Jedna z tych polskich robotnic przymusowych została po wojnie w naszej wsi. Nazywała się Piotrowska. W czasie wojny była zakwaterowana w tym domu u góry. Pewnego dnia umówiła się na spotkanie z innymi Polakami, którzy pracowali u Niemców w pobliżu, w dużym gospodarstwie w polu. Takie spotkania towarzyskie robotników przymusowych były wtedy zabronione, więc musiała wymknąć się po kryjomu.



Stanisława Pałdyna i mężczyźni prowadzący skup zboża. Zwierzno, lata 50. XX w. Archiwum Biblioteki Publicznej Gminy Markusy



Wielkie żuławskie wesela Geni Kopij. Drobna Halina Pałdyna stoi trzecia z lewej w pierwszym rzędzie, obok panny młodej. Zwierzno, lata 50. XX w. Archiwum Haliny Ziemińskiej



Halina Ziemińska

Szykowała się do wyjścia. Prasowała sobie sukienkę elektrycznym żelazkiem. Spieszyła się i zapomniała wyciągnąć wtyczkę żelazka z gniazdka. Wybiegła po kryjomu szybko z domu, ale po pewnym czasie odwróciła się. Patrzy, a tu z okna dym bucha. Pali się! Pędem pobiegła z powrotem i wyłączyła to żelazko z kontaktu. Bała się, że jak Niemcy odkryją, co zrobiła, to mogą ją skazać na śmierć. Ale odłączenie prądu nic nie dało, bo wszystko wokół już się paliło. Płomienie buchały wysoko. I tak ten dom poszedł z dymem. Pani Piotrowska opowiedziała to mojej mamusi jak tu zamieszkaliśmy.

Jest taka wersja, że zimą 1945 roku Max Knorr został tutaj do końca. Jego rodzina uciekła wtedy na zachód, ale on nie chciał. Rosjanie złapali go i utopili go w zbiorniku z gnojówką, tam, za oborą. I chyba jego duch został tutaj do tej pory...

W tej oborze działały się dziwne rzeczy, które trudno wyjaśnić w sposób racjonalny. Jak tu zamieszkaliśmy, to mój tatuś dostał dwa konie z UNRRY. Jeden koń był nasz, a drugi był mojej babci, matki mojej mamusi. Ona na stałe mieszkała u cioci w Malborku, ale tu, w Zwierznie, miała zapisane pięć hektarów ziemi i koń należał się jej jako osadniczcze.

W tamtych czasach na Żuławy przyjeżdżali szabrownicy, głównie z warszawskiego, którzy kradli co popadnie. Koni wtedy wszędzie brakowało, były bardzo cenne. Trzeba było ich strzec dniem i nocą. Tatuś więc spał w oborze razem z nimi. Jak wspomniałam, nasza rodzina mieszkała wtedy nieco dalej, w czworakach należących do tego gospodarstwa, bo ten dom jeszcze nie był wtedy odbudowany po spaleniu. Tatuś był tu sam z tymi końmi. Jednej nocy miał wrażenie, że ktoś tu przyszedł. Usłyszał, że ktoś chodzi po oborze. Drzwi stuknęły, ktoś w coś walił. Myślał, że to przyszli złodzieje. Złapał za widły, by ich pogonić, rozejrzał się wokół, ale nie było nikogo.



Nawiedzona obora w gospodarstwie Haliny Ziemińskiej, fot. A. Łukawska

Po latach mój wnuk Paweł przeżył coś podobnego, jak spał tam nad oborą, na górze.

– Babciu, wyraźnie słyszałem tutaj czyjeś kroki. Miałem wrażenie, że ktoś tam chodzi. Ale nikt nie widziałem – opowiadał mi potem.

Kiedy indziej mój syn Andrzej śrutował zboże w oborze. Poszłam po niego, by go zawołać na kolację. I on mi wtedy mówi: „Cały czas mam wrażenie, że ktoś tu

jeszcze jest, że cały czas ktoś za mną chodzi.” A nie był strachliwy z natury. To było wkrótce po śmierci mojego męża, więc może to jego duch tu przyszedł?

Kiedy indziej ktoś inny pracował u góry, potem chciał wyjść, a drzwi same się zamknęły i nie mógł ich otworzyć. Znam to tylko z opowieści, bo mnie osobiście nic takiego nigdy nie spotkało, choć przecież chodziłam tam wieczorem, krów pilnowałam. I to tylko w oboze się objawiało. W domu nigdy...

Z początku to wcale mi się nie podobało na tych Żuławach. W tamtych stronach w Rosji, które poznałam, to były same lasy. A tutaj nie było lasu, tylko woda. Tu był całkiem inny pejzaż. Ale gdzie mieliśmy iść, skoro tamto nasze gospodarstwo za Bugiem straciliśmy? Nie mieliśmy dokąd iść. Musieliśmy tu zostać.

Jak wspomniałam, za nasz dom w Wierzchowicach dostaliśmy po wojnie dom w Malborku na Nowej Wsi, a za gospodarstwo w Suszkach gospodarstwo w Zwierznie. Tak nam się należało według prawa. Ale z drugiej strony, nie można było wtedy mieć dwóch posiadłości, to jest domu w mieście i gospodarstwa na wsi. Po jakiś czasie trzeba było zdecydować się na jedną. Ojciec był rolnikiem, więc wybrał gospodarstwo na wsi. Dom w Malborku nam zabrali.

Z początku w Zwierznie ojciec miał sporo ziemi, bo aż 46 hektarów. To miała być rekompensata za nasze gospodarstwo w Suszkach. Ale potem tatuś zrzekł się części tej ziemi, bo to było za wiele. Zresztą, kazali mu dopłacić za część tych hektarów. Wtedy tę właśnie część oddał państwu. Potem miał tylko 15 hektarów. Po paru latach władze tutejszego kołchozu wyremontowały ten nasz spalony dom, więc tam się przenieśliśmy. Z początku zajęliśmy cały, ale potem połowę nam zabrano i oddano sąsiadom, którzy przybyli z Wołynia. I tak żyjemy tu wspólnie tyle lat.

Jak na początku lat 50. tworzone w Zwierznie kołchozy, czyli spółdzielnię produkcyjną, to chciano nam zabrać całe to nasze gospodarstwo i wszystkie zwierzęta, które hodowaliśmy. Jednak ojciec się nie zgodził, bo by musiał wszystko oddać do wspólnoty. A on od 1948 roku miał dwa konie i dwie krowy. Konie i jedna krowa były z UNRRY, a drugą krowę ojciec dostał od sąsiada ze wsi w Siedleckim. Tuż przed wojną sprzedał mu 10 hektarów ziemi po rodzicach, ale nie zdążył wziąć od niego pieniędzy. Pojechał tam po wojnie do swoich braci, którzy tam mieszkali.

– Pieniądzy ci nie dam, bo nie mam, ale mogę dać ci krowę – zaproponował ten sąsiad. Ojciec się zgodził i wrócił do Zwierzna z tą krową. Szkoda byłoby to wszystko, co mieliśmy, te nasze zwierzęta i ziemię, ten cały nasz ciężko wypracowany dorobek, oddawać teraz do kołchozu.

W tamtym czasie spółdzielnie produkcyjne były zakładane przymusowo, a ludzie na zebraniach wiejskich byli namawiani do wstępowania. Mój ojciec jednak się postawił. Cały czas prowadził gospodarstwo indywidualnie. Ale były wobec niego straszne naciski z góry, sankcje i złośliwości. Uprzykrzali mu życie jak mogli. Musiał np. płacić większe podatki rolne. Gmina nie dawała mu żadnych ulg w podatkach. Jak urzędnik z gminy zażądał podwózki, to ojciec musiał dawać konia i wóz jako podwodę. Nasyłali na niego urzędowe kontrole, że jakoby za późno żniwa zaczynał.

W naszej gminie działał agitator partyjny, który potem został posłem do Sejmu. On sobie naszego ojca upatrzył i szczególnie prześladował. Czepiał się go stale na zebraniach.

– Człowieku, daj mu spokój! Wiesz, że on był wywieziony na daleką Północ i wrócił stamtąd. Daj mu żyć. On tu nie przyjechał z centralnej Polski, ale z Archangielska. I po co mu dokuczasz? – apelował do niego Władysław Podkościelny, który kiedyś był zarządcą w dobrach księcia Janusza Radziwiłła na Wołyniu. I dopiero to poskutkowało. Agitator odczepił się od ojca. Potem tę spółdzielnię produkcyjną rozwiązano i z powrotem były w Zwierznie gospodarstwa indywidualne.

Jak tu zamieszkałam, to we wrześniu 1946 r. poszłam do szkoły, która tu działała już od roku. Nie umiałam wtedy jeszcze czytać i pisać, bo nie miałam okazji wcześniej się uczyć. Przez jakiś czas chodziłam tylko do przedszkola, jak byliśmy w tym kołchozie na Ukrainie. W Zwierznie zaczęłam się uczyć w takiej klasie, którą nazywano „ciąg”. Chodziły do niej osoby w różnym wieku, które nie mogły wcześniej uczyć się z powodu wojny. Mieliśmy zrobić trzy lata nauki w ciągu jednego roku szkolnego. Naszą nauczycielką była Nadzieja Nowakowa, repatriantka spod Grodna. Ale ten „ciąg” to nie był dobry pomysł. Do mojej klasy chodzili uczniowie w różnym wieku, od kilku do kilkunastu lat. Prawie wszyscy byli tam przerośnięci. Młodzi ludzie traktowali pobyt w szkole jak spotkanie towarzyskie, taką odskocznicę od ciężkiej pracy w gospodarstwie. Niewiele można było się nauczyć w takich warunkach. Dopiero w następnym roku szkolnym było lepiej, bo ci starsi zaczęli się uczyć osobno. A ja trafiłam do normalnej klasy, w której były dzieci w jednym wieku. Moim nauczycielem był Alfons Rajchel.

Nasza wieś była wtedy centrum gminy. Prócz szkoły i Domu Ludowego był też na miejscu kościół katolicki. Z początku były tu dwa sklepy: spożywczy i żelazny, w którym kupowało się wyroby przemysłowe. Oczywiście, po większe zakupy jeździło się do miasta, przeważnie do Malborka, gdzie było dużo sklepów. Była też na miejscu piekarnia, która działała na tej zasadzie, że dawało się piekarzowi własną mąkę, a on piekł tyle chleba, ile kto zamawiał.

Z tego pierwszego okresu w Duninowie, czyli w Zwierznie, zapamiętałam m. in. wielkie wesele mojej koleżanki Geni, córki Wincentego Kopija. Byłam wtedy jej druhną, a tych druhen było aż dwanaście. Rodzice Geni mieli duży, stary dom i tam była duża sala, gdzie wszyscy goście się pomieścili.

Pamiętam też wielką plagę myszy, jaka tu była pod koniec lat 40, a także pierwsze uroczyste dożynki w naszej gminie. To był chyba rok 1948. Z okolicznych wsi przyjechali wtedy ludzie wozami konnymi i ciągnikami. W Zwierznie był zorganizowany pochód, potem była uroczystość na schodach w Domu Ludowym, a później zabawa taneczna. Mój ojciec też brał udział w tej uroczystości. A ja byłam ciekawa, co się dzieje i poleciałam tam z domu boso, bo butów nie miałam. Taki podlotek byłam wtedy.

– O Jezu, a ta dziewczynka boso! Co to za dziewczynka? – mówi jakiś pan.

– A to moja córka – powiedział tatuś i pogroził mi palcem. Wtedy szybko pobiegłam z powrotem do domu.

Ważnym wydarzeniem było też dla nas otwarcie siedziby straży pożarnej w Zwierznie w 1957 roku. To była wielka uroczystość. Naszą nową remizę poświęcił ksiądz proboszcz Teofil Chrobak, wtedy jeszcze władze pozwalały na to.

Moi rodzice stawiali na edukację dzieci. Nas wszystkich wysłali do szkół w mieście. Sąsiedzi nawet gadali, że Pałdyna to swoje potomstwo wykształcił, a ich dzieci pracują

u niego w polu. Bo wtedy był taki zwyczaj, że w sezonie rolniczym, jak były pilne roboty w polu, to ludzie chodzili jeden do drugiego i pomagali sobie, zwłaszcza tym, którzy już byli sami, bo dzieci poszły uczyć się do miasta, przeważnie do Elbląga. U nas wszyscy się uczyli w miastach, moje starsze rodzeństwo Daniela i Zbigniew, jak również młodszy brat Czesław i najmłodsza siostra Renata. Ja uczyłam się w szkołach średnich w Gdańsku i w Sopocie. Potem pracowałam jako opiekunka w żłobku w Stalewie, a później jako kierowniczką żłobka w Ząbrowie. W latach 50. tworzone na wsi żłobki, by matki mogły wyjść z domów i pracować w kołchozach, które wtedy właśnie zakładano. W takim wiejskim żłobku było przeciętnie od 15–20 dzieci. Później zatrudniłam się w sklepie spożywczym.

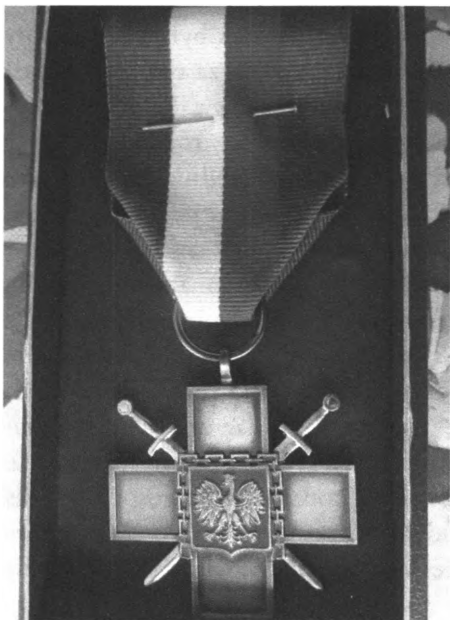
Wysłałam za mąż za Zbigniewa Ziemińskiego, który skończył szkołę leśników. Urodziło się nam pięcioro dzieci. Po ślubie mieliśmy wyjechać daleko stąd, bo proponowano mi pracę w innym rejonie Polski. Ale moja mama zaczęła wtedy płakać, że oni tu sami zostaną, bo wszystkie inne dzieci już z domu wyfrunęły do miasta. Tylko ja byłam na miejscu. Więc nie wyjechalśmy z mężem, zostaliśmy tutaj z moimi rodzicami na gospodarstwie. Byliśmy z nimi do końca. Po śmierci rodziców prowadziliśmy gospodarstwo o powierzchni 20 hektarów, hodowaliśmy krowy, świnie i inne zwierzęta, chociaż ja właściwie nigdy nie planowałam pracować w rolnictwie.

Przez ten czas jak tu mieszkam, to widzę, że wszystko na wsi się zmieniło. Ale najbardziej zmienili się ludzie. Kiedyś nie było takich wygod jak dzisiaj, tych wszystkich łazienek, telewizorów, telefonów, ale ludzie byli bardziej otwarci, bardziej przyjaźnie do siebie nastawieni. Spotykali się często, rozmawiali, bawili się i bardzo sobie pomagali. Czuli się tutaj tak bezpiecznie, że w ogóle nie zamykali domów, nawet na noc. Jak mieszkaliśmy w tych czworakach, to idąc w pole tylko podpieraliśmy nasze drzwi kołkiem, aby było widać, że nikogo nie ma w domu. A teraz jest zupełnie inaczej. Każdy siedzi osobno, zamknięty w swoim domu. Ale ja to do dzisiaj rzadko zamykam drzwi domu, tak już jestem przyzwyczajona.

TROCHE HISTORII...

W czasach II RP Suszki, czyli rodzinna wioska pani Haliny, znajdowały się w województwie poleskim, w powiecie brzeskim. Na przełomie XIX i XX w. Suszki należały do hrabiny Marii Pusłowskiej. Rodzina Pusłowskich zbudowała tam dom mieszkalny, młyn, spichlerz i inne budynki gospodarcze. W latach 30. pałac Pusłowskich został rozebrany, a w jego miejscu wybudowano szkołę. W okresie międzywojennym ziemia należąca do tego rodu została rozparcelowana pomiędzy polskich osadników wojskowych.

Pierwsza wielka akcja deportacyjna mieszkańców tamtych terenów odbyła się 10 lutego 1940 roku. Jednak rodzinę pani Haliny wywieziono już kilka dni wcześniej. Według współczesnych danych rosyjskich deportacji podlegało około 140 tysięcy osób, natomiast według danych polskich było to od 200 do 250 tysięcy osób. Polacy stanowili około 70 procent wywożonych, reszta to Białorusini i Rusini. Deportowano głównie ziemian, osadników wojskowych (weteranów wojny polsko-radzieckiej 1920 roku), duchownych, urzędników państwowych, służbę leśną i kolejarzy. Wywożono całe rodziny, wraz z dziećmi



Odznaczenie Krzyż Zesłańców Sybiru Haliny Ziemińskiej, fot. A. Łukawska

i starcami, nie robiąc żadnych wyjątków. Ci ludzie mieli zasiedlać bezludne, północne rejony ZSRR, m. in. w Republice Komi, Republice Jakuckiej, Republice Baszkirskiej, Kraju Ałtajskim i Kraju Krasnojarskim.

Położone na lewym brzegu Dwiny Północnej Chołmogory, w których okolice trafiła rodzina Pałdynów, to bardzo stara miejscowość. Na przestrzeni wieków w tamtej okolicy mieszkwały kolejno: plemiona ugrofińskie, Skandynawowie i Słowianie. Legenda mówi, że Chołmogory to dawny mityczny Holmgard, stolica Biarmii (Biarmlandu), zasobnej krainy na dalekiej Północy, o której jest mowa w skandynawskich sagach. Około tysiąc lat temu znajdowała się tam faktoria handlowa i odbywały się targi. Z północy docierali tam Wikinowie, z południa kupcy rosyjscy z Niżniego Nowogrodu, a nawet kupcy arabscy z Azji Mniejszej. W XVII wieku w Chołmogorach zbudowano największą prawosławną świątynię na Rosyjskiej Północy.

To istniejący do dzisiaj potężny Sobór Przemienienia Pańskiego oraz towarzyszący mu zespół budynków klasztornych, dawna siedziba lokalnego biskupa. Później to biskupstwo przeniesiono do Archangielska. W XVIII w., w czasie polsko-rosyjskiej wojny północnej, zapędzili się tam Polacy z oddziałów lisowczyków.

Od XVIII w. było to tradycyjne miejsce zsyłek. Najstynniejszym zesłańcem w Chołmogorach była małoletni car Rosji Iwan IV, którego uwięziono tam wraz z rodzicami: regentką Anną Leopoldowną i ojcem Antonim Ulrykiem z Brunszwiku. Po rozbiorach Polski zaczęli trafiać tam polscy zesłańcy. Wielkie fale Polaków na daleką północ Rosji spłynęły po powstaniach listopadowym i styczniowym. Po rewolucji październikowej w Chołmogorach urządzono łagier i miejsce kaźni dla Białych Rosjan (m. in. żołnierzy wojny domowej, marynarzy z Kronsztadtu i osób cywilnych). Bolszewicy rozstrzelali tam około 10 tysięcy osób. Obiekty sakralne zostały zamknięte w 1922 roku, a duchownych wypędzono. Pomieszczenia po nich zostały potem przeznaczone na miejsce pobytu polskich zesłańców z terenów wcielonych do ZSRR w ramach rozkułaczania wsi. W 1940 roku przywieziono tam tysiące polskich „specprzesiedleńców” z tzw. zachodniej Ukrainy i Białorusi, których zmuszono do pracy w państwowych przedsiębiorstwach leśnych.

Sytuacja zesłanych Polaków nieco zmieniła się po napaści III Rzeszy na Związek Radziecki. We wrześniu 1941 roku ogłoszono dla nich amnestię. Potem zaczęło się formowanie polskiego wojska w ZSRR. Część Polaków chcących zostać żołnierzami, dotarła do Polskich Sił Zbrojnych, czyli armii generała Andersa, a ci, którym się to nie udało, wstępowali do „kościuszkowców”, czyli 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która w maju 1943 roku została sformowana w Sielcach nad Oką. Żołnierzem tej właśnie dywizji

został Zdzisław Pałdyna, najstarszy brat pani Haliny, który został artystą. Jego dane znalazłam w internetowym spisie żołnierzy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, jak Rosjanie nazywają II wojnę światową.

W maju 1943 roku Rada Komisarzy Ludowych ZSRR wydała postanowienie o przeniesieniu byłych polskich obywateli w południowe rejony ZSRR. Część z nich wysłano na Ukrainę, do przedsiębiorstw zajmujących się produkcją cukrowniczą, prowadzonych przez państwową firmę „Gławsachar”. Wśród nich była też rodzina Pałdynów.

Halina Ziemińska należy do elbląskiego oddziału Związku Sybiraków. Z początku nie chcieli jej tam przyjąć, bo nie miała potrzebnych dokumentów. Dopomógł jej Janusz Kitajewski, który działał w tej organizacji kombatantów. Znali się od dawna, bo byli razem wywiezieni na daleką Północ i przez pewien czas nawet mieszkali w jednym baraku pod Archangielskiem. Kitajewskiemu udało się dotrzeć do armii Andersa, wraz z nią opuścił ZSRR i przedostał się na Zachód, a potem walczył z Niemcami jako pilot wojskowy w Anglii. Po wojnie wrócił do Polski. Dzięki temu, że znał panią Halinę jako dziecko, mógł być świadkiem w sprawie przyjęcia jej do grona kombatantów. W wypełnieniu papierów pomogli również inni znajomi z wywózki.

23 listopada 2006 r. Halina Ziemińska została odznaczona Krzyżem Zesłańców Sybiru, który w imieniu Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego wręczył jej wojewoda warmińsko-mazurski. Odznaczenie to przedstawiające srebrny krzyż z dwoma skrzyżowanymi mieczami i polskim orłem z trzech stron otoczony łańcuchem zostało ustanowione w 2003 r. jako wyraz pamięci o polskich obywatelach deportowanych na Syberię i daleką Północ ZSRR.



Legitymacja Krzyża Zesłańców Sybiru Haliny Ziemińskiej, nr 36-2006-185, fot. A. Łukawska



Legitymacja Krzyża Zesłańców Sybiru Haliny Ziemińskiej, nr 36-2006-185, fot. A. Łukawska

Wiesław Olszewski



WOJNA O DEPRESJĘ W CIENIU WIEŻ TRIANGULACYJNYCH

Na stronie zulawytv.pl 27 lipca 2023 roku ukazała się informacja: *Nowy, najniższy, naturalny punkt terenu w Polsce nie jest już tylko abstrakcyjnymi współrzędnymi. We wsi Marzęcino na Żuławach Wiślanych, w najniższym punkcie w Polsce, właśnie posadowiono betonową kolumnę zwieńczoną ozdobnym, stalowym dyskiem – reperem, czyli geodezyjnym znakiem pomiaru wysokości – a ponad nim ustawiono symboliczną wieżę triangulacyjną jako znak orientacyjny, pomagający odszukać ten punkt w terenie¹.*

Był to symboliczny akord wieńczący starania dwóch żuławskich pasjonatów, członków Klubu Turystycznego PTTK Szuwarek w Nowym Dworze Gdańskim – panowie Jacek Gross, geodeta, starosta nowodworski oraz Edmund Łabieniec, nauczyciel historii z Marzęcina, wówczas radny powiatu nowodworskiego, w pobliżu tej miejscowości odkryli największą depresję w Polsce. Dokonali tego odkrycia w marcu 2013 roku, detronizując w ten sposób dotychczasowego lidera – Raczki Elbląskie. Odnotowała to wiekopomne odkrycie również nasza PROWINCJA tekstem jego współsprawcy Jacka Grossa².

Droga od dokonania pomiaru do powszechnego uznania odkrycia była jednak daleka. Od razu jednak po odkryciu pojawiły się związane z tym emocje. Nowodworzanie dyskredytowali prawo Raczek Elbląskich do chlubienia się nobilitującym tytułem. *Punkt w Raczkach miał mieć*

¹ <https://zulawytv.pl/11002/marzecino-trwa-znakowanie-najnizszego-punktu-w-polsce>.

² Prowincja, Kwartalnik Społeczno Kulturalny Dolnego Powiśla i Żuława, nr2(24) 2016, s.69–71.



Autor na tle wieży wskazującej najniższy punkt, fot. Danuta Sadowska Skura

wysokość 1,8 metra poniżej poziomu morza; gdyż była to lokalna legenda, powtarzana od lat 50-tych XX wieku, na której poparcie nie było żadnych dowodów – nie wiadomo kto, kiedy i jak, a nawet gdzie dokładnie zmierzył ów punkt, bo ustawiony w centrum Raczek słup (54°07'24,32" N, 19°22'51,74" E) był czysto symboliczną atrakcją turystyczną³. – pojawiło się na stronie internetowej Żuławy TV.

Nie jest jednak tak, że wszystkim „nie wiadomo kto, kiedy i jak, a nawet gdzie...”, jak pisze niepodpisany autor. Są osoby, które tę wiedzę mają. Obniżenie terenu o rzędnej 1,8 p.p.m. figuruje w danych Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii odkąd tereny te weszły w jurysdykcję tegoż urzędu. Na starych mapach, od zgłębiania których swe poszukiwania rozpoczęli odkrywcy z Marzęcina, są pokazane także warstwy w okolicach Raczek Elbląskich, w tym ta o rzędnej -1,8. Chodzi tu zapewne o mapy, które dostępne są na stronie internetowej: Archiwalne Mapy Pomorza Gdańskiego⁴. Jak w jednym z wywiadów wyjaśnił Mundek Łabieniec (zdrobnienie imienia wynika z faktu, że od wielu lat jesteśmy zaprzyjaźnieni), korzystali z mapy z 1935 roku, na której są też okolice Elbląga. Tyle tylko, że Raczek Elbląski pokazane są tam jako ląd, a obecna Dolina Marzęcińska – jako akwen wodny, część Zalewu Wiślanego. Pierwsza niejasność jest więc wyjaśniona.

Znana jest też geneza oznakowania depresji. Zainicjował ją regionalista pomorski, miłośnik Żuław i Kociewia, muzealnik, autor wielu prac z zakresu turystyki i historii Pomorza, Roman Klim, w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, był w tym bardzo zdeterminowany. W stosownym piśmie do władz ówczesnej Gminy Elbląg nieopatrznie użył słowa „pomnik” i szybko otrzymał odpowiedź: *Obywatelu, pomnik to można postawić bohaterom, a nie depresji*⁵. W ten sposób wówczas sprawa upadła. Powrócono do tematu ponad dwadzieścia lat później za sprawą liderów Oddziału Ziemi Elbląskiej PTTK – prezesa oddziału Witolda Ławrynowicza i Henryka Myślińskiego – prezesa działającego przy tym oddziale Klubu Turystów Pieszyc „Delta”. Zainteresowali tematem wtedy już „samorządne” władze



Resztki wieży triangulacyjnej w Dębnie k. Nowego Stawu, fot. Danuta Sadowska Skura

³ <https://zulawytv.pl/11002/marzecino-trwa-znakowanie-najnizszego-punktu-w-polsce>.

⁴ <http://www.mapy.eksploracja.pl/news.php>.

⁵ Gazeta Wyborcza Trójmiasto, 19 lipca 2002 r.



Znak najniższego punktu w Polsce jeszcze na polu w Raczkach Elbląskich, fot Wikipedia

Gminy Elbląg, które temat podchwyciły. Do współpracy zaproszono elbląskich geodetów i ci punkt znaleźli w 2002 roku. Wpadł na polu gospodarstwa ogrodniczego państwa Guratowskich, którzy do przedsięwzięcia się włączyli. Stali się depozytariuszami ozdobnej pieczęci, którą wędrowcy potwierdzali „zdobycie” najniższego punktu w Polsce, a na tej podstawie Oddział Ziemi Elbląskiej PTTK wystawiał stosowny (też ozdobny) certyfikat. I tak kolejna wątpliwość została wyjaśniona.

Od kilku lat słup znajduje się faktycznie w centrum miejscowości, miejscu symbolicznym, dokąd został przeniesiony z kilku powodów. Po pierwsze, znacząco spadło zainteresowanie nim (!). *Nie była to atrakcja, która rzuciła na kolana* – pisał Michał, autor bloga Zasmakuj w Polsce⁶. Po drugie, zmieniło się nastawienie właścicieli pola: słup, jego ogrodzone otoczenie oraz dojazd do niego zajmowały znaczny teren, który był z gospodarstwa wyłączony. Gmina obiecywała gospodarzom stosowną rekompensatę, ale przestała się z zobowiązania wywiązywać. W tych okolicznościach zapadła decyzja o przeniesieniu oznaczenia do centrum wsi na teren gminny, miejsce faktycznie symboliczne. I to jest kolejne wyjaśnienie.

Pierwsza próba detronizacji Raczek Elbląskich pojawiła się wcześniej, niespodziewany atak nastąpił z sąsiedniej Gminy Gronowo Elbląskie, a dokładnie z leżącego w tej gminie Wikrowa. 19 września 2000 roku na portalu elblag.naszemiasto.pl ukazała się rewelacja: *Największa depresja w Polsce jest w Wikrowie*⁷. I dalej uzasadnienie: *Geodeci stwierdzili, że największa depresja -2,10 metra poniżej poziomu morza – jest w Wikrowie*. Tezę tę od razu podważył ówczesny wójt Gminy Elbląg Grzegorz Nowaczyk. Podkreślił, że opisane miejsce to sztuczny dół powstały po pozyskiwaniu, jeszcze przed wojną, torfu. Pojedynkowo dodał wszak: *Jeżeli jednak badania geodezyjne potwierdzą większą depresję w Wikrowie, to przyjdzie mi tylko pogratulować*. Spór jednak trwał dwa lata, wójt Gronowa Elbląskiego zlecił dodatkową ekspertyzę. Badania potwierdziły jednak wątpliwości wóldarza Gminy Elbląg, odkrycie nie zostało urzędowo uznane.

Prawdopodobnie jednak związane z odkryciem medialne zamieszanie skłoniło Edmunda Łabieńca do jeszcze wnikliwszego przeanalizowania archiwalnych map okolic Marzęcina. Zachęcił do współpracy Jacka Grossa. Po dokładnej analizie map i dokumentów rozpoczęli wędrowki, już ze sprzętem pomiarowym, po polderze marzęcińskim. Działali z pasją i profesjonalnie. *Trochę się po tych polach nachodziliśmy* – przyznaje Edmund Łabieniec. *Przypuszczenia, że najniższe punkty depresyjne znajdują się w okolicach Marzęcina, pojawiały się już wcześniej. Dlaczego nie odnaleziono ich wtedy, kiedy ustalano głębokość w Raczkach pod*

⁶ <https://dziennikbałtycki.pl/tag/raczki-elblaskie>.

⁷ <https://elblag.naszemiasto.pl/najwieksza-depresja-w-polsce-jest-w-wikrowie/ar/c1-5229271>.

Elblągiem? Kiedy to robiono, część Żuław znajdowała się pod wodą. W 1945 roku uciekające przed Sowietami wojska hitlerowskie wysadziły wały przeciwpowodziowe na Żuławach. Region zniszczyła katastrofalna powódź. Żuławy osuszono dopiero w 1949 roku. Nikt nie wracał do ustalania najniższych punktów Polski – wspomina dalej⁸. Wynikiem żmudnych poszukiwań były punkty położone 1,9 m, 2,02 m a nawet 2,07 m poniżej poziomu morza. W marcu 2013 roku byli pewni – są punkty w Polsce położone głębiej niż mówią oficjalne pomiary. Droga jednak do potwierdzenia wyników pomiarów i uznania ich za oficjalne była długa i żmudna, chociaż pierwsza dobra wiadomość przyszła już w następnym roku. Główny Urząd Geodezji i Kartografii sprawdził wysokości nowych punktów położonych poniżej poziomu morza – mówi Kazimierz Bujakowski, główny geodeta kraju. – Analizowaliśmy dane na podstawie modelu terenu pozyskane metodą lotniczego pomiaru laserowego. Dokonałiśmy też bezpośrednich pomiarów terenowych w miejscach wskazanych przez Jacka Grossa i Edmunda Łabienica. Pomiary te potwierdziły występowanie nowych punktów poniżej poziomu morza na obszarze Żuław – pisał w listopadzie 2014 roku w „Dzienniku Bałtyckim” Tomasz Chudzyński⁹. Dokładniejszy pomiar satelitarny wykazał nawet, że punkt leży na rzędnej -2.2m. W tym momencie sukces stał się już wyrazisty. Jednak droga do zmiany zapisów w dokumentach np. w roczniku statystycznym czy podręcznikach geografii była nadal długa. Uznanie nowej lokalizacji wiąże się z koniecznością potwierdzenia przez ekspertów, czy punkty te są rzeczywiście depresją geograficzną. GUGiK zwrócił się do Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania Polskiej Akademii Nauk o określenie kryteriów, jakie musi spełniać obszar, który można w Polsce nazwać depresją geograficzną – tłumaczył Kazimierz Bujakowski. Nie wszystko na tym etapie było już przesądzone. Nie wiemy, jak do tego podejść urzędnicy – zastanawiał się jeszcze w 2013 roku Edmund Łabieniec¹⁰.

W początku października 2022 roku, na pierwszym piętrze gmachu Starostwa Powiatowego w Nowym Dworze Gdańskim, rozległo się głośnie i radosne „Yes! Yes! Yes!”. To była reakcja starosty Jacka Grossa na notatkę w nowo wydrukowanym numerze Małego Rocznika Statystycznego Polski: *Najniższy punkt Polski, o rzędnej -2,2 znajduje się w okolicach Marzęcina.*

Po ponad 9 latach naszych starań, Główny Urząd Statystyczny zamieścił informację, że najniższy punkt w Polsce znajduje się w Marzęcinie. Rocznik statystyczny 2022 zawarł informację o uznaniu najniższego punktu o rzędnej 2.2 p.p.m. Bardzo dziękuję Edmundowi Łabieniec za inicjatywę i pomysł, dzięki któremu udało się zrobić coś odkrywczego dla naszego powiatu. Yes! Yes! Yes! – napisał starosta na swoim profilu społecznościowym.

Jest to depresja naturalna, nie antropogeniczna – podkreśliła Alicja Kulka, pełniąca obowiązki Głównego Geodety Kraju, i dodała: Najniższy punkt zlokalizowano na podstawie ortofotomapy (mapy fotograficznej) oraz danych ze skaningu laserowego opracowanych na zlecenie Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii w 2019 r.

W podręczniku do geografii dla klas VII (wydawnictwo Nowa Era) na rok szkolny 2023/24 w stosownym rozdziale wpisano jako najniższy punkt Polski ten znajdujący się

⁸ <https://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/7,164874,27061418,w-poszukiwaniu-depresji-wojenka-o-najnizszy-punkt-polski.html>.

⁹ <https://dziennikbaaltycki.pl/zulawy-najnizszy-punkt-w-polsce-jest-w-gm-nowy-dwor-gdanski/ar/3643966>.

¹⁰ <https://dziennikbaaltycki.pl/nowy-rekord-depresji-w-polsce-na-zulawach-sa-miejsca-polozone-dwa-metry-ponizej-poziomu-morza/ar/785917>.



w okolicach wsi Marzęcino, o głębokości minus 2,2 m. Odkrycie stało się więc faktem! Z faktami, jak mówi porzekadło, nie dyskutuje się, ale...

Jeśli ktoś nie jest jednak nadmier- nie obciążony lokalnym patriotyz- mem, a tym bardziej nacjonalizmem czy szowinizmem, który ograniczony wprawdzie przestrzennie, ale bywa niemniej groźny i okrutny niż ten ogólnonarodowy czy państwowy (by choćby przywołać niechlubne strefy wolne od LGBT), może zachować

pewne wątpliwości. Zwłaszcza co do jednego, wymienionego na początku tego tekstu, z parametrów opisujących ów najniższy punkt. Chodzi o słowo „naturalny”.

Naturalny – *właściwy naturze; zgodny z prawami natury; utworzony, powstały, odbywający się bez udziału człowieka; niesztuczny, prawdziwy* – definiuje słownik języka polskiego¹¹. Czy te kryteria spełnia punkt w Marzęcinie? Od początku odkrywcy z Żuław liczyli się z tym, że ich odkrycie może być podważone. *Za najniższy punkt będzie uznane tylko całkowicie naturalne zagłębienie, powstałe bez ingerencji człowieka* – podkreślał już w 2013 roku Jacek Gross. *Miejsca, w których odkryliśmy najniższe punkty, jeszcze w XIX wieku stanowiły dno Zalewu Wiślanego, co potwierdzają dawne mapy* – zauważa w tym samym wywiadzie Edmund Łabieniec. – *Położone są w miejscach dawnych torów wodnych, wytyczonych dla statków... Nie wiemy, jak do tego podejść urzędnicy!*¹².

Do 1942 roku dzisiejszy polder Marzęcino stanowił część Zalewu Wiślanego tzw. Zakątek Stobiecki (niem. Stobbendofer Winkel), punkt znajduje się w bliskości, biegnącego przez wodną nieckę, toru wodnego (niem. Holz Rinne), dziś zwanego Kanał Drzewny. Był to fragment sztucznie utworzonej w połowie XIX wieku drogi wodnej łączącej Wisłę i Gdańsk z Zalewem Wiślanym. Tor sztucznie pogłębiony i systematycznie „bagrowany”, co nie pozostawało bez wpływu na poziom dna, również w jego pobliżu. „Naturalność” więc tego miejsca budzi zrozumiałe wątpliwości. Nasuwa się też w tym miejscu kolejne pytanie: gdzie byłby najniższy punkt, gdyby zrealizowano któryś z kilku planów osuszenia niemal całego Zalewu Wiślanego. Ten z lat trzydziestych XX wieku był bardzo realistyczny. Średnia głębokość tego akwenu wynosi 2,6 metra, są więc miejsca i znacznie głębiej położone. Jak tu jednak padło: ostatecznie zdecydowali urzędnicy! Czy tak powinno być – można dywagować. Nie można też nie brać pod uwagę stwierdzenia Tadeusza Kozonia, elbląskiego geodety, odkrywcy obniżenia w Wikrowie: Żuławy są ruchome, ziemia się gdzieś wypiętrza, a gdzieś siada¹³. Żuławy to faktycznie geologicznie bardzo „młodziutki” twór i ruchy „górotwórcze” cały czas tu zachodzą.

¹¹ *Mały Słownik Języka Polskiego*, PWN, Warszawa 1997.

¹² <https://dziennikbałtycki.pl/nowy-rekord-depresji-w-polsce-na-zulawach-sa-miejsca-polozone-dwa-metry-ponizej-poziomu-morza/ar/785917>.

¹³ <https://elblag.naszemiasto.pl/najwieksza-depresja-w-polsce-jest-w-wikrowie/ar/c1-5229271>.

Pokonani w wojnie o depresję swą porażkę przyjęli z demonstrowanym spokojem. *W naszej ocenie w Raczkach Elbląskich znajduje się najniższy położony punkt w Polsce, co oznacza, że nie mamy obaw w zakresie dotyczącym promocji gminy – mówiła jeszcze w trakcie toczącego się procesu Krystyna Murawska, sekretarz gminy Elbląg. – Tezy stawiane przez ludzi, o których w ostatnim czasie pisały media lokalne i ogólnopolskie, nie wpłyną zapewne negatywnie na ocenę walorów krajobrazowych miejscowości Raczki Elbląskie i nie zmniejszą jej atrakcyjności¹⁴. Czas pokaże, czy i jak Marzęcino oraz powiat nowodworski wykorzysta ten promocyjny aspekt swojego położenia – podkreślał w ubiegłym roku, po korekcie w Małym Roczniku Statystycznym elbląski portal informacyjny, portel.pl.*

To atrakcja – od początku mieli świadomość Gross i Łabieniec. – Niedaleko od odkrytych przez nas punktów, w miejscowości Osłonka, jest przystań żeglarska. Uważamy, że turyści tam zawijający chcieliby sprawdzić, jak wygląda miejsce położone ponad dwa metry poniżej poziomu morza. Oczywiście konieczne byłoby stosowne oznaczenie najgłębszej w Polsce depresji, wyremontowanie drogi czy stosowne adnotacje w przewodnikach turystycznych. Mógłby powstać nawet specjalny szlak turystyczny, a w miejscu najniższego punktu Polski powinno być specjalne oznakowanie, np. słupem, obeliskiem. Tym bardziej, że do punktu znacznie trudniej dotrzeć niż do tego w Raczkach Elbląskich, zwłaszcza samochodem. Spory odcinek trzeba pokonać bardzo zniszczoną, „popegeerowską” drogą z płyt Yumb.

W lipcu 2023 roku, z bardzo dużą pomocą lokalnej społeczności, w najniższym punkcie Polski pojawił się ozdobny reper – geodezyjny znak wysokościowy, oraz stanęła symboliczna, drewniana wieża triangulacyjna. *Jej pierwszy szczybel wyznacza poziom morza. Dzięki temu można sobie wyobrazić skalę zatopienia, gdyby nagle to miejsce znalazło się pod wodą. A wyznaczająca poziom morza belka sięga znacznie wyżej od nawet wysokiego wzrostem dorosłego mężczyzny – donosił „Dziennik Bałtycki”¹⁵.*

Miejmy przy tym przekonanie, że tekst ten nikogo nie wpędził w dodatkową depresję, tym bardziej, że rozważania powyższe to tylko jakby na marginesie, temat główny to wszak, znikające z krajobrazu, wieże triangulacyjne.

Do oznaczenia w terenie opisywanego punktu zastosowano dwa elementy geodezyjnej osnowy wysokościowej: reper i wieżę triangulacyjną. Reper to według słownika „punkt o znanej wysokości nad poziomem morza, oznaczony w terenie za pomocą np. słupa betonowego, stanowiący podstawę pomiarów niwelacyjnych¹⁶. Słowo pochodzi z języka francuskiego. Dzielą się repery na podziemne, naziemne, naścienne, często kotwiczone w murach kościołów lub innych stabilnych budowli, nie podlegającym wstrząsom, jak np. filary mostów czy wiaduktów¹⁷. Są cały czas w użytku, internet proponuje całą ich gamę do sprzedaży.

Drugim zastosowanym urządzeniem osnowy geodezyjnej¹⁸ jest wieża triangulacyjna. Najczęściej drewniana, stawiana nad punktami sieci triangulacyjnej. Składa się z dwóch oddzielnych konstrukcji: pomostu dla obserwatora i stanowiska dla instrumentu pomiarowego. Dzięki podniesieniu miejsca obserwacji oraz znaku, na który celuje się instrument,

¹⁴ <https://dziennikbaaltycki.pl/najwyzsze-miejsce-w-osobistej-hierarchii-choc-najnizsze-w-polsce/ar/c1-18021673>.

¹⁵ <https://dziennikbaaltycki.pl/najwyzsze-miejsce-w-osobistej-hierarchii-choc-najnizsze-w-polsce/ar/c1-18021673>.

¹⁶ *Mały Słownik Języka Polskiego*, PWN, Warszawa 1997.

¹⁷ Henryk Leśniok, *Wykłady z geodezji I*, tom I, PWN Warszawa 1970.

¹⁸ Jerzy Ząbek, Z. Adamczewski, S. Kwiatkowski, *Ćwiczenia z geodezji I*, część I, PWN Warszawa 1977.

wysoko ponad poziom terenu, umożliwia wykonanie pomiaru punktów położonych w znacznej odległości, nawet dziesiątek kilometrów. Na jej szczycie znajduje się, umieszczona centrycznie nad punktem ziemnym, świeca – żerdź z krzyżakiem, znak służący jako cel przy pomiarze kątów, niżej – pomost dla obserwatora. Druga, zewnętrzna, niższa konstrukcja podtrzymuje słup, na którym podczas pomiarów ustawiany jest instrument geodezyjny (również centrycznie nad punktem ziemnym). Rozdzielenie konstrukcji podtrzymującej pomost obserwatora od konstrukcji podtrzymującej instrument eliminuje przenoszenie drgań (spowodowanych przez ludzi chodzących po pomoście) na instrument.

Do lat 80. ubiegłego wieku wieże triangulacyjne były nieodłącznym elementem krajobrazu. Zwykle usytuowane na wzniesieniach, lecz i stojące pośród pól. Te wyniosłe konstrukcje z krzyżem na szczycie zawsze wzbudzały zainteresowanie i ciekawość. Dla wielu przeznaczenie ich było tajemnicą. Autorytetu dodawała im umieszczona w widocznym miejscu czerwona tabliczka z godłem państwowym i napisem: „Ostrzeżenie, własność państwowa, wchodzenie na wieżę i niszczenie jej zabronione jest pod karą sądową.” Od lat międzywojennych do końca swego żywota były jednak obiektem westchnień, wręcz pożądania turystów plecakowych. To na nich opierała się cywilna kartografia ubiegłego wieku a nawet kartografia wojskowa. Te na szczytach gór pełniły, i nie rzadko pełnią nadal, rolę wież widokowych. Najwyższe wieże sięgały do 50 metrów, co umożliwiało obserwowanie i dokonywanie pomiarów do 50 kilometrów. W latach 60. i 70. ubiegłego wieku dodano konstrukcje zwane pseudo-wieżami w postaci trójnogów, najpierw drewnianych, potem częściej żelbetowych. Trwałość drewnianych wież triangulacyjnych obliczona była na 20 lat, a przy właściwej konserwacji na lat 40. W pierwszej połowie lat 90. rozpoczęto tworzenie sieci z wykorzystaniem technik satelitarnych, wieże triangulacyjne stały się niepotrzebne. Już wcześniej zaprzestano ich odtwarzania. Część była likwidowana przez zły stan techniczny, a niektóre same szczyły w zapomnieniu poddając się wichrom, a często i wandalom. Niektóre spłonęły w trakcie wypalania traw czy słomy. Bardzo rzadko można jeszcze gdzieś trafić na kilka spróchniałych okrągłaków czy przewrócony betonowy słup, jedyne po nich pozostałości.

Bartosz Marguardt

ODKRYWAMY TAJEMNICE ZESPOŁU DWORSKO-PARKOWEGO Z FOLWARKIEM I WSIĄ W CIESZYMOWIE. CZĘŚĆ 1: GROSS TESCHENDORF

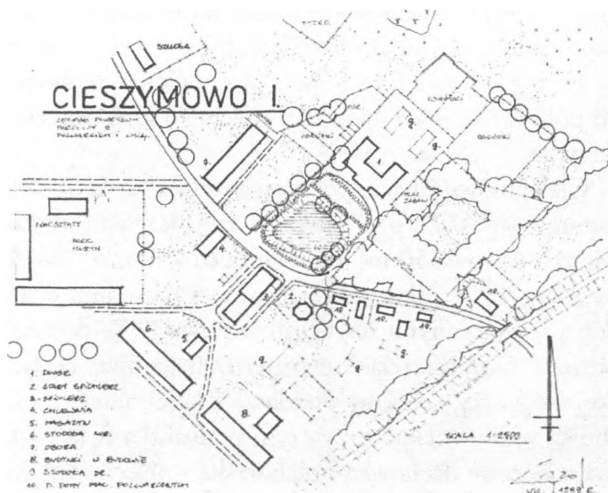
Obecna forma zespołu dworsko-parkowego, jak i folwarku z wsią w Gross Techendorf (Cieszymowo tzw. „Dolne” – tak obecnie nazywają tą część miejscowości mieszkańcy), została ukształtowana za czasów Alfreda Komorowskiego, będącego właścicielem tych ziem na przełomie XIX i XX wieku. Alfred Komorowski w 1880 roku posiadał 461 hektarów ziemi. Specjalizował się w hodowli bydła holenderskiego oraz produkcji mleka. Oprócz gospodarstwa posiadał również swoją własną cegielnię. Osiągał roczny dochód w wysokości 4709 marek.

Zespół dworsko-parkowy z folwarkiem i wsią usytuowany jest po zachodniej części nasypu kolejowego przy drodze Balewo-Cieszymowo-Matule. Okoliczny teren jest łagodnie pofalowany i znajdują się na nim liczne rowy melioracyjne, przeplatające tutejsze pola uprawne. Dawny majątek ziemski składa się z trzech wyraźnych elementów, a w jego skład wchodzi:

- dwór z terenem zielonym i stawem usytuowany po stronie północnej drogi,
- obszar folwarku z współczesnymi uzupełnieniami po stronie zachodniej i południowo-zachodniej drogi,
- mały obszar zabudowań mieszkalnych przylegających bezpośrednio do drogi, przy dawnym nasypie kolejowym biegnącym po stronie wschodniej.

Układ przestrzenny zespołu do dziś zachował się w formie z przełomu XIX/XX wieku. Był poszerzany po 1945 roku w kierunku zachodnim oraz południowym o kolejne zabudowania gospodarcze. Całkowita powierzchnia użytkowa zespołu to około 8,7 ha, w tym: dwór i folwark 2,5 ha, folwark 2,2 ha, wieś 0,8 ha.

Niniejszy tekst jest opisem najważniejszych obiektów zespołu dworsko-parkowego oraz folwarku ze wsią dawnego Gross Techendorf, dokonany na podstawie zielonych¹



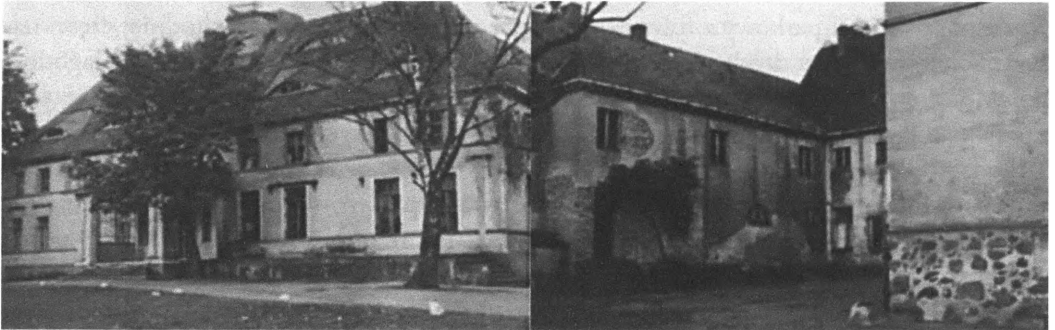
¹ Karta zielona – Karta ewidencyjna zabytków architektury i budownictwa. Koncepcja powstała w 1958 roku. Zielone karty były wykonywane do końca lat 60. XX w. Zawiera podstawowe dane o obiekcie ze zdjęciem i rzutem zabytku.

Rzut zespołu dworsko-parkowego z folwarkiem i wsią w Cieszymowie tzw. „Dolnym” wykonany przez Jacka Gzowskiego wg stanu na sierpień 1989 roku. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa.

i białych kart² zabytków, architektury i budownictwa znajdujących się w archiwach Narodowego Instytutu Dziedzictwa. Jest również opisem zmian, jakie zaszły w tych obiektach w ostatnim dwudziestolecu. Jest to tym samym uzupełnienie zdobytej już wiedzy o cieszymowskim pałacu, kaplicy oraz cmentarzu, ale również jest to znaczące wzbogacenie zasobu wiedzy o pozostałych, dotychczas nieopisywanych na łamach *Prowincji* i strony Facebook Cieszymowo budynkach, które znajdują się we wsi.

DWÓR Z TERENEM ZIELONYM I STAWEM

Rys historyczny pałacu przedstawiono w *Prowincji* nr 2 (44), 2021 w artykule pt. „Cieszymowo – budowanie tożsamości”. Poniższe stanowi uzupełnienie wiedzy o tym obiekcie poprzez poszerzenie jej o nowe informacje oraz o niepublikowane zdjęcia.



Zdjęcie z lewej strony: pałac od frontu, zdjęcie z prawej strony: zaplecze pałacu z widocznymi ubytkami w elewacji. Wrzesień 1959 roku. Fot. H. Molicka/J. Wienczek. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

Pałac pierwotnie posiadał kształt wydłużonego prostokąta obejmującego główną część obecnego budynku, bez skrzydeł bocznych. Rozbudowa nastąpiła pod koniec XIX wieku. Wtedy bryła przybrała formę litery „C” z głównym korpusem od południa i dwoma skrzydłami od północy ze znaczącym wyróżnieniem korpusu, tzn. jego dach jest wyżej posadowiony niż skrzydła.

Cieszymowski pałac posadowiony jest na kamienno-ceglanej podmurówce i jest podpiwniczony – posiada pięć piwnic z kolebkowymi, ceglаныmi sklepieniami. Jego całkowita powierzchnia to 2350 m² a kubatura to 7590 m³. Według tzw. karty zielonej sporządzonej we wrześniu 1959 roku, zaktualizowanej następnie w 1964 roku, stan obiektu określano jako dobry z widocznymi ubytkami w elewacji. Widoczne były cegły murowane na zaprawie wapiennej. Grubość ścian zewnętrznych to dwie cegły, z kolei tych wewnętrznych to od pół do półtora cegły. Ściany poddasza z kolei określano jako drewniane. Stropy oraz więźba dachowa są drewniane, przy czym podsufitka była tynkowana na podłożu trzcinowym. Dach był wyłożony dachówką holenderską i przechodził wielokrotne remonty: w 1988 roku oraz

² Karta biała – Karta ewidencyjna zabytków architektury i budownictwa. Została opracowana 1975 roku pod kierunkiem prof. Wojciecha Kalinowskiego. Oprócz danych uwzględnionych na karcie zielonej zawiera obszerniejsze informacje i dokumentację fotograficzną.

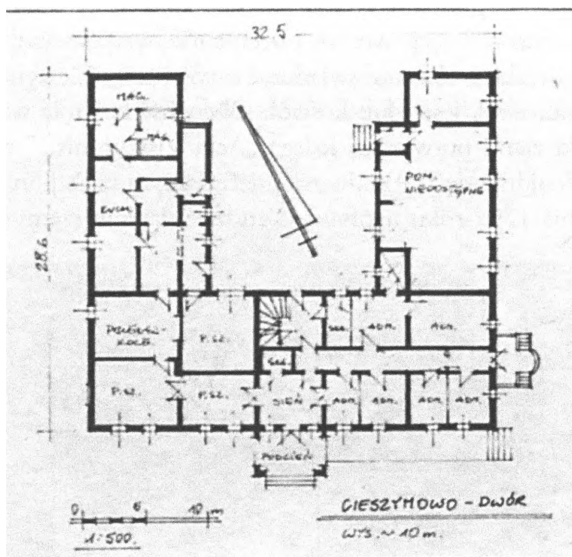
kompleksowy – wraz z wymianą dachowej stolarki-okiennej w 2017 roku. Źródła wskazują, że pałac był również remontowany w 1967 roku, ale nie określono zakresu tych prac.

Pałac jest dwukondygnacyjny z dwoma kondygnacjami poddasza. Na piętro prowadzą drewniane schody o konstrukcji policzkowej. Z kolei schody do piwnic są ceglane. Posadzki w cieszymowskim pałacu są bardzo różnorodne. W piwnicach są ceglane lub betonowe. W przyziemiu – wyłożone czerwono-czarnym lastriko³. Podłogi na piętrach są drewniane, deskowane na wpust. Do 1989 roku wewnątrz zostało znacznie przebudowane, a prace były prowadzone również w latach kolejnych. Zachowana została część stolarki wewnętrznej. Z kolei wyposażenie obiektu w całości jest współczesne. Główne wejście do obiektu znajduje się od południa poprzez tzw. podcień na filarach z tarasem na piętrze.



Zdjęcie z lewej strony: zaplecze pałacu (od północy) w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa. Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w 2024 roku. Fot. Archiwum prywatne

Najstarsze założenia ogrodowe powstały najprawdopodobniej około XVII wieku – przy pierwszej zabudowie pałacowej. Znajdowały się przypuszczalnie na miejscu południowo-wschodniego skrzydła i miały kształt prostego ogrodu. W okresie przebudowy pałacu za czasów Alfreda Komorowskiego dokonano wokół dworu wraz z parkiem na wschód od obiektu. Z kolei od jego frontu usytuowany został półkolisty podjazd wokół stawu. Bieżąca zmiana w aranżacji zespołu zieleni i terenu przed dworem następowała też w okresie powojennym, w szczególności



Rzut dworu/pałacu wykonany przez Jacka Gzowskiego wg. stanu na sierpniu 1989 roku. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

³ Lastriko – materiał budowlany, rodzaj betonowego podłoża utworzony przez mieszaninę wody, cementu, grysu oraz barwnika stosowany do wylewania posadzek.

latach: 1974–1978 (i późniejszych) oraz w trzeciej dekadzie XXI wieku (wzmocnienie brzo-
gów stawu, nowe nasadzenia drzew wzdłuż drogi dojazdowej, nowe ogrodzenie i bramy).
W dworskim parku znajduje się blisko 30 gatunków drzew i krzewów. Do najstarszych
drzew należą liczące około 250 lat okazy dębu szypułkowego, znajdujące się w północno-
-wschodniej granicy parku. Park był otoczony ceglany murem. Jego fragment w bardzo
złym stanie zachował się tylko kilkadziesiąt metrów na północ od pałacu.



Zdjęcie z lewej strony: fragment muru otaczającego park w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dzie-
dzictwa. Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w 2023 roku. Fot. Archiwum prywatne.

Z kolei na wzniesieniu na południowy-wschód od pałacu zachowało się pod nasypem ziem-
nym dawne ujęcie wodne, które dostarczało wodę do pałacu, a być może także do znajdują-
cych się w parku urządzeń wodnych, np. fontanny czy kaskady, po których nie pozostały żadne
ślady. Obiekt dawnego ujęcia wodnego przeszedł remont na początku 2023 roku. W jego wnętr-
zu znajdują się kilkumetrowe wgłębienie. Po 1945 roku nasyp używany był przez mieszkań-
ców do przechowywania płodów rolnych (głównie ziemniaki) i do zjeżdżania zimą z górki na
sankach. Ujęcie wodne, obecnie nazywane w okolicy „ziemianką”, zostało zbudowane z cegły
gotyckiej, co może świadczyć o tym, że w Cieszymowie w średniowieczu mógł znajdować się
zameczek leśny lub kościół. Obecność kościoła w Cieszymowie, uposażonego w cztery włó-
ki ziemi potwierdza księga „Acta Visitationis...” z przełomu lat 1786–1787, która obecnie
znajduje się w Archiwum Diecezjalnym w Pelplinie. W wyżej wspomianej księdze 21 sier-
pnia 1787 roku napisano: „Tudzież dawniejszemi czasami był filialny kościół w Teszendorfie



Zdjęcie z lewej strony: dawne ujęcie wody, tzw. „ziemianka” w 1989 rok. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut
Dziedzictwa. Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w 2024 roku. Fot. Archiwum prywatne

w Dobrach JMP-W Schakowa oraz y 4 włoki Plebanskie, o które już na początku tego wieku s.p. JMX Michal Burchard zaniósł do Trybunału Piotrowskiego według znajdujących się in Archivo ecclesiae Dokumentów wydał Pozwy, jako, też od tego Trybunału Komissye były nakazne, lecz staranność tego JX-Dza Burthera dla jaszej Panów Szaków bez skuteczna była”⁴.

STARY SPICHLERZ – KUŹNIA. OBECNIE KAPLICA

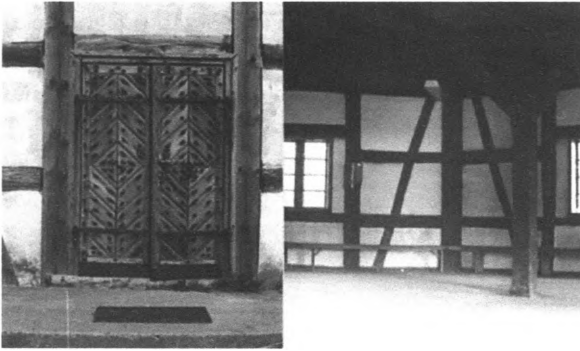
Rys historyczny dawnego spichlerza/kuźni, a obecnie nieczynnej kaplicy przedstawiono obok dziejów pałacu w *Prowincji* nr 2 (44), 2021 w artykule pt. „Cieszymowo – budowanie tożsamości”. Poniższe stanowi uzupełnienie wiadomości o tym obiekcie o nowe informacje, ciekawostki i niepublikowane zdjęcia.

Położony po południowej stronie obecnej drogi powiatowej obiekt nie jest podpiwniczony, a posadowiony jest na kamiennie-ceglastej podmurówce. Ściany zbudowane są w konstrukcji szkieletowej wypełnione ceramiczną cegłą, a na wierzchu są tynkowane. Elewacja budynku była remontowana po 1945 roku co najmniej dwukrotnie: w 1971 oraz w 1989 roku. Strop jest drewniany, belkowy, wsparty na ośmiu słupach i dwóch podstawowych podciągach. Poszczególne słupy ścian zespolone są dodatkowymi wymianami z płaszczyzną stropu. Wieżba dachowa jest drewniana, w formie namiotowej o konstrukcji krokwiowo-słupowej. Pierwotnie pokrycie dachu było ze strzechy słomianej ułożonej na deskach. Pomimo tego, że obiekt posiada piętro, nie prowadzą na nie schody. Na obu kondygnacjach podłogi są drewniane i deskowane na wpust. Okna i drzwi również są drewniane, przy czym te drugie są nabite żelaznymi ćwiekami. Posiadają tzw. zawiasy pasmowe. Obiekt oparty jest na rzucie ośmiokąta. Dach budynku zwieńcza iglica z kulą z blachy i chorągiewką z datowaniem (1797 rok). W dachu od południa znajduje się okno w opływowym kształcie. Ściany budynku są w konstrukcji szkieletowej o powtarzalnym układzie. Układ składa się z trzech sekcji rozdzielonych słupami: dwie boczne z ukośnymi zastrzałami, oraz środkowa z otworami okiennymi. Krokwie dachu z ozdobnie podjętymi dachu



Zdjęcie z lewej strony: stary spichlerz od północy, zdjęcie z prawej strony: budynek od południa z widocznym starym wozem przy wejściu. Wrzesień 1959 roku. Fot. H. Molicka/J. Wienczek. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

⁴ Ks. J. Wiśniewski, *Pomezzańskie parafie de iure jako filie Diecezji Elbląskiej de facto* [w]: *Studia Elbląskie TOM XVII*, Ks. K. Kokoszka (red.), Wyższe Seminarium Duchowe Diecezji Elbląskiej, 2016, s. 36.



Charakterystyczne drzwi i wnętrze starego spichlerza/obecnie kaplicy z ławkami w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

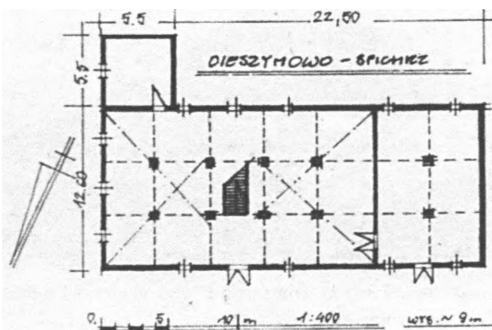
wystają poza mury. Powierzchnia użytkowa budynku wynosi 185 m², a jego kubatura to 675 m³. W II połowie lat 80. XX wieku pełnił funkcję świetlicy. Według stanu z tzw. karty zielonej na wrzesień 1959 roku obiekt był w złym stanie technicznym i nie był właściwie użytkowany. Podobnie określano stan budynku w 1964 roku. Dopiero w latach 70. XX wieku przeszedł tzw. remont rekonstrukcyjno-konserwujący.

SPICHLERZ. STARY MAGAZYN ZBOŻOWY

Spichlerz został wybudowany w latach 1910–1920 na rzucie prostokąta jako budynek dwukondygnacyjny i w całości drewniany. Nie jest podpiwniczony. Położony jest w głównej osi całości zespołu folwarcznego, bezpośrednio przy drodze, od południa. Po wybudowaniu, jak i po okresie wojennym pełnił funkcje magazynowe. Według stanu zabudowań na dzień 1 stycznia 1945 roku przechowywano tam maszyny i nawozy. Od lat 60., aż do późnych lat 90. XX wieku – również po likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych, przechowywano i suszono tam zboże. Było to możliwe, gdyż w 1. połowie lat 60. XX wieku w obiekcie zainstalowano maszyny do segregacji i podsuszania zboża. Również w latach 60. budynek został obtynkowany, a w 1976 roku wymieniono dach.

Omawiany spichlerz tudzież magazyn zbożowy posiadał ponadto dwie dobudówki. Pierwsza z nich to ta na wschodniej ścianie budynku (od strony starego spichlerza – obecnie kaplicy), a druga to ta na południowej ścianie spichlerza, która pełniła rolę dodatkowej powierzchni do przechowywania zboża oraz sprzętu rolniczego i nawozów. Obie powstały w latach 60. XX wieku, przy czym ta druga została zburzona na przełomie XX i XXI wieku. Według stanu na 1989 rok powierzchnia użytkowa budynku to 970 m², a kubatura to 2690 m³. Obecnie wykorzystywany jako przechowalnia desek i tzw. „rupieci”.

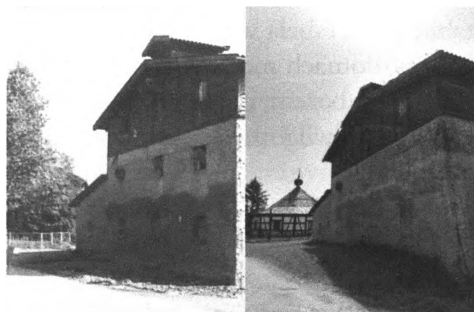
Obiekt posadowiony jest na kamiennej podwórowce. Ściany wymurowane są z cegły ceramicznej na zaprawie wapiennej. Ściany zewnętrzne grube są na 1,5–2 cegły, przy czym ściany wewnętrzne na 0,5–1 cegły. Strop jest drewniany, obelkowany z dodatkowymi stężeniami po przekątnych wspartych na dwóch liniach słupów z prostymi, a u górze ozdobnymi głowicami. Wieżba



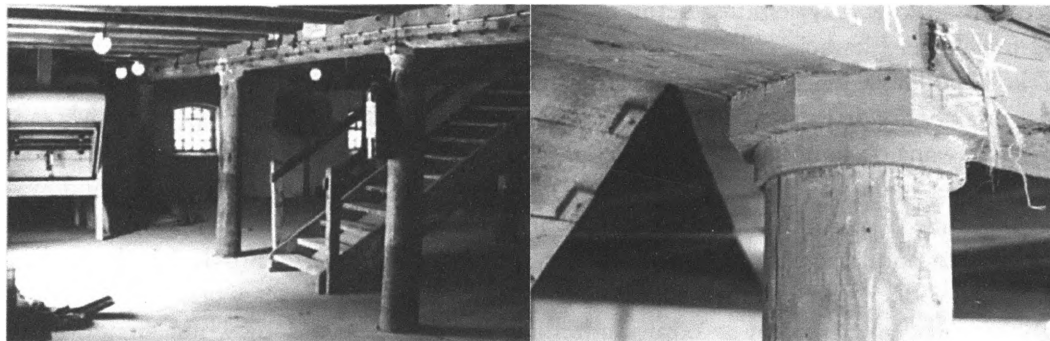
Rzut spichlerza (magazynu zbożowego) wykonany przez Jacka Gzowskiego w październiku 1989 roku. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

dachowa również jest drewniana, o konstrukcji płytwiowo-kleszczowej ze ścianką kolenkową wypełnioną cegłą. Dach jest dwuspadowy, pokryty eternitem. Posadzki w przyziemiu są betonowe. Na kolejne piętra prowadzą drewniane schody wybudowane w konstrukcji policzkowej. Na piętrach podłogi są już drewniane.

Według stanu na rok 1989 okna były metalowe z drobnymi podziałami, a w poddaszu drewniane. Obecnie (według stanu na 2024 rok) część okien, w szczególności na ścianie północnej, jest zamurowana (pozostają tylko okna w najwyższej kondygnacji budynku). Na ścianie wschodniej i zachodniej zachowały się okna według pierwotnego rozkładu. Na ścianie zachodniej zachowały się również drewniane, deskowane drzwi z pasowymi zawiasami. W tej części znajdują się dwa wejścia do budynku, który podzielony jest na dwie części – większą (ze schodami na kolejne piętra) oraz mniejszą, do której oprócz drzwi zewnętrznych prowadzą drzwi znajdujące się w środku obiektu. Elewacja dawnego spichlerza i magazynu zbożowego w 2/3 jest tynkowana. 1/3 elewacji stanowi natomiast deskowane od zewnątrz poddasze. Deski ułożone są w poziomie z listwami na stykach.



Zdjęcie z lewej strony: spichlerz (magazyn zbożowy) w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa. Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w 2024 roku. Fot. Archiwum prywatne



Wnętrze magazynu zbożowego w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

		TABLICA WIETRZENIA ZIARNA																
		WILGOTNOŚĆ ZIARNA W %																
RÓŻNICA TEMPERATUR WNIĘTY ZIARNA - POWIETRZENIA POWIETRZE OKRĘŻESKIE OD ZIARNA	RÓŻNICA TEMPERATUR WNIĘTY ZIARNA - POWIETRZENIA POWIETRZE OKRĘŻESKIE OD ZIARNA	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
		NAJWIŻSZA DOP. WILGOTNOŚĆ WEDL. POWIETRZA - % DO WIETRZENIA ZIARNA																
-8	65	78	90															
-7	60	73	84	96														
-6	56	68	79	90	100													
-5	53	63	74	84	93													
-4	49	59	69	78	87	95												
-3	46	55	64	73	82	89	96											
-2	43	52	60	68	76	83	90	95	100									
-1	40	48	56	64	71	78	84	89	94	97	100							
0	38	45	53	60	67	73	79	83	88	91	93	95	97	98	98	99	99	99
+1	35	42	49	56	63	68	74	78	82	85	87	89	91	92	92	93	93	94
+2	33	40	46	53	59	64	69	73	77	80	82	83	85	86	86	87	87	88
+3	31	37	43	49	55	60	65	69	72	75	77	78	80	80	81	81	82	83
+4	29	35	41	46	52	56	61	64	68	70	72	73	75	75	76	76	77	78
+5	27	33	38	44	48	53	57	60	63	65	66	67	69	70	71	71	72	73
+6	26	31	36	41	45	50	53	57	60	62	63	63	65	66	66	67	68	68
+7	24	29	34	38	43	47	50	53	56	58	59	61	62	62	63	64	65	65
+8	23	27	33	36	40	44	47	50	53	54	56	57	58	59	59	60	61	61

Stary magazyn w centrum Cieszymowa do dziś kryje w środku wiele ciekawostek. Jedną z nich są tablice czy też napisy na drewnie z czasów PGR. „Udźwig max 250 kg/m²”, „Naprawianie bezpieczników drutem – Surowo wzbronione”, czy też „Załatw sprawę i zegnaj!” Jedną z ciekawszych

Tabela wietrzenia ziarna przetrwała do dziś. Zdjęcie z 2023 roku. Fot. Andrzej Gajkowski

tablic jest „Tabela wietrzenia ziarna”, które było składowane w tamtym okresie na wszystkich poziomach magazynu. Wietrzenie ziarna np. pszenicy było istotnym elementem zarządzania zbożem, gdyż powodowało usunięcie nagromadzonego w przestrzeniach międzyziarnowych wilgotnego powietrza oraz usunięcie wilgoci w powierzchni ziaren.

CHLEWIA

Chlewnia o powierzchni użytkowej około 670 m² i kubaturze blisko 1750 m³ znajduje się w północno-zachodnim narożniku dawnego dziecińca folwarcznego. Położona jest około 40 metrów na zachód od spichlerza nr 3. Jej północna elewacja przylega do współczesnej drogi powiatowej. Chlewnia została wybudowana w latach 20. XX wieku. W swojej niezmienionej formie przetrwała od roku 1945 roku aż do dziś. W międzyczasie co najmniej dwukrotnie przechodziła remont, tj. w latach 1973–1974, kiedy to wyremontowano dach oraz w 1988 roku w którym podjęto się odnowienia elewacji. Na chwilę obecną (rok 2024) chlewnia jest nieużytkowana.

Chlewnia wybudowana jest na rzucie prostokąta, a posadowiona jest na ceglano-kamiennej podmurówce. Nie jest podpiwniczona. Ściany są wykonane z cegły ceramicznej na bardzo słabej zaprawie wapiennej. Strop jest drewniany, belkowany wsparty na dwóch ciągach słupów. Więźba dachowa to konstrukcja drewniana i płatowo-kleszczowa ze ścianką kolankową deskowaną od zewnątrz na nakładkę. Dwuspadowy dach jest pokryty eternitem. Posadzki w przyziemiu są betonowe, a podłogi na poddaszu ułożone są z desek. Okna są metalowe. Elewacja chlewni to malowana czerwoną farbą cegła z białymi spoinami. Z kolei poddasze jest odeskowane w poziomie z pionowymi deskami na złączach. Budynek posiada otwory do usuwania obornika, a także otwory wyjściowe dla trzody, która była tam utrzymywana do końca lat 80. XX wieku.

Według stanu na 1989 rok trzoda była utrzymywana w metalowych kojcach zbudowanych w trzech pasmach na ścianach zewnętrznych oraz na środku budynku. Wydzielone było małe pomieszczenie na parownik. Do chlewni doprowadzona była instalacja elektryczna, wodociągowa – zasilana z sieci wiejskiej oraz kanalizacyjna: stworzone były kanały gnojowe w ciągach kójców, z odprowadzeniem do betonowego gnojownika znajdującego się przy wschodniej elewacji budynku.

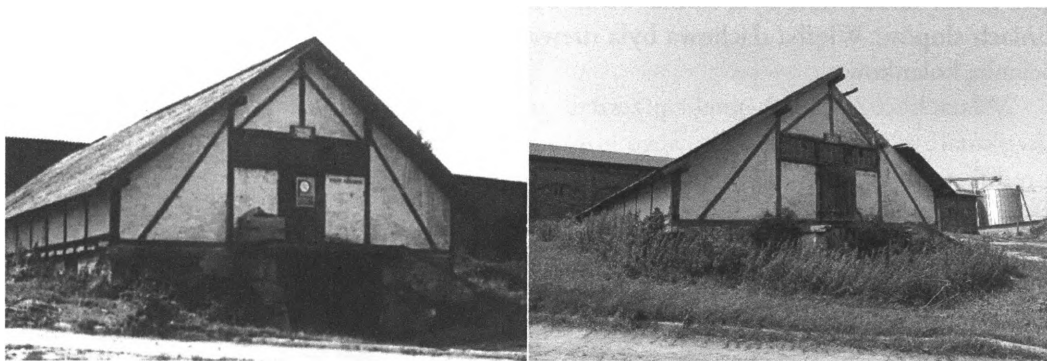


Zdjęcie z lewej strony: chlewnia w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa.
Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w 2024 roku. Fot. Archiwum prywatne

MAGAZYN

Omawiany obiekt to budynek oparty na rzucie prostokąta, wybudowany na przełomie XIX i XX wieku. W niezmienionej formie przetrwał do dziś (2024 rok). Położony jest na głównej osi całego zespołu dworsko-parkowego, przy dziedzińcu folwarcznym, pomiędzy spichlerzem (obecnie kaplicą), a murowaną stodołą. Jest usytuowany na niewielkim spadku terenu, stąd też od północy położony jest w przyziemieniu, a od południa w części podziemnej. Budynek w 1945 roku był po prostu magazynem, w tym magazynem na węgiel. Po 1945 roku w okresie funkcjonowania PGR było podobnie. Przyjął funkcję magazynu ogólnego, a w jego piwnicy tak jak według stanu z 1945 roku przechowywano węgiel. Budynek ten to łącznie około 310 m² powierzchni użytkowej, a jego kubatura to 870 m³. W 1974 roku wyremontowano dach budynku (położono eternit), a w 1985 roku wyremontowano elewację. Magazyn obecnie (tzn. w 2024 roku) jest niewykorzystywany, a stan obiektu można określić jako zły.

Magazyn posadowiony jest na kamiennie-ceglanej podmurówce i jest podpiwniczony. Ściany w części podziemnej są wymurowane z cegły i kamienia, mają grubość około 50 cm. Z kolei przyziemie jest konstrukcji szkieletowej, gdzie wypełnienie jest wymurowane z cegły ceramicznej na zaprawie wapiennej. Ściany są otynkowane. Strop jest obelkowany, drewniany, z kolei więźba dachowa jest wybudowana na zasadzie płatwiowo-kleszczowej, z dwoma stolcami oraz ścianką kolankową. Ma ukośne zastrzały spełniające rolę dociążenia całej konstrukcji. Posadzki w podziemiu są ceglano-betonowe, na parterze (magazyn jest dwukondygnacyjny) są z kolei drewniane i deskiwane na wpust. Prowadzą tam ceglano-betonowe schody (od północy). W południowej części budynku dostęp do drugiej kondygnacji dostępny jest z ziemi. Po wschodniej i zachodniej stronie magazynu znajdują się po cztery otwory zspów do podziemia.



Zdjęcie z lewej strony: magazyn w październiku 1989 roku, a tuż za nim stodoła Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa. Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w 2024 roku. Fot. Archiwum prywatne

STODOŁA

Budynek stodoły pochodzi z 2. połowy XIX wieku. Położony jest po południowej stronie dziedzińca folwarku. Tworzy od tej strony pierzeję, czyli frontową ścianę zabudowy całego zespołu dworsko-pałacowego. Po 1945 roku do dziś obiekt użytkowany jest zgodnie z przeznaczeniem – przechowywane jest tam siano i snopki. Obiekt przeszedł remont w latach 60. i 70. XX wieku, w trakcie którego wymieniono dach (montaż eternitu) i wymurowano górne szczyty budynku. Na przełomie XX i XXI wieku wschodni szczyt budynku wymurowano od podstaw, a całą stodołę skrócono o kilka metrów (jej wschodni fragment nie był z cegły, a z pionowych desek). Z kolei w latach 2020–2024 wyremontowano więźbę dachową i pokrycie dachu, zamontowano nowe drewniane półokrągłe drzwi, a także wymurowano od podstaw wschodni szczyt budynku.

Stodoła co do zasady jest murowana z cegły licowanej, a budynek oparty jest o układ przęsł wydzielonych przez tzw. lizeny, czyli płaski i pionowy występ w murze zewnętrznym. Między lizenami są szerokie blendy (ślepe wnęki spełniające rolę ozdobne).

OBORA

Obora położona jest poza terenem właściwego folwarku, niespełna 70 m na zachód od głównej drogi dojazdowej do pałacu. Obiekt powstał na początku lat 20. XX wieku. Do dziś po licznych przebudowach użytkowany jest zgodnie z przeznaczeniem. Obora wybudowana jest na rzucie prostokąta i murowana z cegły ceramicznej na zaprawie wapiennej. W latach 70. XX wieku wyremontowano dach i zastosowano eternit. Do momentu przebudowy w latach 20. XXI wieku obiekt posiadał poddasze, gdzie do końca lat 80. XX wieku składowana była słoma. Strop był drewniany, obelkowany, wsparty na dwóch liniach słupów. Więźba dachowa była drewniana o konstrukcji płatwiowo-kleszczowej ze ścianką kolankową.

W latach 2022–2023 obiekt przeszedł gruntowną modernizację i został dostosowany do aktualnych potrzeb miejscowego gospodarstwa rolnego, które ukierunkowane jest na produkcję mleczną. Obiekt przyjął funkcję cielętnika. Wymieniono dach i całą więźbę



Zdjęcie z lewej strony: stodoła w 1989 roku. Fot. Jolanta Gzowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa, Zdjęcie z prawej strony: analogiczne miejsce w 2024 roku. Fot. Archiwum prywatne

dachową na stalową bez drewnianych podpór w jego wnętrzu, dzięki czemu przestrzeń użytkowa się zwiększyła. Posadzka została ponownie wylana betonem. Na południowej elewacji wybudowano zadaszenie z wyjściem dla cieląt i stołem paszowym. Z kolei na północnej elewacji wybudowano nowe wejście do cieleńnika. Jednocześnie zamurowano wejścia na zachodnim szczycie znajdującym się na wysokości drogi powiatowej, od której poprowadzono na południowej ścianie obiektu drogę dojazdową dla paszowozu. Po remoncie obiekt stał się jednokondygnacyjny.

CMENTARZ

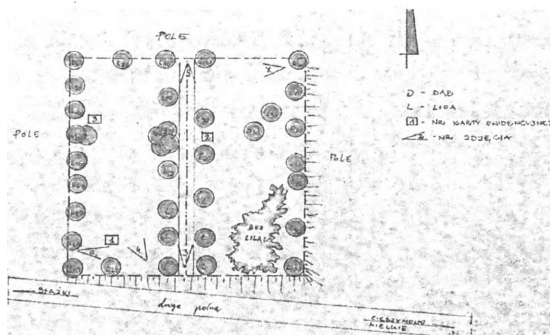
Rys historyczny cieszymowskiego cmentarza położonego wśród pól przy drodze Cieszymowo-Stążki przedstawiono w *Prowincji* nr 2 (44), 2021 w artykule pt. „Cieszymowo – budowanie tożsamości”. Nie stanowi on części zespołu dworsko-pałacowego, jednakże należał do Gross Teschendorf.

Dotychczasowy zasób wiedzy należy poszerzyć o informację, że cmentarz jest założony na rzucie kwadratu z aleją lipową na osi północ-południe, które wyznaczają dwie symetryczne kwatery. Pierwotny drzewostan z nielicznymi wyjątkami zachował się do dziś i uwidocznił się po karczowaniu gałęzi, które przeprowadzono w 2020 roku. Według stanu na listopad 1988 roku (wówczas sporządzono tzw. „Kartę Ewidencyjną Cmentarza” na potrzeby ewidencji zabytków województwa elbląskiego) najstarszym zachowanym wówczas był nagrobek z 1921 roku (nie zachował się do dziś). Już w 1988 roku stan zachowania nagrobków określano jako zły – do dziś nie przetrwało ich zbyt wiele. Wnioskami z ww. opracowania były również zalecenia związane z „oczyszczeniem z samosiewów i chwastów”, co zostało zrobione dopiero 32 lata później i również opisane w *Prowincji* nr 2 (44), 2021.



Zdjęcie z lewej strony: cmentarz w Cieszymowie w 1988 roku od zachodniej strony – widok od drogi z kierunku Stążki-Cieszymowo. Fot. Danuta Rekowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa. Zdjęcie z prawej strony: to samo miejsce w kwietniu 2023 roku – ujęcie z drona. Fot. Krzysztof Gajkowski

CIESZYMOWO W 1977 ROKU



Rzut drzewostanu w Cieszymowie wg stanu z listopada 1988 roku. Bez większych zmian do dnia dzisiejszego. Opracowanie: Danuta Rekowska. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa



Widok pałacu przez rzędy na elewację frontową. 1977 rok. Fot. A. Malinowski. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa



1977 rok. Widoczny efekt remontu z 1971 roku. W głębi pałac. Fot. A. Malinowski. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa



Zaplecze pałacu wraz z nieistniejącymi już ogródkami i budynkami gospodarczymi. 1977 rok. Fot. A. Malinowski. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa



Wybudowana w około 1977 ścieżka piesza poprzez park. Nie zachowana do dziś w takiej formie. Fot. A. Malinowski. Źródło: Narodowy Instytut Dziedzictwa

Andrzej Kasperek



MENSCH. WSPOMNIENIE O ALEXIE DANCYGU

Słowo *mensch* pochodzi z jidysz, powoli zamierającego języka Żydów europejskich. Trafiło tam z języka średnio-wysoko-niemieckiego używanego w średniowieczu. W dzisiejszej niemczyźnie *der Mensch* znaczy po prostu człowiek. Żydzi także używają go w tym podstawowym znaczeniu, ale bywa, że nadają mu inne, bardziej nacechowane znaczenie. Według amerykańskiego leksykografa jidysz Leo Rostena *mensch* to „ktoś, kogo należy podziwiać i naśladować, ktoś o szlachetnym charakterze. Kluczem do bycia prawdziwym *menschem* jest nic innego jak charakter, prawość, godność, poczucie tego, co słuszne, odpowiedzialne, przyzwoite”. Termin jest używany jako wysoki komplement, sugerujący rzadkość i wartość cech danej osoby. Z jidysz wyraz trafił do amerykańskiego języka angielskiego, gdzie oznacza szczególnie dobrą osobę o cechach, których można oczekiwać od przyjaciela lub zaufanego współpracownika. Posiłkuję się w tym miejscu informacjami z Wikipedii. „Porządny facet”, „prawdziwy *mensch*” – tak czasem mówią ludzie o człowieku dobrym i odpowiedzialnym. Dla mnie takim człowiekiem był Alex Dancyg. Niewiele jest wyższych żydowskich komplementów, które można komuś powiedzieć, niż nazwanie go *mensch*. Szkoda tylko, że mówię to o nim dopiero we wspomnieniu pośmiertnym...

W dniach 11–23 września 2011 roku w Jerozolimie uczestniczyłem w seminarium dla polskich nauczycieli. Poświęcone było nauczaniu o Holokauście. Organizował je Instytut Yad Vashem i Ośrodek Rozwoju Edukacji z Warszawy. Pisałem o nim w „Notatkach izraelskich” („Prowincja” nr 6/2011). Poznaliśmy wtedy naszych mentorów – Orit Margaliot i Alexa Dancyga. Mogę powiedzieć, że się z Alexem polubiliśmy. Może dlatego, że on całe życie był zafascynowany polską literaturą. Kiedy podarowałem mu swe opowiadania „Back in the DDR...” od razu spojrzął na mnie inaczej. Szybko je przeczytał i chyba mu się spodobały, bo później, ilekroć mnie przedstawiał, mówił o mnie z dumą: *a novelist*. A kiedy mu powiedziałem, że przyjaźnię się z Pawłem Huellem, to był zachwycony, bo twórczość autora „Weisera Davidka” uwielbiał... Mówił: „*Od razu czytałem bardzo dużo i do dzisiaj to jest ulubione moje zajęcie. Znaczą bez przesady, są jeszcze inne fajne rzeczy, ale naprawdę czytanie po polsku do dzisiaj jest największą frajdą. Śledzę na bieżąco literaturę polską, tę nowoczesną też. Nie zawsze wszystko rozumiem, co Masłowska tam napisze, ale ma w sobie coś. Lubię bardzo Huelle – opowiadania, i Mercedes-Benz, i Weisera Dawidka. Myślę, że Huelle ma po prostu fantastyczne poczucie humoru, a to jest strasznie ważne w literaturze. I ta atmosfera...*”.

¹ Aby bardziej przybliżyć sylwetkę Axela Dancyga zdecydowałem się wykorzystać jego wypowiedzi z książki „Alex Dancyg. Historie z Bramy” wydanego w 2014 r. przez lubelski ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. To drugi tom z cyklu „Opowieści z Bramy”. Publikacja powstała na podstawie zapisu rozmów zarejestrowanych w ramach Programu Historia Mówiona. Zob.: <https://biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/doccontent?id=49067>. Cytaty z tej publikacji oznaczam kursywą.



Pobyty w Izraelu był dla mnie bardzo ważny. W czasie pożegnalnej kolacji wygłosiłem kilka słów. Dziękowałem Orit i Alexowi. Powiedziałem, że jest jak róża jerychońska – roślina, która przypomina kłębek zardzewiałego kolczastego drutu pędzony przez wiatr po pustyni. Wygląda jak wyschnięty martwy badył a wystarczy kilka kropli deszczu i rozkwita. Alex też może ukłuć, drażni i irytuje, i jest w tym świetny. Nasz gospodarz uśmiechnął się pod wąsem i zapytał: „Czy ty sugerujesz, że mam trypra?”. Zglupiałem kompletnie. Moje

odwołanie do róży Jerycha, czyli rośliny z rodziny zmartwychwstanek, miało podkreślić, jak bardzo doceniam umiejętność Izraelczyków do przetrwania w najtrudniejszych warunkach. Okazało się jednak, że w wojsku izraelskim żołnierze tak nazywali pewną chorobę weneryczną. On uwielbiał takie twisty. Kiedy w czasie spotkania (sześć lat później) mówiliśmy o twórczości Amosa Oza, oczywiście nie omieszkał mi opowiedzieć, jak to w „Opowieści o miłości i mroku” pewne słowo hebrajskie znaczyło dla nowoprzybytych do Palestyny zupełnie coś innego niż dla mieszkających tu dłużej Żydów. Nie wdając się w szczegóły powiem tylko, że chodziło o bardzo popularną czynność życiową... Biblijny język różnił się coraz bardziej od współczesnego hebrajskiego. Bardzo chichotał opowiadając o tym. Kiedy się śmiał, to miał błyszczące, śmiejące się oczy.

Wyjechał z Polski jako kilkuletni chłopak w 1957 roku. Nikt go nie spytał, czy chce jechać do Izraela, nikt mu wcześniej nie mówił, że jest Żydem. Jego rodzice przeżyli wojnę na Kresach Wschodnich II RP. Jego ojciec Marcin (Mordechaj) w 1944 roku dołączył do polskich oddziałów, które wraz z Armią Czerwoną wkrczały na tereny Polski. Był prawnikiem wykształconym na UW i został stalinowskim sędzią wojskowym. Po wojnie był wysoko postawionym oficerem oraz członkiem partii. Alex wychowywał się w Polsce przez 9 lat bez świadomości swojego żydowskiego pochodzenia. To zresztą była sytuacja typowa dla ocalonych z Holocaustu – rodzice nie chcieli, żeby ich dzieci były Żydami. „Ja przeżyłem szczęśliwe dzieciństwo w Polsce. Ja byłem Polakiem całkowitym. Co to znaczy Żyd, nie miałem zielonego pojęcia. Ja nawet pamiętam, jak pokłóciłem się z jakimś chłopakiem i biegałem za nim po podwórku i krzychałem: *Ty parchaty Żydzie!*, bo słyszałem, że tak się przeklina. I mój ojciec wziął mnie na bok i powiedział, żebym akurat tego przekleństwa nie używał.

Pierwsze lata w Izraelu były bardzo ciężkie. Rodzice chyba nie do końca byli przekonani o słuszności swej decyzji o Aliji. Tak Żydzi określają „powrót do ojczyzny swoich ojców”. Siostra przeżywała rozłączenie jej z ukochanym. A mały Alex trafił do krewnego, który był w kibucu. Tam miał się nauczyć hebrajskiego, ale naprawdę Izraelczykiem został dzięki Haszomer Hacair, czyli rodzajowi żydowskiego harcerstwa. Zawsze mówił o swoich kolegach, których tam poznał, tylko najlepiej, a był bardzo krytyczny. Opowiadał, że w czasie wycieczek po Izraelu, w których uczestniczył wraz z członkami swej organizacji, zrodziły się w nim bardzo silne więzi: „*To miało straszną siłę, siłę kolektywu. Jak się siedzi w klasie w ławce, to nic się nie zdarza, prawda? Wtedy czułem, że stoję się w pełni Izraelczykiem, nawet jeśli cały czas miałem polskie myśli*”.

Później często mówił o sobie, że jest w 100 procentach Polakiem i 100 procentach Izraelczykiem. Ktoś powiedział, że to z matematycznego punktu widzenia niemożliwe. Co z tego? Tak jak rodzic może kochać wiele swych dzieci, tak samo on mógł obdzielać swą miłością oba te kraje. Wspominał, że jako chłopiec był na meczu piłki nożnej Polska-Izrael: „*Siedzę na tym dużym stadionie, nagle Izrael wbija gola! 1:0 dla Izraela. I cały stadion wstaje! A ja niby się podnoszę, ale nie bardzo. Na końcu wyszło 1:1. Byłem bardzo zadowolony. Dla mnie najlepszą rzeczą był remis*”. Służył w wojsku jako spadochroniarz. W czasie wojny Jom Kippur (w październiku 1973 roku wojska Egiptu i Syrii zaatakowały Izrael w dniu żydowskiego święta) pod ostrzałem słuchał tranzystorowego radyjka i krzychał „hura!”, kiedy dowiedział się, że Polacy zremisowali z Anglikami w meczu na Wembley. A jego koledzy



Alex w klasie

myśleli, że usłyszał komunikat o końcu wojny. Sport, a futbol przede wszystkim, był dla niego zawsze bardzo ważny.

Po ukończeniu liceum pojechał do kibucu Nir Oz, czyli Bohaterska skiba, na pustyni Negew, koło Strefy Gazy. Pracował tam jako spec od nawadniania, co w tym klimacie jest ogromnie istotne. To dzięki deszczownikom Izraelczycy zamienili piachy i pustynie swego kraju w żyzny ogród. Był dumny ze swojej i kolegów roboty: *„Mój kibuc ma tysiąc pięćset hektarów, to dużo. To jest duża, nowoczesna farma. Produkujemy tysiące ton ziemniaków, rzodkiewek, marchewki, orzeszków ziemnych, zboża. Oprócz tego mamy bardzo dużo trzody, cieląt. Powiększamy teraz hodowlę kurcząt. Mamy też nowy sad, ogromny sad granatów”*.

Kibuc to spółdzielcze gospodarstwo rolne, w którym ziemia i środki produkcji są własnością wspólną. Ale nie należy ich mylić z kolchozami, bo przynależność do wspólnoty jest dobrowolna a jego mieszkańcy, choć nie mają własnego majątku, to posiadają równe prawa i obowiązki; decyzje dotyczące strategii gospodarczej i podziału dochodów podejmuje walne zebranie. Kibuce odegrały ogromną rolę przy tworzeniu państwa Izrael i nadal są znaczącą częścią gospodarki narodowej. Opowiadał: *„W kibucu, który jest w jakimś wymiarze wspólnotą, łączy nas poczucie misji, pomocy. To daje wielką siłę. To nie są stosunki pracy czy wspólnoty jak w banku. Jaką można stworzyć wspólnotę urzędników w banku, który w ogóle nie jest ich? I cała sprawa jest w tym, jak się z tym czujesz. Jeżeli w czyimś życiu najważniejsza jest forsa, nie może być w kibucu. Jeżeli najważniejsza jest kariera albo pogląd, że życie to arena, gdzie panuje wolna amerykanka – też nie. Kiedyś w kibucu wszyscy o wszystkim decydowali wspólnie. To było idealistyczne, ale tak było. [...] Kolektyw to jest dla mnie słowo klucz. Nie,*



Alex z synami

nie lubię ludzi, wolę być sam. Siedzieć, pić kawę i czytać książki. Ale robienie czegoś samemu nie jest ciekawe. [...] Potrzebuję pracować z ludźmi”.

Nazwa „Bohaterska skiba” może wydawać się pretensjonalna, ale pamiętajmy, że często rakiety wystrzeliwane przez Hamas spadały na pola osadników. Alex, jadąc traktorem na pola, zakładał na plecy karabin. A w domach kibucników były schrony... Taka jest izraelska rzeczywistość: *„Jak jest wojna, musimy walczyć. Ja wiem, byłem na pięciu czy sześciu wojnach. Na wojnie Jom Kippur zrozumiałem, że albo będę szybko strzelał i biegał, albo mnie zabiją. Po prostu. [...] Jestem nauczycielem w szkole i nagle rano mam włożyć mundur i skakać z jakiegoś samolotu, cholera. To jakieś bzdury. Całe szczęście, już od kilku dobrych lat nie chodzę do wojska. Ale idą moje dzieci. Tak że to, czy u nas jest pokój, czy nie – to naprawdę istotna sprawa”.*

Po kilku latach pracy jako rolnik poczuł, że jednak to za mało, że chciałby się kształcić. Przez kilka lat godził pracę w kibucu ze studiami historycznymi. Jako temat magisterium wybrał polskie harcerstwo na Haszomer Hacair. Nikt przed nim o tym nie pisał. Według niego *„w izraelskich książkach historia tej organizacji została wypaczona. Oni po prostu tego nie rozumieją, a to jest organizacja matka wszystkich innych żydowskich młodzieżowych organizacji”.* Nie bardzo doceniono jego naukowe ustalenia. Po skończeniu uniwersytetu kibuc uznał, że powinien pracować jako nauczyciel w miejscowej szkole.

W 1990 roku zaproponowano mu prowadzenie kursów dla przewodników opiekujących się wyjeżdżającymi do Polski grupami młodzieży izraelskiej. Dwie instytucje – Yad Vashem i ministerstwo edukacji postanowiły otworzyć specyficzny kurs dla przewodników jeżdżących do Polski. Zapadła decyzja, że będą wykwalifikowani przewodnicy, którzy nauczą się,

jak mówić o trudnych sprawach. To bardzo ważne, żeby Polska nie kojarzyła się młodym Żydom tylko z wielkim cmentarzem. Alex i jego współpracowniczka Orit pracowali nad zmianą utrwalonych stereotypów u Polaków, ale przede wszystkim tych zakorzenionych wśród Izraelczyków. Dancyg był uczulony nie tylko na antysemityzm, ale także na antypolonizm, częsty wśród Żydów. Mówił: *„Ja mam się borykać z antypolonizmem, a wy z antysemityzmem. Część polskich Żydów w Izraelu i na świecie jest antypolska, a część ma żal. Według mnie to nie jest to samo, bo można mieć usprawiedliwione żale. A antypolonizm to uogólnienie. Wrzucenie wszystkich Polaków do jednego worka jako takich i owakich. Antypolonizm jest jak odbicie antysemityzmu, to generalizacja, uogólnienie. I wtedy oczywiście jest dużo ignorancji, faszysu i tak dalej. A żal o to, co się stało przez ostatnie sto lat... mamy prawo do takiego żalu”*.

Alex bardzo zaangażował się kursy przewodnickie, w których uczono nie tylko o Zagładzie, ale także o tysiącu lat współistnienia Żydów i Polaków nad Wisłą. Przez kilkadziesiąt lat wyszkolił kilkuset przewodników. Zajmuje się też organizacją przyjazdów polskich nauczycieli na wizyty studyjne do Yad Vashem. Robi wielką rzecz, po prostu nie do przecenienia. To w znacznym stopniu dzięki niemu i Orit kilkanaście tysięcy młodych Żydów, którzy od lat przyjeżdżają do Polski, wynosi inny jej obraz – widzą coś więcej niż getta i obozy koncentracyjne.

Pisarz Amos Oz powiedział w wywiadzie: *„Polska wywołuje mieszane uczucia u Żydów izraelskich. I nadal będzie wywoływać takie uczucia. Myślę, że jeszcze przez wiele lat to się nie zmieni. Żydzi i Polacy żyli w małżeństwie przez setki lat. To było długie, ale nieszczęśliwe małżeństwo. Czasem było ono pełne przemocy. I to polsko-żydowskie małżeństwo zakończyło się tragicznie. Zakończyło się ogromną zbrodnią Niemców przeciwko Żydom i Polakom. Obowiązkiem naszym i kolejnych generacji jest współpraca, próba wzajemnego poznania się”*².

Przez dziesięciolecia jego praca dzieliła się na kibuc, gdzie był robotnikiem rolnym, i resztę, czyli uczenie przewodników oprowadzających Żydów po Polsce, edukowanie nauczycieli, księży i samorządowców w jerozolimskiej szkole. Mówił: *„A raz na jakiś czas mam w notesie polskie seminarium i bye, bye. Jadę do Yad Vashem, przemawiam, gadam, prowadzę prelekcje. Napętlam się tą intelektualną niby robotą i znowu wracam na pole. I ta kombinacja jest po prostu genialna. Życzę wszystkim takiej kombinacji. Ile będę miał siły, będę właśnie tak pracował. Ciężko, ale wiecie, co jest najważniejsze w życiu? Żeby było ciekawe, urozmaicone, nie? Praca jest ciężka, naprawdę. Ja nie lubię pracy, jestem leniem, ale pracuję ciężko. I mam satysfakcję, bo to duża satysfakcja, jak udaje ci się nawadniać tysiące hektarów i wszystko dobrze rośnie. Bo u nas bez wody nic nie urosnie. A ja daję wodę. Jestem najbardziej wolnym człowiekiem na świecie. Robię, co mi się chce. Tylko że robię rzeczy, z których inni są zadowoleni. To ja decyduję, co robię, ale robię, co potrzeba. [...] Ale z drugiej strony robię coś ważnego. W jakiś dziwny sposób znalazłem się w miejscu, w którym powinienem. Chciałem być i w Polsce, i w Izraelu. Głupio mówić, ale chyba w Polsce mam więcej przyjaciół, z którymi mogę rozmawiać o tym, co lubię. W kibucu część ludzi w ogóle nie wie, co ja robię”*.

Po seminarium w Jerozolimie widzieliśmy się jeszcze trzy razy. W 2012 roku przyjechał do Polski, żeby wypytać, jak korzystamy z naszego szkolenia w Międzynarodowej

² Cyt. za: Amos Oz „W Izraelu każdy jest prorokiem” [w:] „Polityka”, 19 października 2010

Szkole Nauczania o Holokauście. Po oficjalnej części poszedł z byłymi kursantami na piwo. Słuchaliśmy go z wielką radością. Był gadułą, świetnie opowiadał dowcipy. Prawdziwy mistrz ciętej riposty i złośliwych komentarzy... Należało to „kupić w pakiecie” – taki był. Nigdy nie rozgryzłem, czy jego polszczyzna, która brzmiała, jakby mówił przedwojenny handlarz z Nalewek, z charakterystycznym słówkiem „nu”, była manierą, czy po prostu tak mówił, bo został oderwany od żywego języka polskiego jako dziecko.

W marcu 2017 r. przyjechał z nieodłączną Orit do Nowego Dworu. W moim liceum przeprowadził dyskusję. Chciał się dowiedzieć, co moi uczniowie wiedzą o Holokauście, co myślą o tolerancji. To były trudne rozmowy. Zaprosiłem go do

mojego mieszkania, poczęstowałem nalewką agrestową. Bardzo mu przypadła do gustu. Smakował ją powoli i wspominał wujka Lolka, który też robił nalewki i uczył go pić. Ale cały czas przeglądał półki mojej biblioteki i zatrzymał się na bloku książek Stanisława Brzozowskiego. Odczytywał tytuły i spytał mnie: „Wiesz, że jego »Płomienie« były książką pokolenia, ukochaną lekturą młodzieży palestyńskiej. Przede wszystkim tej z mojego Hászomer Hacair”. Dla niego związki polsko-żydowskie były ciągle żywe. Podarował mi wtedy płytę z muzyką swoich synów Bena i Matiego. Spytałem, jaki jest tytuł. „Przecież masz napisane: *עץ תמשה*”. I uśmiechał się szelmowsko. Na okładce wszystkie napisy były po hebrajsku. Trochę czasu mi zabrało, zanim przetłumaczyłem, że brzmi on: „Duch drzewa”.

Następnego dnia w Muzeum Stutthof odbyła się konferencja „Dobre praktyki w nauczaniu trudnej historii. Spotkanie edukatorów z Polski i Izraela”. Z całego kraju przyjechało wiele osób, które pobierały naukę w Jerozolimie. Zobaczyłem wtedy, ilu ma przyjaciół, a wręcz fanów. Jeden z przybyszy był bardzo przejęty i prosił go o rozmowę na osobności. Później podszedłem do Alexa i spytałem, czemu był on tak podekscytowany? Alex uśmiechnął się smutno i powiedział, że jego znajomy pytał go o radę w sprawach osobistych,



Mural poświęcony Dancygowi, fot. D. Paczkowski



Zdewastowany kibuc, fot. Chaim Goldberg

chodziło o rozwód. Bardzo się zdziwiłem i nieco złośliwie stwierdziłem, że chyba pomylił go z rabinem. Rozłożył bezradnie ręce i powiedział tylko: „No widzisz? W kibucu dwa lata byłem sekretarzem. Sekretarz kibucu to jest radny, ksiądz, psycholog i nie wiem, kto jeszcze...”.

Nasze ostatnie spotkanie było dokładnie dwa lata temu. Poszliśmy do nowodworskiej restauracji na kawę. Dwoje moich uczniów było tam kelnerami. Oczywiście od razu bezceremonialnie zaczął ich wypytywać, jakim jestem nauczycielem. Taki był, czasem wręcz obcesowy. Ze smutkiem opowiadał, że zdrowie mu się posypało, miał poważny zawał serca, wstawiono mu bajpasy, rozwiódł się z żoną... A wyjazdy do miejsc pamięci coraz bardziej go męczą... Przyjechał ze Sztutowa, gdzie spędzał urlop nad Bałtykiem. Popatrzyłem na jego spaloną słońcem i pomarszczoną twarz, zmierzwioną brodę, wymięty T-shirt i powiedziałem: „Toś sobie miejsce na urlop wybrał!”. Uśmiechnął się smutno, ale widziałem, że wcale nie ma już ochoty na ciętą, złośliwą ripostę. „Jestem coraz bardziej zmęczony” – tylko tyle powiedział. Na pożegnanie obiecał mi, że przetłumaczy moje opowiadanie pt. „Spopiełałe włosy Sulamitki”. Bardzo mnie tym wzruszył. Potem kupiłem jagodzianki i siedzieliśmy na ławce patrząc na wodę leniwej Tugi; pospacerowaliśmy trochę po moim miasteczku a potem odjechał nad morze i to było nasze ostatnie spotkanie. Nawet nie wiem, czy zabrał się za przekład.

7 października 2023 r. dopiero przed snem zjrzałem do wiadomości i dowiedziałem się, co się stało. Pierwszą moją myślą było, czy wtedy był w swoim kibucu, tak często przecież z niego wyjeżdżał. Natychmiast napisałem do niego: „Alex. Dopiero wieczorem

dowiedziałem się o ataku Hamasu. Horror. Czy u ciebie wszystko OK? Trzymaj się bracie!”. Nie było odpowiedzi, za to wnet nadeszła informacja, że jest wśród porwanych.

Skala i okrucieństwo terrorystów były nieporównywalne do innych ataków – zginęło 1139 Izraelczyków i obcokrajowców. Świat obiegły filmiki nakręcone przez napastników pokazujące zabijanie, znęcanie się nad ofiarami, zakrwawione zwłoki leżące w kurzu... Zrobiono to specjalnie. Chodziło o wykopanie tak głębokiej przepaści między obu narodami, która będzie już nie do zasypania. I to się udało. Potem nastąpił odwet armii izraelskiej i od dziesięciu miesięcy trwa okrutna wojna, w której wszyscy są przegranymi, bo tu nie może być zwycięzców. Laureatka literackiej nagrody Nobla Herta Müller napisała: „Hamas stawia na permanentną wojnę z Izraelem. Byłaby to najlepsza gwarancja jego dalszego istnienia. Hamas ma również nadzieję na izolację Izraela na arenie międzynarodowej, za wszelką cenę. Mam wrażenie, że strategią Hamasu i jego zwolenników jest uczynienie wszystkiego, co izraelskie, a zatem wszystkiego, co żydowskie, nie do zniesienia dla świata. Hamas chce utrzymać antysemityzm jako stały globalny nastrój. Dlatego też chce również reinterpretować Shoah. Prześladowania nazistowskie i ucieczka [Żydów] do Palestyny również mają zostać zakwestionowane. A w ostateczności – prawo Izraela do istnienia”³.

Zastanawiam, dlaczego nikt nie ostrzegł przed planowanym atakiem. Dlaczego Mosad nic nie wiedział? Dlaczego pomoc wojska przyszła dopiero po kilku godzinach? Przecież odległość między Beer Szewa (największe miasto na pustyni Negev) i Nir Oz wynosi ledwie 50 km! Może ktoś kiedyś to wyjaśni...

Od razu ruszyła akcja na rzecz uwolnienia Alexa Dancyga, który był także polskim obywatelem. Jego przyjaciółka Orit regularnie publikowała wpisy na Facebooku przypominające o uprowadzonym przyjacielu. Jego synowie pukali do wszystkich drzwi, byli nawet u papieża Franciszka i prezydenta Dudy. W marcu 2024 r. przyznano mu Nagrodę Specjalną Orła Jana Karskiego w uznaniu dla niego, symbolu człowieka pokoju, dialogu i przyjaźni. Pojawiło się wiele artykułów w gazetach i na portalach internetowych, audycji w stacjach telewizyjnych i radiowych. Na FB powstała strona „Pomóż sprowadzić Alexa do domu #StandwithAlex”, która regularnie publikowała informacje o stanie działań mających doprowadzić do jego uwolnienia. W Polsce namalowano nawet graffiti jemu poświęcone.

Rodzina wciąż starała się o uwolnienie ojca i dziadka. Jedna ze zwolnionych zakładniczek opowiedziała, że Alex żyje, ale został pobity. Podobno więziony w labiryntach podziemnych korytarzy pod Gazą organizował wykłady dla porwanych. Taki był. Ponoć nadzieja umiera ostania i wszyscy do końca wierzyli, że może starszych zakładników Hamas jednak zwolni. Ale nic takiego nie nastąpiło. Mati Dancyg napisał w liście: „Walczyłeś zaciekle w wojnach izraelskich. Całe swoje dorosłe życie, ponad 50 lat, mieszkałeś na osiedlu przygranicznym. Państwo chciało, żebyś o nie walczył – i walczyłeś. Państwo chciało, żebyś zamieszkał na granicy i mimo niebezpieczeństwa tam pozostałeś. Przez całe życie nauczałeś tysiące uczniów, wykazując się wielkim talentem i wyjątkową mądrością. Wszystko to dałeś państwu, a ono cię porzuciło. Obowiązkiem państwa, pierwszym i najważniejszym, jest sprowadzenie cię do domu. Tęsknię za tobą. Brakuje mi naszych fascynujących rozmów.

³ Zob.: „An OPEN LETTER from Herta Müller“, cyt. za: <https://truthofthemiddleeast.com/herta-muller>.

Brakuje mi Twojego pełnego miłości spojrzenia, kiedy odwiedzam Cię z dziewczynkami. Drogi i kochany Ojcze, wróć do domu!”⁴.

22. lipca br. Izraelskie Siły Zbrojne poinformowały o śmierci porwanego zakładnika Alexa Dancyga. Jego pogrzeb odbył się w niedzielę 25. sierpnia w kibucu Nir Oz, w którym spędził prawie całe życie i gdzie mieszkały do niedawna jego dzieci i wnuki. Killkoro z nich cudem uniknęło śmierci w czasie ataku 7. października. Kibuc jest zrujnowany i nie wiadomo, czy wróci do niego życie. Rodziny porwanych i wielu Izraelczyków ma żal do rządu, że nie zrobił wystarczająco dużo, żeby uwolnić zakładników. Izrael powstał jako państwo, które miało być schronieniem dla ocalonych z Shoah. Miało być gwarancją, że Zagłada już nigdy się nie powtórzy. Dzieci ocalonych wierzyły, że można zbudować inny świat. Bardziej sprawiedliwy. Alex opowiadał, jak kibucnicy z „Bohaterskiej skiby” pomagali palestyńskim sąsiadom, załatwiali im leki, wozili do lekarza... Może naiwnie łudzili się, że współistnienie jest możliwe. Dziś to wszystko legło w gruzach. Zostały ruiny, trupy i zgliszcza.

Opowiadał: *„Ale jedna rzecz jest ważna – wszyscy Żydzi, którzy przeżyli, mają traumę strachu. To jest jedno z takich przeżyć, których się nigdy nie zapomina. Przez cały czas żyjesz w wielkim napięciu i strachu. Każdy błąd to sprawa śmierci i życia”*. Niestety, te słowa nie odnoszą się tylko do historii i dziś są znów aktualne. We współczesnym Izraelu było i jest bardzo podobnie: *„Jesteśmy właściwie jakąś jednostką bojową, bo siedzimy dwa kilometry od granicy. Jak jestem w Polsce, to też dostaję esemesa, którego do wszystkich ludzi wysyła ktoś, kto się zajmuje wojskiem. I czytam: „Wszyscy mają zostać blisko schronu, bo chyba będzie bombardowanie od strony Strefy Gazy”*. Wiedział, że kiedy usłyszy *Cewa Adom*, czyli kod alertu, ma siedem sekund, żeby wejść do opancerzonego pokoju. Jego była żona i wnuczka dzięki temu ocalały. Dlaczego nie zszedł do schronu? Może po prostu nie zdążył?

Patrzę na stare zdjęcie mojego kolegi, na którym gra w piłkarzyki ze swymi małymi synkami. Kiedy je zrobiono? Może 30, może 40 lat temu. Słoneczne popołudnie, chwila przerwy po pracy na polu, radość z bycia z rodziną. A na innym widzę kompletnie zdewastowane domy w kibucu: wypalone i osmolone ściany, wybite okna, poskręcane metalowe pręty. I nie mogę przestać myśleć, że Alex, który tyle zrobił dla pojednania polsko-izraelskiego, który przestudiował tyle książek i dokumentów poświęconych Holokaustowi, tyle naczytał się o męczeństwie ukrywających się Żydów, umierał tak, jak jego współbracia w czasie II wojny światowej, w jakimś cuchnącym ciemnym tunelu, pozbawiony leków, bez bliskich, pewnie brudny i głodny. Nikt nie zasługuje na taką śmierć! Zbigniew Herbert w wierszu „Prześlanie Pana Cogito” napisał:

„powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku
a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku”.

Tak, jakby poeta o Nim pisał. Nie mogę się pogodzić ze śmiercią Aleksa. Mądrego i dobrego człowieka. Odszedł *mensch*. Będzie Go bardzo brakowało!

⁴ Mati Dancyg „List syna porwanego przez Hamas Alexa Dancyga: Ojcze, wróć do domu” [w:] „Polityka”, 17 października 2023.

Na żydowskich nagrobkach można przeczytać słowa z I Księgi Samuela 25, 29: „Niech będzie dusza jego związana w węzełku życia”. Wyrażają one życzenie życia wiecznego dla pochowanego. I choć mój zmarły kolega nie był wierzący, to mam nadzieję, że gdzieś tam znajdzie po śmierci ukojenie.

Orit Margaliot na pogrzebie powiedziała: „Jak pożegnać się z kimś, kto zaczynał jako mój nauczyciel, stał się kolegą a potem przede wszystkim bratnią duszą? Nie wiem. Więc nie mogąc się tak naprawdę pożegnać, powiem tylko – nie byłabym sobą, gdyby nie to, ile się od ciebie nauczyłam, bez wspólnej pracy przez lata, a przede wszystkim bez naszej przyjaźni. Tęsknię za tobą i będę za tobą tęsknić, i będę nadal z tobą rozmawiać i zgadywać, co odpowiesz...”. Orit zakończyła swoje pożegnanie wierszem Zbigniewa Herberta pt. „Pan Cogito szuka rady”. Chciałbym zacytować tylko fragment:

Tyle książek słowników
opasłe encyklopedie
ale nie ma kto poradzić [...]
zgubiono mnie
moja dusza
odmawia pociechy
wiedzy
wędruje tedy nocą
po drogach ojców [...]
– szukam cię rabi
– za którym firmamentem
ukryłeś mądre ucho
– boli mnie serce rabi
– mam kłopoty
może by mi poradził
rabi Nachman
ale jak mam go znaleźć
wśród tylu popiołów”⁵.

⁵ Cytaty z wierszy Zbigniewa Herberta za: tegoż, „Pan Cogito”, Warszawa 1974.

Yael Barzilai

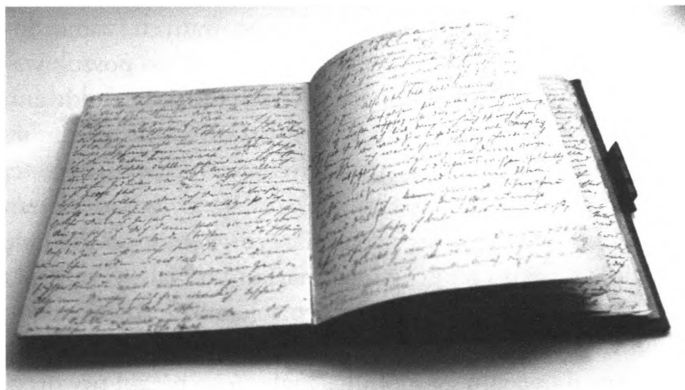


KAMIENIE PAMIĘCI DLA NANNY KROMBACH

Nanny Krombach (z domu Hirschberg) była żoną Juliusa Krombacha. Pobrali się w 1895 roku w Kwidzynie. Mieszkali jednak w Sztumie, gdzie Julius zajmował się handlem węglem i materiałami budowlanymi. Cieszył się poważaniem mieszkańców, gdyż przez wiele lat wybierano go do Rady Miejskiej. Angażował się także w działalność miejscowej gminy żydowskiej. W Sztumie przyszło na świat ich troje dzieci – Hedwig (1896), Käthe (1899) i Hans (1906). Käthe była żoną Waltera Bachracha, a Hedwig wyszła za mąż za Abrahama Ginsburg. Hedwig urodziła córkę Ruth (1922) i syna Heinza (1926). W 1926 zmarł jej mąż, a w 1931 roku zmarła Hedwig i dzieci zostały sierotami. Wówczas to Nanny i Julius Krombach adoptowali swoje wnuki i przenieśli się ze Sztumu do Kwidzyna. Po śmierci męża w 1935 roku, Nanny z wnukami przeprowadziła się do Berlina. Jej córka Käthe pracowała jako lekarka w sierocińcu w centrum Berlina. W roku 1933 najpierw Käthe, a potem jej brat Hans, wyjechali do Palestyny. Nanny odwiedziła ich w Palestynie, jednak mimo ostrzeżeń i nalegań swych dzieci wróciła do Niemiec, by dalej opiekować się swymi wnukami Ruth i Heinzem. Ruth i Heinz opuścili Niemcy



Julius i Nanny Krombach przed swoim domem w Sztumie, fot. archiwum rodzinne



Pamiętnik Hedwig Ginsburg, córki Nanny Krombach, fot. archiwum rodzinne



Kamień pamięci dla Nanny Krombach w Berlinie, fot. internet

w marcu 1939 roku z transportem młodzieży Alija do Palestyny. Nanny planowała wyjazd, ale nie zdążyła. Jej ostatni znak życia dotarł w czerwcu 1942 roku do jej syna Hansa w Palestynie. 19 sierpnia 1942 została deportowana do obozu koncentracyjnego Theresienstadt (Terezin). 26 września 1942 została zamordowana w obozie zagłady w Treblince.

Poniższy tekst napisała Yael Barzilai, prawnuczka Nanny Krombach, która kilka lat temu odwiedziła Sztum, szukając śladów swojej rodziny. Nanny, razem z innymi zamordowanymi Żydami, upamiętniono w Berlinie „kamieniem pamięci” i mam nadzieję, że nadszedł czas, by również w Sztumie ta pamięć przetrwała.

Leszek Sarnowski

W listach, które przez lata leżały na dnie szuflady, można znaleźć wiele informacji. Czytając między wierszami ocenzone listy i krótkie telegramy, dowiadujemy się, jak żyło się w wielkim mieście, poznajemy piękne chwile, nadzieje i plany, starania, upadki, błędne decyzje i rozpacz.

Kilka miesięcy temu otrzymałam wiadomość mailową z Berlina. Nie rozpoznałam nadawcy. Była to kobieta, która poinformowała mnie, że ona i jej sąsiedzi, w ramach projektu „Stolpersteine” (kamienie pamięci, dosłownie: kamienie, o które się potykamy), podjęli inicjatywę zainstalowania tego rodzaju pomnika w swojej okolicy, w berlińskiej dzielnicy Wilmersdorf, ku pamięci Żydów, którzy mieszkali w sąsiedztwie podczas II wojny światowej aż do momentu, w którym zmuszono ich do wsiadania do pociągów „bez powrotu”. Stolperstein to mosiężna płytko wielkości cegły, na której wypisane jest imię i nazwisko danej osoby, data urodzenia, data transportu i miejsce, do którego był skierowany. Płyta ta jest wmurowana w chodnik przed miejscem ostatniego zamieszkania tej osoby (nie licząc przebywania w obozie koncentracyjnym). Projekt „kamieni pamięci, o które można się potknąć” obejmuje całe Niemcy i dzięki niemu pojawiły się tysiące małych pomników w miejscach, przez które codziennie się przechodzi (w opozycji do tradycyjnych, monumentalnych pomników).



*Nanny i Julius Krombach,
fot. archiwum rodzinne*

Na początku sporządzono listę 82 deportowanych i zamordowanych osób, które żyły w sąsiedztwie, i rozpoczęto poszukiwania wszelkich informacji na temat życia tych ludzi. Poszukiwano również ich krewnych. Kobieta z Berlina (która odnalazł mnie za pośrednictwem jednej ze stron internetowych poświęconej genealogii) zwróciła się z pytaniem, czy rzeczywiście jestem krewną Nanny Krombach i oznajmiła, że chętnie podzieli się ze mną zdobytymi do tej pory informacjami o Nanny; zapytała również, czy mam jakieś własne informacje, może zdjęcia.

Nie wiedziała, że to będzie jej szczęśliwy dzień. Do tych poszukiwań zwerbowałam „wspólnika”, własnego ojca, i utworzyliśmy „biuro dochodzeniowe w sprawie Nanny Krombach”. Dla nas badanie czyjśgo życia jest bardziej interesujące niż upamiętnianie śmierci. Mój tata zaczął wyciągać albumy, listy i dokumenty, o których istnieniu sam nawet nie wiedział. Piętrzące się materiały przytłoczyły go do tego stopnia, że nie wiedział, od czego zacząć ich opracowywanie. Wezwano mnie, aby go uspokoić i pomóc w zainicjowaniu całego procesu.

Mamy szczęście, że po dziesięcioleciach wojen i przymusowej emigracji posiadamy tak wiele dokumentów. Ich wielość przytłoczyła mojego ojca. Codziennie przysyłał nowy szczegół, kolejne tłumaczenie, dodatkowe „fantastyczne zdjęcie” (musiałam tu użyć słowa „fantastyczny”, bo mój tata szczególnie je lubi). Co do mnie, zagłębiał się w internetowe bazy danych, a następnie analizuję moje odkrycia razem z tatą. Ośmielałam się nawet spierać się z nim, co do historycznych założeń, co oczywiście go denerwuje, bo w końcu jest historykiem.

Karin, kobieta z Berlina, ma dostęp do archiwów rządowych i przysyłała nam szczegóły, o których nie mieliśmy pojęcia. W zamian ja wysyłam jej zdjęcia i fragmenty informacji, na co ona odpowiada: „Wspaniale, czuję się już tak, jakbym znała Nanny!”. Zaproponowała pomoc w tłumaczeniu dziesiątek listów. Mój tata jednak nie zamierza niczego odpuścić. Z jednej strony stresuje go niesamowita ilość dokumentów, z drugiej twierdzi, że poradzi sobie z tym sam, że sam zrobi wszystko, co tylko będzie mógł.



Nanny i Julius Krombach, fot. archiwum rodzinne

Nie pierwszy raz przeglądam pudła z rodzinnymi listami i fotografiami. Bardzo dobrze znam już piękną pruską miejscowość (Sztum – przyp. tłum.) i szczęśliwe tam lata Nanny. Znam miasteczko położone między dwoma jeziorami, duży dom, konie i powóz. Mogę wyobrazić sobie książki w wielkiej bibliotece i muzykę graną przez Nanny. Być może lepiej byłoby umieścić Stolperstein w tym właśnie miejscu, a nie w Berlinie, dokąd wyemigrowała, gdy sytuacja zaczęła się pogarszać.

Mieliśmy mniej informacji o czasie spędzonym przez nią w Berlinie, po śmierci jej męża Juliusa. Po tym, jak zmarła jej najstarsza córka, pozostawiając po sobie dwie sieroty. Po tym, jak zdała sobie sprawę, że nie jest tak bardzo Niemką, jak jej się to wcześniej wydawało.

W listach, które przez lata leżały na dnie szuflady, można znaleźć wiele informacji. Czytając między wierszami ocenzone listy i krótkie telegramy, dowiadujemy się, jak żyło się w wielkim mieście, poznajemy piękne chwile, nadzieje i plany, starania, upadki, błędne decyzje i rozpacz. Odkryliśmy, że po tym, jak wnuk Nanny (mój ojciec) urodził się w Palestynie (przed powstaniem Izraela), Nanny odwiedziła Palestynę



Julius Krombach ze swoimi dziećmi, fot. archiwum rodzinne

dwa razy (prawdopodobnie w 1937 i 1938 roku). Jej córka, Kathe (moja babcia), błagała ją, aby nie wracała do Niemiec. Miała jednak dwójkę wnucząt, sierot (dzieci jej córki Hedwig – przyp.tlum.), ciągle przebywających w Niemczech, i nie było nikogo, kto mógłby się nimi zaopiekować. Musiała wracać do Berlina rządzonego przez nazistów.

Mój tata i ja, przyglądając się bliżej szczegółom, przeanalizowaliśmy uważnie każdy strzępek informacji. Oto, na przykład, jest list, który dotarł cztery tygodnie po tym, jak sieroty wypłynęły do Palestyny, w maju 1939 roku: „Trudno uwierzyć, że pojutrze miną cztery tygodnie od twojego wyjazdu. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że tak szybko dałaś znać. Babcia (Nanny) z radością zagłębia się w Twój list, więc proszę, abyś pisała do niej tak często, jak tylko możesz. Mam nadzieję, że transport mebli jednak się uda. Musiałem odbyć nieprzyjemną rozmowę w tej sprawie z jednym z celników. Walczyłem z nim jak lew, ale na razie bezskutecznie... Zobaczymy, czy Twój opiekun, dr Felis, zdoła zorganizować transport. Jeśli nie, babcia Nanny będzie musiała spróbować zabrać część Twoich rzeczy (do Palestyny). Kupiliśmy Ci nową maszynę do szycia, ale musimy postarać się o pozwolenie, aby sfinalizować sprawę. Trzymajcie kciuki, aby przynajmniej to się powiodło.”

Można powiedzieć: „Ot, taki zwykły list”. Ale czyż nie widać tego wszystkiego, co dzieje się między wierszami? Pół roku po Nocy Kryształowej (Kristallnacht), parę miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej, Georg (autor listu) i Nanny biegną tam i z powrotem między nazistowskimi urzędnikami,



Käthe i Hans Krombach przed zakładem ojca w Sztumie, fot. archiwum rodzinne



Nanny Krombach ze swoimi dziećmi przed domem w Sztumie, fot. archiwum rodzinne



Nanny Krombach, Kurt i Else Zacharias oraz Georg Zacharias z okazji obchodów Bar Micwy Heinza w wiejskiej szkole żydowskiej w okolicach Berlina w 1938 roku. Heinz i Ruth stoją, fot. Archiwum rodzinne



Julius i Nanny Krombach przed swoją fabryką w Sztumie w latach 30., fot. archiwum rodzinne

starając się o wysłanie mebli sierot do Palestyny. Kupili maszynę do szycia, aby dołączyć ją do transportu, i walczą z biurokracją o meble. Dowiadujemy się o planach Nanny dotyczących emigracji do Palestyny. Jeszcze tylko kwestia przekonania paru urzędników i sprawa będzie załatwiona. Zajmijmy się jednak tym, co teraz najważniejsze: sprzętami...

List napisał Georg Zacharias, siostrzeniec Nanny. Rodzina Zachariasów to największe okrycie podczas tych poszukiwań. Kluczem był strzep pamięci mojego taty. W mozolnym procesie, między wierszami i poprzez informacje archiwalne, rodzina Zachariasów okazała się być bliskimi krewnymi, dwoma braćmi i dwiema siostrami, z którymi Nanny przeżyła swoje ostatnia lata życia i dzieliła z nimi opiekę nad sierotami. Dzielią również ten sam los.

To ważne odkrycie również dla Karin z Berlina, gdyż rodzina Zacharias znajdowała się także na liście projektu upamiętniających tablic (Stolpersteine). Grupa ludzi zajmująca się tym projektem w Berlinie nie znalazła o nich prawie nic i nie dotarła do żadnych ich potomków, z którymi można by było o nich porozmawiać. Ich listy przechowywane przez moją rodziną mogą być jedyną pamiątką, jaka pozostała na świecie po Zachariasach.

EPILOG

Sprzęty dotarły do Palestyny. Nanny nie. Jedynym ocalałym z tej grupy był jeden z braci Zachariasów, Kurt. Uciekł do Paryża na początku roku 1939. Nie wiemy nic o tym, gdzie przebywał podczas okupacji. Po wojnie wrócił do Niemiec. W niezwykłym liście przeprosił za ten powrót. Wiemy, że rodzina jego syna po wojnie mieszkała we Francji.

Dnia 22 czerwca 2014 roku przy ulicy Paryskiej 11 w Berlinie odbyła się ceremonia położenia kamieni pamięci poświęconych 82 Żydom, którzy mieszkali w tej dzielnicy Berlina.

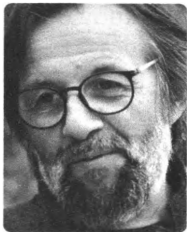
Yael Barzilai przed uroczystością pisała na swoim blogu: Chciałabym, aby wielu gości przybyło 22 czerwca do Wilmersdorf w Berlinie, aby uczcić ludzi, którzy na tym świecie nie pozostawili niczego, nawet grobu. Mam nadzieję, że przyjdą także dla Nanny, zwykłej kobiety, która kochała muzykę, tęskniła za wnukami i była gotowa walczyć z biurokracją, aby wystać im maszynę do szycia.



Nanny Krombach z wnukiem Danny w Palestynie w 1937 roku, fot. archiwum rodzinne

Tłumaczenie – Piotr Napiwodzki

Krzysztof Czyżewski



NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (23)

BORKA

6 czerwca 2024 roku

Powróciłem już do cichej i ustronnej Suboticy, wciąż jednak pozostaję pod wrażeniem tego, co wczoraj wydarzyło się w Belgradzie. W Centrum Dekontaminacji Kultury po raz pierwszy została przyznana Nagroda im. Borki Pavicević, zmarłej pięć lat temu założycielki Centrum. Mały cud, który sprawił, że w mieście, któremu obsesje pamięci i mirażę putinizmu nie dają normalnie żyć, nagle wyłoniła się oaza wolności i solidarności, pełna uśmiechniętych ludzi. Na fotografiach pojawiają się sprawcy wydarzenia: Ana Miljanić, następczyni Borki w CZKD, i Lech Kończak, dyrektor Polskiego Instytutu w Belgradzie, oraz pierwsza laureatka Nagrody, Ružica Mirjanović. A ja dzielę się mową inauguracyjną, z której można wyczytać dlaczego uznaliśmy, że Nagroda przyznawana będzie „za jawny gest”, i choć trochę, kim była jej patronka.

Kto ma odwagę marzyć, ten ma szansę spotkać ludzi gotowych spełnić najśmielsze marzenie.

Oto mamy pierwszą edycję Nagrody im. Borki Pavicević „*Za jawny gest*” (za gest publiczny). Mamy wspaniałe grono jury – ludzi z kręgu „partyzantów oddziału Borki”, którzy – nie



pytając dwa razy – przyjechali z różnych krajów, by zasiąść przy wspólnym stole obrad: Žilnik Matijević z Nowego Sadu, Suada Kapić z Sarajeva, Oliver Frljić z Berlina, z Belgradu Goranka Matić, Sandra Mandić i Ana Miljanić, która wspólnie ze mną przewodniczy jury. Mamy trzydzieści odważnych, innowacyjnych i twórczych „gestów publicznych” nominowanych do Nagrody,

z których sześć wybraliśmy do silnej i zróżnicowanej krótkiej listy wyróżnionych (sąsiadują na niej ekolożka, opiekunka osób starszych i kosowskich Romów Bojana Minović z Kraljeva z Nebojšą Slijepčevićem, filmowcem i świeżym laureatem Złotej Palmy w Cannes; nieustraszona policjantka Katarina Petrović z Dariją Radaković, artystką znaną z akcji billboardowej „I winni i dłużni”; odważna dziennikarka Ivana Gordić Perc z Draganem Stojkovićem, wydawcą i aktywistą z Zemunu). I mamy pierwszą laureatkę Nagrody, nauczycielkę i animatorkę kultury z Užic, Rużicę Marjanović, która „w pół drogi” (tak się nazywa organizowany przez nią od prawie dwudziestu lat festiwal literacki) między Sarajewem i Belgradem, wraz z wybitnymi pisarzami z wszystkich krajów byłej Jugosławii, wychowuje młodzież w duchu krytycznego myślenia i otwarcia na Innego. Myślę, że Borka byłaby szczęśliwa w tym gronie. Choć z pewnością nie dopuszczałaby myśli, że to wszystko może się odbywać bez niej. „Ja muszę tam być!” – słyszeliśmy od niej po wielokroć. I była. Zawsze i wszędzie. Bez jednych choćby wagarów w sprawach najwyższej bo obywatelskiej rangi. I któż śmiałby wątpić, że teraz, w takiej chwili, nie ma jej z nami...

Nisko się kłaniam Anie Miljanić i całemu zespołowi Centrum Dekontaminacji Kultury za serce i wysiłek włożony w przygotowanie tego spotkania. Ogromnie wdzięczny jestem również Instytutowi Polskiemu, młodej instytucji w Belgradzie, za wspaniałe partnerstwo w tym wyjątkowym, serbsko-polskim geście solidarności. Nie często się zdarza, że instytucja reprezentująca kulturę danego kraju, funduje nagrodę imienia obywatelki innego kraju, i to nagrodę dla twórców zaangażowanych i liderów społeczeństwa obywatelskiego. Nie znaczy to oczywiście, że Polska chce porwać Borkę, jak kiedyś Zeus Europę. Znaczy to tylko, że Borka, podobnie jak Europa, jest nasza, wspólna dla Serbii i Polski, i dla innych krajów i kultur.

Wysłuchując się w opowieści o działaniach artystycznych i obywatelskich osób nominowanych do Nagrody, a jednocześnie będąc cały czas myślami z życiowym dziełem Borki Pavicević, pomyślałem o dwóch słowach, które w moim przekonaniu dobrze wyrażają ducha tej Nagrody i jej patronki: gest i przemiana.

Podczas wojen w byłej Jugosławii doświadczyłem uderzenia Karuny, bogini dobrego gestu, które już na zawsze odcisnęło się na moim życiu. Dlaczego uderzenie, a właściwie cios – jednosylabowe, zwarte w sobie słowo? Bo Karuna nie przychodzi na zaproszenie, nie odpowiada na listy, nie wdaje się w rozmowy i negocjacje, nie obraduje w parlamentach i radach mędrców. Przychodzi jak grom z jasnego nieba. I strąca cię w otchłań oceanu, w przepastne wszystko. Nie abyś zniknęła, pograżyła się w ciemności, obróciła w nicłość, lecz abyś współ-odczuła jedność ze wszystkim, poczuła drżenie najmniejszej cząstki uniwersum, zapłonęła światłem najgłębiej ukrytej w ciemności iskry.

Dlaczego bogini dobrego gestu? Tak ją nazywam i tak rozumiem jej tajemnicę. U źródła trwania wszechświata jest dobry gest. To, że trwamy, że wciąż następujące po sobie i wywoływane przez to, co ciemne w nas, katastrofy nie są ostateczne, zawdzięczamy dobremu gestowi, rozprzestrzeniającemu się we wszechświecie przez miliardy powtarzanych, małych, odważnych, bezinteresownych, prostych jak miłość dobrych gestów. W języku polskim słowo *gest* związane jest z dobrem. „Uczyn gest” mówiła moja babcia kiedy narozrabiałem, kogoś skrzywdziłem i nie wiedziałem co z tym zrobić. „Uczyn gest” w naszym świętym języku znaczyło zrobić coś dobrego dla drugiej osoby, doświadczającej cierpienia albo od ciebie, albo od losu, albo od innych. I to dobro nigdy nie było dla ciebie, nigdy nie było zrobieniem sobie

dobrze. Dlatego gest – szło za tym wyjście z siebie, skrucha, porzucenie swojej pewnej i wyższościowej pozycji, zstąpienie o stopień niżej, uniżenie się, wsluchanie, przemożenie siebie, własnego wstydu, ale też dumy, miłości własnej. A jednocześnie gest nierozzerwalnie związany jest z czynieniem, bez tego to słowo traci swoją esencję – zrób coś; nie stój tak; rusz się; nie oglądaj się na siebie. Co ciekawe, babcia ani też moi rodzice, nigdy mi nie mówili co mam zrobić. Wiedzieli, że jeżeli stać mnie będzie na gest, to zrobię to, co serce mi każe.

Gdyby jakaś siła zatrzymała choćby na moment dobry gest, zwielokrotniany w miliardach uczynień, nasz świat natychmiast i ostatecznie by się zawalił.

Karuna w sanskrycie znaczy „uczynić to”. *Poesis* w starożytnej grece znaczy „uczynić to”. Heraklit, zatrzymując się nad źródłosłowem *poesis*, podkreślał, że chodzi o akt działania przybierający jednocześnie formę artystyczną, wysublimowany kształt wyrazu. Myślę, że podobnie rozumiała to Borka – gest czynienia w przestrzeni publicznej powinien być poddany dyscyplinie wyrazu artystycznego, nieść ze sobą katharsis, przyoblekać się w kształt piękna.

Imię Karuny na języki zachodnie często tłumaczone jest jako „współczucie”, z tendencją do rozumienia tego jako „samo-współczucie” albo litość (z tendencją do litowania się nas sobą. To częsta dominanta naszych kultur – autocentryzm. Tymczasem Karuna jest nie-sobie-współczująca. A do tego jest właściwie tożsama z tęsknotą duchową, jak gest z dobrem.

Drugim, obok gestu i nierozłącznie z nim powiązany, słowem-kluczem dla refleksji o Nagrodzie jest przemiana. To, co wspaniałego dawała Borka światu, to szansę na przemianę – siebie, nas, obcych, wrogów, każdego... Pokochałem ją od pierwszego spotkania. Trwała jeszcze wojna, a wtedy rozmowy i zawiązywane między ludźmi relacje mają nieporównywalną z innym czasem intensywność. Przywitała mnie jakbyśmy znali się od dawna, a w jej przepalonym papierosami i turecką kawą głosie była serdeczność starszej siostry. Na ścianie, przy której usiedliśmy, wypisany był wiersz antyfaszystowskiego pastora Martina Niemöllera „Kiedy przyszli po komunistów, nie protestowałem, / nie byłem komunistą. / Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem, / nie byłem Żydem. / Kiedy przyszli po mnie, nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować.“

Zapisała mi w notesie wiele kartek z nazwiskami i adresami ludzi i organizacji, z którymi powinienem się spotkać. Nie było pośród nich żadnych osób znanych z mediów czy międzynarodowych festiwali. „Chcesz zrozumieć i pomóc? Wyjedź z Belgradu“ – mówiła i rozrysowała mi mapę podróży od Suboticy i Nowego Sadu w Wojwodinie po Novi Pazar i Mitrovicę na pograniczu serbsko-kosowskim.

Mieliśmy się spotkać w Amsterdamie, na uroczystości wręczania nagrody księżniczki Małgorzaty, którą sama wcześniej otrzymała. Nie mogła przyjechać, ale napisała wtedy do mnie list, ostatni z tych, które raz jeden w życiu się dostaje. Wspominała w nim naszego wspólnego przyjaciela Dragana Klaić, który walczył o Europę jako projekt kulturowy. Żegnała się ze mną słowami Bertolda Brechta, mistrza jej teatru, o tym, że ten tylko pozostaje sobą, kto ma odwagę się zmienić. Innymi słowy, stajemy się sobą, przekraczając siebie.

Nie znosiła powtarzania się, nic bardziej nie było jej obce jak stanie w miejscu. A teraz, gdy jej serce stanęło, trzeba będzie pójść dalej, samemu dotrzymać jej kroku, by za sobą samym nie zostać w tyle. Mam głębokie przekonanie, że taką właśnie postawę wzmacniać i upowszechniać będzie Nagroda im. Borki Pavicević. Tym bardziej, że Nagroda to nie tylko piękna statuetka autorstwa Małgorzaty Niedzielko i gratyfikacja pieniężna, ale także grant na

konkretny „gest publiczny“, który będzie realizowany w najbliższej przyszłości. Z pewnością w ten sposób już teraz starają się dotrzymać kroku Borce nominowani do Nagrody, na czele z jej pierwszą laureatką Rużicą Marjanović.

DROHOBYCZ – SCHRON

11 lipca 2024 roku



Drohobycz. Ulica Łesi Ukrainki. Z Pawłem Próchniakiem dochodzimy do niej od strony ulicy Szewczenki, obecnie jednej z głównych ulic miasta. Za życia Brunona Schulza nazywała się Mickiewicza. Dzisiaj nazwę Mickiewicza nosi dobiegająca do niej niewielka uliczka, przy której zachowało się kilka uroczych secesyjnych willi. To dawna ulica Szewczenki.

Na dzisiejszej ulicy Szewczenki tablica pamiątkowa oznacza miejsce, w którym 19 listopada 1942 roku gestapowiec zastrzelił Brunona Schulza. Kilka kroków dalej rozpoczyna się aleja pamięci żołnierzy z Drohobycza zastrzelonych przez Rosjan w obecnej wojnie. Flagi, znicze, kwiaty, fotografie poległych... ciągną się bez końca.

Dochodzimy do ulicy Łesi Ukrainki numer 46. Na początku dwudziestego wieku Żydzi zbudowali tutaj Dom Sierot. Do dzisiaj w rożecie budynku widnieje gwiazda Dawida. Za czasów sowieckiej Ukrainy mieścił się tu Dom Dziecka, a obecnie Wydział Historii, Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Drohobyczu. Dziekan, który przywitał nas w progu, podkreślił staranie Ukraińców o utrzymanie ciągłości tradycji: od zaopiekowania się sierotami po kształcenie wychowawców dzieci.

Jest jeszcze inna ciągłość tradycji tego miejsca, w przeszłości złowroga, teraz odczarowywana. Dziekan wskazując drogę po schodach w dół do schronu, rzuca nam na pożegnanie:

Tam jest krew na ścianach. Piwnicę budynku NKWD zaadoptowało na sale przesłuchań i kaźni. Potem podobny użytek z piwnicy zrobiło gestapo. Teraz ludzie chronią się tutaj przed bombardowaniami.

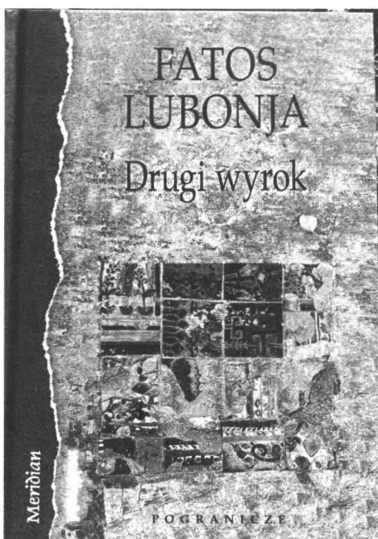
Schodzimy do schronu. Lipcowy upał tu nie sięga. Długie, wąskie pomieszczenie. Ledwie się mieścimy, twarz przy twarzy. Splecione języki, ukraiński i polski. Ze świata na zewnątrz dotrze raz czy dwa głos syreny alarmowej. Pracują generatory i nie wszystkie prądy zostają wyłączone. Najmniejsza szczelina wypełnia się uwagą. Wznosi się cisza. Zaczynamy czytać wiersze. Potem wymieniamy krótkie glossy komentarzy, których esencjonalność jeszcze bardziej zagęszcza wymowę myśli i emocji. I wracamy do wierszy. Godzina wieczności w poświacie narastającej obecności słowa. Poesis, piękna i dobra, bierze schron za swój dom.

LUBONJA -- DRUGI WYROK

19.07

Fatos Lubonja, który w więzieniach i obozach komunistycznej Albanii spędził siedemnaście lat, o swojej celi w Spaçu, jednym z najstraszniejszych więzień ubiegłego stulecia:

„Moje pragnienie życia było tak wielkie, tak silne, że to miejsce wydało mi się bardzo dobre, bardzo ludzkie, wręcz kochane. Gdybym tylko został żywy, mógłbym całe życie spędzić w nim z radością, nawet nie mając nadziei, iż *pewnego dnia* je opuszczę. Wystarczy, by oczy pozostały otwarte, choćby miały widzieć jedynie te głuche ściany i mętne światło; wystarczy, by dłonie miały co głaskać, choćby to były brudne deski; wystarczy, bym czuł radość z ciepła zatrzymanego w zużytych wojskowych kocach..., a uszy słyszały hałas i głosy strażników. Czulem, że zaakceptowałbym takie życie nawet bez nadziei, że wyjdę stąd *pewnego dnia*, bez nadziei na ponowne ujście żony i dzieci. Byłbym tylko pozostał żywy.”



Fatos Lubonja o Spaçu, miejscu pamięci komunistycznych zbrodni, popadającym w ruinę za sprawą tych, którzy do dzisiaj boją się spojrzeć w oczy prawdzie:

„Pojechałem tam i zobaczyłem ruiny tego, co niezatarte trwa w mojej pamięci. W tym gruzowisku moją uwagę przykuły obiekty, które przywodziły na myśl przeszłość i zdawały się ponownie zapełniać obóz więźniami, ich życiem i historiami. Zaczęłem zbierać przedmioty, które najbardziej mnie poruszają i które mogłem zabrać ze sobą w plecaku, albo nieść w rękach. [...] Czy jest coś bardziej

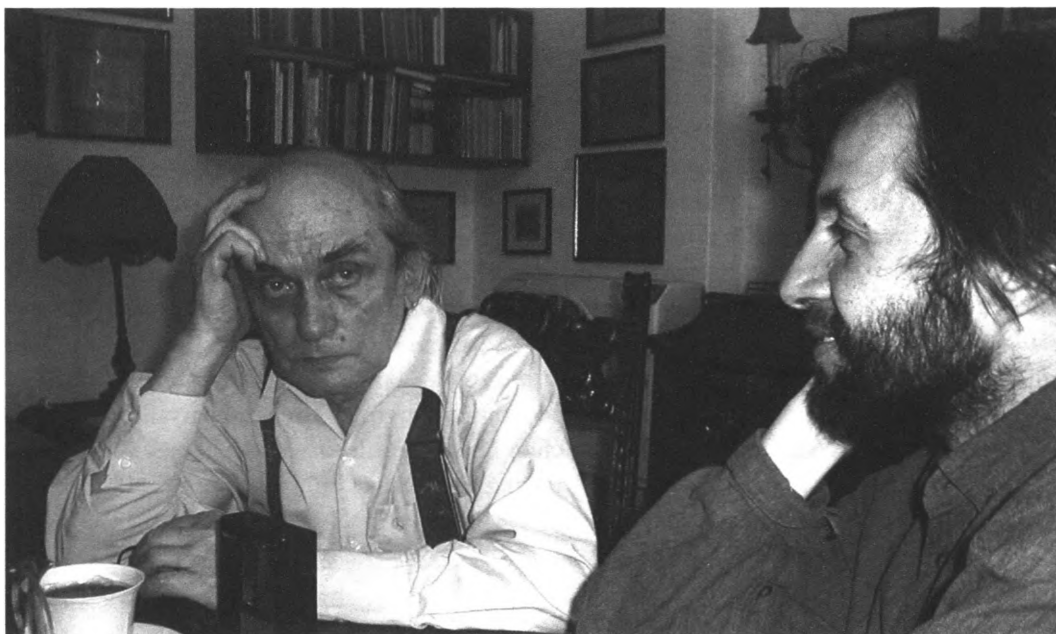
absurdalnego niż unicestwienie cudzożycia, życia własnego i innych? Przechowuję i dbam o te pozornie zwyczajne przedmioty, próbując powstrzymać ich zagładę i zapomnienie. [...] Właśnie w tych warunkach, które na pierwszy rzut oka nie dawały powodów do życia, bardziej niż gdziekolwiek indziej poczułem miłość do życia i do ludzi.”

Dorota Horodyska, autorka przekładu: „Fatos Lubonja, który w Spaću przez lata walczył każdego dnia o przetrwanie, od lat walczy o przetrwanie Spaća. Paradoks, którego nie ogarnia wyobraźnia politykierów. Do tego potrzeba historii niewykłanej politycznie, mądrości oraz empatii”.

Seria „Meridian”, Pogranicze, lipiec 2024.

FICOWSKI O POWSTANIU

1 sierpnia 2024 roku



Jerzy Ficowski opowiedział mi o powstaniu warszawskim. Oto fragment rozmowy o całym życiu autora „Odczytania popiołów”, która wkrótce ukaże się jako książka...

„Mój patriotyzm nie był patriotyzmem husarskim, bo skrzydła zostały oskubane. Jedna decyzja pociąga za sobą następne. Nieuchronnie. Było rzeczą nie do pomyślenia wypiąć się na tych wspaniałych ludzi, którzy byli gotowi do najwyższych ofiar, i pójść gdzieś swoją ścieżką, merdając ogonem. Mój udział nie był wspólnym wyznaniem wiary, chociaż oczywiście równie mocno jak moi rówieśnicy nienawidziłem tych, którzy nas przez te pięć lat okupacji mordowali. Tylko że ja już wtedy nie byłem naiwnym dzieckiem i nie miałem skłonności do zabawy w Indian.

Gdy szedłem do powstania, powiedziałem matce, że wrócę za trzy dni. Nie kłamałem. Na to liczyłem. Liczyłem, że jako zwykły żołnierz, nie będąc oficerem, prześliznę się jakoś pod pachami tych, którzy zaciskali wokół nas pierścień, i wrócę do domu. Nie myślałem, że to potrwa tak długo, że skończy się śmiercią setek tysięcy...

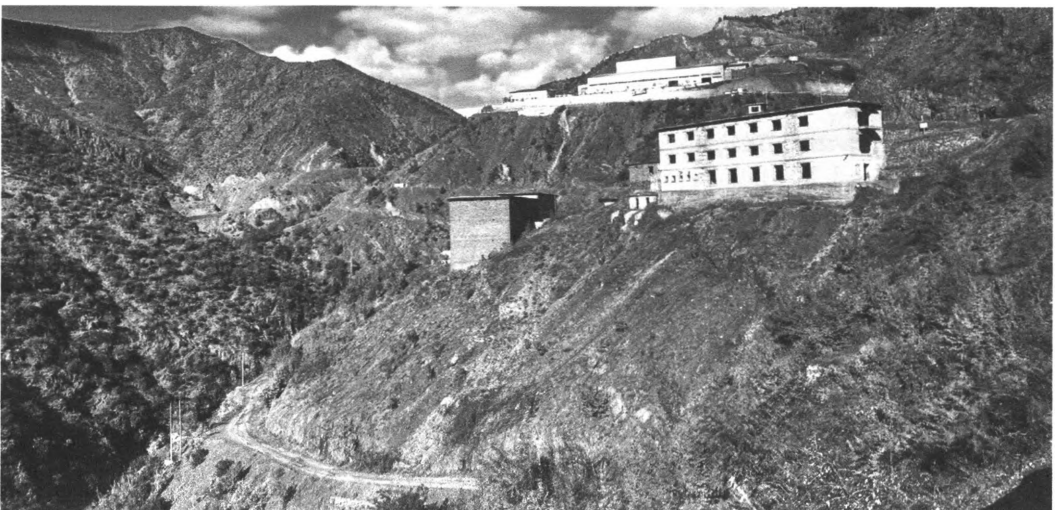
Idąc do powstania, nie miałem nawet tej pociechy z euforii, jakiej doświadczali niektórzy. Musiałem nadrabiać miną. A mina w takim momencie bardzo się liczy, choćby ze względu na kolegów, którzy są obok, bo jest tak strasznie, że nie można nikogo dosmucać.

Życie zawdzięczam właściwie jednemu z moich dowódców. Znałem go jeszcze z czasów konspiracji i z odpraw AK-owskich, które odbywały się u mnie w domu we Włochach. Był jak z obrazów Kossaków czy z fotografii dzielnej braci żołnierskiej, jakie widywało się na plakatach z napisem: „Zwycięzimy!”. Miał wspaniałą twarz, sokole oczy, ścięte czoło, bujną czuprynę, orli nos. Był pełen wdzięku i jakiegoś takiego zawadiactwa, ale rozsądnego, tamowanego i modelowanego rozsądkiem. Ja miałem wtedy osiemnaście lat, a on wydawał mi się bardzo dorosły, choć nie miał więcej niż dwadzieścia pięć. Oczami wyobraźni widziałem go siedzącego w siodle na koniu, kawalerzystę, ułana z lancą przy boku, który takim się już po prostu urodził. Po wojnie dowiedziałem się, że był buchalterem. Nie ma w tym nic złego, ale kłóci mi się to z wizerunkiem, który zachowałem w pamięci.

Umarł na raka, w młodym jeszcze wieku, a przeżył straszne rzeczy, przeżył powstanie, wszystko przetrwał...

I to on mnie uratował, choć trudno to właściwie wytłumaczyć. Któregoś dnia podczas powstania wysłano mnie z meldunkiem bardzo ryzykowną drogą, z górnego na dolny Mokotów, na Chełmską, przez ulicę Dolną. Trzeba było przejść Konduktorską, gdzie stało SS i był straszliwy ostrzał. Wtedy on powiedział do mnie: „Tylko uważajcie na siebie, bo po wojnie chcę przeczytać to, co piszecie”. Wiedział, że robię sobie notatki, które zresztą przepadły bez śladu, zostały mi zabrane w czasie rewizji, kiedy szedłem do niewoli. No i doszedłem. Życia mi nie uratował, ale wtedy dbał o to, żebym nie zginął. Powiedział to żartobliwie, z uśmiechem, tylko tyle... że jestem mu potrzebny po wojnie. Innym razem kazał natychmiast odejść z pewnego domu. Wykonałem rozkaz i po chwili bomba unicestwiła miejsce, w którym dopiero co stałem. Miał pseudonim „Negus”, porucznik Negus (Stanisław Potorecki).”

Fot. Bożena Szroeder



Marek Suchar

ULICA PROROKÓW

Jerozolimska ulica Proroków zaczyna się przy Bramie Damasceńskiej i ciągnie się aż do centrum Nowego Miasta. Tym samym łączy ze sobą Jerozolimę Wschodnią z Zachodnią. To chyba jedyna taka ulica w Jerozolimie, będąca na różnych swoich odcinkach jednocześnie adresem zarówno dla arabskich, jak i żydowskich mieszkańców tego miasta. Już to samo wystarczyłoby, żeby się jej bliżej przyjrzeć, bo obie te społeczności żyją tu raczej osobno niż razem, a ich członkowie chodzą zwykle różnymi drogami. Ale powodów zainteresowania tą ulicą jest więcej. Najważniejszym jest to, że stanowi ona coś w rodzaju architektonicznej kroniki najnowszych dziejów Jerozolimy. Zaczęła powstawać w drugiej połowie XIX wieku, kiedy to zamożni mieszkańcy miasta zaczęli budować rezydencje poza murami przeludnionego Starego Miasta. Długo nie miała oficjalnej nazwy. Mówiono o niej najczęściej „ulica szpitali”, bo mieściło się przy niej kilka szpitali, albo „ulica konsulów”, z powodu konsulatów różnych krajów, które były tam ulokowane. Dzisiejszą nazwę nadano jej dopiero w czasach



Brama Damasceńska, przy której zaczyna się ulica Proroków – jedno z głównych wejść na Stare Miasto



Zachowana z czasów Mandatu Brytyjskiego północna pierzeja początkowego odcinka ulicy Proroków

Mandatu Brytyjskiego. Dlaczego? Nie wiadomo. Wtedy też wykonano jezdnię z prawdziwego zdarzenia i zrobiono porządne chodniki oraz skanalizowano i zelektryfikowano stojące przy niej budynki. Kiedy idzie się ulicą Proroków dzisiaj, trochę trudno uwierzyć, że w swoim czasie był to absolutnie najlepszy adres w Jerozolimie. Patrząc na stojące w ogrodach budynki o poszarpanych fasadach, niełatwo wyobrazić sobie ich dawną świetność. Nie pomaga i to, że chodniki są wąskie, a tylko trochę szersza od nich jezdnia stale pełna samochodów. Nie ma dokąd cofnąć się o parę kroków, by zyskać perspektywę potrzebną do oglądania domów, które stały tu kiedyś na otwartym terenie, wśród drzew, wzdłuż drogi, którą tylko od czasu do czasu przejeżdżały z turkotem konne powozy. Trzeba więc sporego wysiłku, by wyobrazić sobie jak ulica ta wyglądała w latach swej świetności, o której świadczyły też, najczęściej dziś już niewiele mówiące szerokiej publiczności, nazwiska lokatorów stojących wzdłuż niej rezydencji.

Z powodów historycznych ulica Proroków dzieli się dziś na trzy nierówne odcinki o wyraźnie odmiennym charakterze. Jej początek stanowi znajdująca się na terenie należącym do tzw. Wschodniej Jerozolimy część o długości kilkuset metrów – od Bramy Damasceńskiej do skrzyżowania z dwupasmową arterią, której środkiem jeździ dziś tramwaj. Zabudowa tego odcinka jest dość nietypowa, bo budynki stoją tu tylko po jednej stronie ulicy, frontem do pustej przestrzeni powstałej przez wyburzenie domów stojących kiedyś naprzeciwko nich. Stało się tak, kiedy miejsce to graniczyło z „ziemią niczyją” przylegającą do linii zawieszania broni między Izraelem a Jordanią w latach 1948–1967. Jedyne przejście graniczne łączące wtedy te kraje znajdowało się mniej więcej w miejscu dzisiejszego skrzyżowania ulicy

Proroków z torami tramwajowymi i nosiło nazwę Bramy Mandelbauma. Istniejąca do dziś prawa pierzeja ulicy Proroków, składająca się z ciągu połączonych ze sobą niskich budynków, stanowi coś w rodzaju pasażu handlowo-gastronomicznego. Mieszczą się tu sklepy spożywcze, warzywne, kilka barków oferujących niezły arabski streetfood czyli szoarmę, falafele, i sałatki¹ i oblegana zwykle przez kupujących ciastkarnia serwująca specjały takie jak baklava, knafe czy ciasteczka mamul. Znajdują się tu także dwa albo trzy tanie hostele. Odcinek ten jest zwykle pełen ludzi, gdyż znajduje się na trasie prowadzącej z pobliskiego arabskiego dworca autobusowego na Stare Miasto i Wzgórze Świątynne, na którym znajduje się meczet Al Aksa. Szeroki chodnik przed sklepikami zamieniany jest wieczorami na coś w rodzaju hurtowej giełdy warzywnej, na którą przywożone są produkty, w które zaopatrują się tu właściciele okolicznych sklepików i straganów.

Następna część ulicy Proroków, również licząca kilkaset metrów długości, przebiega przez willową dzielnicę Morasha, której wąskie uliczki zabudowane są zarówno okazałymi, eleganckimi rezydencjami, jak i skromniejszymi domami jednorodzinnymi, stojącymi w ogrodach pełnych zieleni. Domy opuszczone przez arabskich mieszkańców w czasie *Wojny o Niepodległość* w 1948 roku, gdy znalazły się po izraelskiej stronie linii demarkacyjnej, zasiedlono żydowskimi imigrantami wypędzonymi wtedy z różnych krajów Bliskiego Wschodu. Od kiedy w roku 2017 otwarto tam nowy campus izraelskiej Akademii Sztuk Pięknych, granicząca z jednej strony z ultraortodoksyjną dzielnicą Mea Shearim, z drugiej z katolickim kompleksem Notre Dame, urokliwa Morasha, nabrała specyficznego „artystycznego” charakteru.

Od skrzyżowania z ulicą Plemion Izraela zaczyna się trzecia, najdłuższa część Ulicy Proroków. Jej początek wyznacza charakterystyczny budynek dawnego Szpitala Włoskiego wyglądający jakby przeniesiono go wprost z renesansowej Florencji. Dziś mieszczą się w nim biura Ministerstwa Edukacji. Jego architekt, franciszkanin Antonio Barluzzi, zaprojektował większość katolickich świątyń powstałych w XX wieku w Ziemi Świętej. Ich lista jest długa – od Kościoła Narodów w Ogrodzie Getsemani i kościółka Dominus Fleuit na zboczu Góry Oliwnej, przez Bazylikę w Ein Karem, Nazarecie, na Górze Błogosławieństw i na górze Tabor, aż po doskonale zharmonizowaną z biblijnym otoczeniem i nastrojem kaplicę w Beit Sahur na Polu Pasterzy w pobliżu Betlejem. Wiele kościołów chrześcijańskich, zbudowanych jeszcze w czasach krzyżowców, zdążyło do czasów współczesnych popaść w całkowitą lub częściową ruinę, a władze tureckie nie udzielały zezwoleń na remonty lub budowę niemuzułmańskich obiektów kultu religijnego. Stało się to możliwe dopiero po I Wojnie Światowej, kiedy kontrolę nad Ziemią Świętą przejęli Brytyjczycy. Barluzzi, który jest autorem projektów architektonicznych obejmujących budowę lub restaurację ponad 40 obiektów sakralnych w Ziemi Świętej, stał się dzięki temu niejako *współautorem pielgrzymich wspomnień*. Widok tych świątyń, upamiętniających różne ewangelijne wydarzenia, staje się bowiem obrazem Ziemi Świętej wywozonym jako jej wspomnienie pod powiekami przez wracających z niej pielgrzymów i turystów z całego świata.

Kilkadziesiąt metrów za Szpitalem Włoskim, również po prawej stronie ulicy, znajduje się kolejna ciekawostka architektoniczna. To oryginalny, kilkupiętrowy, ozdobiony barwnym

¹ Do najpopularniejszych, typowych arabskich sałatek należą m.in. tabuleh (sałatka z pietruszki i pomidorów wymieszanych z kaszą bulgur), pasta sezamowa tehina, humus, rozmaite marynowane i grillowane warzywa, warzywa, pasty z pieczonych bakłażanów

wizerunkiem Lwa Judy, czyli herbem etiopskiej dynastii cesarskiej, budynek dawnego konsulatu Etiopii, będący podobno wciąż jeszcze własnością potomków ostatniego cesarza Etiopii. Obecnie ambasada i konsulat Etiopii mieszczą się w Tel Awiwie, a ten budynek ma dziś charakter mieszkalny. Wychodzące na ulicę okna pierwszego piętra udekorowane są przez mieszkających tam lokatorów kolorowymi, zielono-żółto-czerwonymi symbolami rastafariańskimi. To żaden przypadek, jako że nieżyjący od dziesięcioleci, opisany przez Ryszarda Kapuścińskiego w książce „Cesarz”, ostatni władca Etiopii Hajle Sellasje, uważany jest przez pochodzącą z Jamajki sektę rastafarian za Mesjasza i wcielenie Boga Jah. Zresztą nazwa „rastafarianie” pochodzi właśnie od jego imienia, bo przed koronacją nazywał się on ras Tafari *Mekonen* (czyli książę *Tafari Mekonen*). Przy odchodzącej w tym miejscu w prawo od ulicy Proroków wąziutkiej Etiopia Street znajduje się kościół Debre Ganet należący do jerozolimskiej wspólnoty chrześcijan etiopskich. Można w nim podziwiać fascynujące i bardzo oryginalne etiopskie malarstwo religijne, charakteryzujące się niezwykłą kolorystyką i wielką siłą wyrazu.

Przy tejże Etiopia Street stoi też dom, w którym mieszkał twórca współczesnego języka hebrajskiego Eliezer Ben Yehuda. Jego sąsiadem był Dov Frumkin, pionier dziennikarstwa izraelskiego, który założył pierwszą gazetę w tym języku, wychodzący w Jerozolimie dwutygodnik *Havatzet*. Ben Yehuda często pisywał do gazety sąsiada. Z nimi oboma sąsiedował inny wybitny mieszkaniec ulicy Proroków, Joseph Navon, twórca projektu linii kolejowej z Jaffy do Jerozolimy. W dowód uznania dla jego zasług sułtan turecki przyznał mu tytuł *beja*, będący mniej więcej odpowiednikiem brytyjskiego tytułu *lorda*. A skoro wspomnieliśmy już o Navonie Beyu, to koniecznie trzeba również wspomnieć o jeszcze jednym sąsiedzie (i szwagrze obu wcześniej wymienionych Navona i Frumkina), Johannesie Frutigerze, w swoim czasie najbogatszym człowieku w Palestynie. To on, odkupiwszy od Navona zezwolenie na budowę linii kolejowej z Jaffy do Jerozolimy, zbudował ją. Był również inwestorem wielu przedsięwzięć budowlanych w samej Jerozolimie, m. in. ultraortodoksyjnego osiedla *Mea Shearim*. A zaprojektował je jeszcze jeden mieszkaniec ulicy Proroków, architekt Conrad Schick, którego dziełem są zresztą również znajdujące się przy tej ulicy rezydencje Frutigera i Navona, a także jego własna, znana jako *Tabor House* (o tym budynku za chwilę). Jak z tego wynika, wszyscy niegdysiejsi wybitni mieszkańcy tej ulicy: Schick, Frutiger, Navon, Frumkin, a także Eliezer ben Yehuda, dobrze się znali, a część z nich była nawet ze sobą spokrewniona albo spowinowacona.

Idąc dalej ulicą Proroków natrafiamy po jej prawej stronie na ciąg kamieniczek, w których na parterach działają małe sklepiki, warsztat ramiarski, a pod numerem 48 – uwaga! – „Jemeńskie Centrum Falafela”, mały koszerny barek, gdzie serwują jemeńską wersję tej potrawy, czyli trochę mniejsze, bardziej zielone niż brązowe, ciecierzycowe klopsiki. Za kilkanaście szekli dostaje się tam solidną ich porcję owiniętą razem z sałatkami w pitę albo w jej jemeński wariant, trochę podobny do bardzo grubego naleśnika. Według przewodników kulinarnych są to podobno najlepsze falafele w całej Jerozolimie!

Posiliwszy się możemy ruszyć dalej, by po kolejnych kilkudziesięciu metrach dotrzeć do wspomnianego wcześniej *Tabor House*. Jest to zaprojektowana i zbudowana przez architekta Conrada Schicka jego własna rezydencja. Budynek jest tak przepięknie urządony wewnątrz, że wieloletni legendarny burmistrz Jerozolimy Teddy Kolek miał podobno kiedyś powiedzieć, że gdyby mógł sobie wybrać dom do zamieszkania w Jerozolimie, wybrałby właśnie *Tabor*



Cowieczorna giełda warzywna w arabskiej części ulicy Proroków

House. Kilka domów dalej znajduje się dom wybitnego brytyjskiego malarza należącego do ugrupowania prerafaelitów Williama Hunta, autora między innymi słynnego obrazu zatytułowanego *Kozioł ofiarny*, przedstawiającego kozła na tle fiołkowego krajobrazu wyobrażającego brzeg Morza Martwego. Domu Williama Hunta nie można dziś zwiedzać, ale przy odrobinie szczęścia może się nam udać wejść przez czasami uchyloną bramę, do malowniczego, trochę zdziczałego ogrodu, w którym znajduje się mały biały domeczek. Choć niepozorny, jest dla Izraelczyków może jeszcze cenniejszą pamiątką niż dom słynnego malarza. W roku 1925 mieszkała w nim bowiem pierwsza pisząca po hebrajsku poetka, Rachel Bluwstein, autorka pięknych liryków przesyconych uczuciem niespełnienia, samotności i tęsknoty. Jej wiersze wciąż są chętnie czytane, do wielu skomponowano muzykę, a kilka włączono na stałe do programów szkolnych.

Po wyjściu z tego „tajemniczego ogrodu” warto przejść na przeciwną stronę ulicy, gdzie, jakby w drugiej linii zabudowy, znajduje się dom, w którym kiedyś mieszkał rabin Abraham Kook. Już sam budynek, nazywany *Beit Dawid* od imienia fundatora, jest bardzo interesujący. Był bowiem czwartym obiektem mieszkalnym zbudowanym poza murami starej Jerozolimy, daje więc wyobrażenie o specyfice osiedli mieszkalnych budowanych w drugiej połowie XIX wieku poza murami Starego Miasta. Ze względów bezpieczeństwa ma kształt otoczonego z czterech stron budynkami zamkniętego dziedzińca z jednym tylko wejściem. W domu urządzono dziesięć mieszkań, żeby mieszkający tam mogli odprawiać nabożeństwa, do których potrzebny jest minjan, czyli udział dziesięciu dorosłych mężczyzn. Na wewnętrznym podwórku są dwie studnie i pompa. Na dobudowanym specjalnie w czasach mandatu Brytyjskiego dodatkowym, drugim piętrze, urządzone zostało mieszkanie dla rabina Abrahama Kooka, pierwszego w nowożytnych czasach naczelnego rabina Jerozolimy i pierwszego naczelnego



Szpital Włoski – florenckie motywy w architekturze ulica Proroków zawdzięcza architektowi w franciszkańskim habicie, Antonio Barluzziemu

rabina aszkenazyjskiego całego Mandatu Brytyjskiego. Obecnie wnętrza apartamentu rabina zamienione są na bardzo interesujące muzeum, w którym oprócz (funkcjonującej do dziś) synagogi, w której za życia modlił się on wraz ze swymi uczniami, zwiedzić możemy również jego pokój przyjęć i pokoje prywatne jego rodziny. Wystawa ukazuje życie i dorobek rabina Kooka, filozofa i kabalisty, który, co dość nietypowe w przypadku przedstawicieli judaizmu ortodoksyjnego, był jednocześnie entuzjastycznym syjonistą. Ma on wielki wkład w zbudowanie teologicznych uzasadnień dla utworzenia współczesnego państwa Izrael, choć sam tego utworzenia nie doczekał, zmarł bowiem w roku 1935. Równie ciekawe jak jego poglądy na syjonizm, są dla wielu jego teologiczne rozważania dotyczące wegetarianizmu. Uważał on bowiem, powołując się na biblijną Księgę Rodzaju, że Bóg zabronił ludziom jedzenia mięsa zwierząt i tylko po Potopie zakaz ten czasowo zawiesił. Rabin Kook twierdził, że jest oczywiste, że Bóg nie mógłby pozwolić, aby jego żywe i czujące stworzenia były skazane na zabijanie po to, aby ich mięso mógł jeść człowiek. Zawieszenie przez Boga zakazu spowodowane było jego zdaniem tym, że po Potopie ludzie byli tak zdemoralizowani, że Bóg obawiał się, że mogą dopuszczać się kanibalizmu. Czasowe zezwolenie na jedzenie mięsa było więc wyborem „mniejszego zła”. Pierwszym krokiem w stronę powrotu do tego ideału są zasady koszerności, zgodnie z którymi człowiekowi nie wolno zadawać zwierzęciu niepotrzebnego cierpienia.

Jeśli po wyjściu z domu rabina Kooka poczujemy się spragnieni lub zmęczeni, stanie się to w samą porę, bo tuż obok, w *Domu Ticho* (a w ciepłe dni również w jego przepięknym ogrodzie), mieści się pełna uroku kawiarnia i restauracja. Warto spróbować tam „strudla Anny” wypiekanego według starej receptury Anny Ticho. W ogrodzie wśród palm i drzewek pomarańczowych wieczorami odbywają się koncerty jazzowe. Dom Ticho, który pierwotnie należał

do arystokratycznej jerozolimskiej arabskiej rodziny Nashashibich, w roku 1924 został zakupiony przez przybyłe z Wiednia małżeństwo Ticho, którzy prowadziło tu salon, w którym przez dziesięciolecia spotykała się elita kulturalna żydowskiej Jerozolimy.

Po powrocie na ulicę Proroków skręcamy w lewo. W tym miejscu zaczyna się odcinek ulicy, od którego pochodziła w przeszłości jedna z jej nieformalnych nazw – „ulica szpitali”. Po lewej mieści się do dziś okazały szpital *Bikur Holim*, którego nazwa wywodzi się od hebrajskich słów wiążących się z jednym z biblijnych nakazów „nawiedzania chorych”. W szpitalu przestrzega się ortodoksyjnych rygorów religijnych, w szabat nie gotuje się posiłków, a telefony odbierają i dane do kart pacjentów wpisują wtedy nieżydowscy członkowie personelu².

Na rogu odchodzącej za szpitalami w lewo ulicy Raula Waldenberga znajdował się kiedyś konsulat niemiecki. Kiedy w roku 1933, po przejściu w Niemczech władzy przez hitlerowców, na konsulacie wywieszono flagę ze swastyką, został on zaatakowany przez bojowników z żydowskiego podziemia, w wyniku czego ostatecznie zdecydowano się konsulat zlikwidować, a po jakimś czasie sam budynek konsulatu został zrównany z ziemią. Za ulicą Waldenberga znajdowała się za czasów panowania tureckiego rezydencja paszy, czyli tureckiego gubernatora Jerozolimy. Tuż za nią zobaczyć można, kiedyś jeden z najelegantszych w ówczesnej Jerozolimie, hotel Kamnitz. To w nim zatrzymał się w czasie swojego pobytu w Jerozolimie pionier syjonizmu Teodor Herzl. Budynek wciąż stoi, choć dziś jest zdewastowany i w pożalowania godnym stanie (co dziwne, zważywszy na to, że znajduje się w samym centrum miasta, gdzie ceny gruntów są niebotycznie wysokie).

Na samym końcu ulicy Proroków, u jej zbiegu z ulicą Jaffy, główną ulicą jerozolimskiego śródmieścia, znajduje się inny hotel, a właściwie hostel o nazwie *Abraham*, bardzo ciekawy i znakomicie, nowoczesnie prowadzony, głównie (choć nie wyłącznie!) z myślą o „backpackerach”³. Warto jednak zauważyć, że gośćmi *Abrahama* są osoby w bardzo różnym wieku, bo oprócz noclegów na salach zbiorowych oferuje on również pokoje jedno i dwuosobowe. Można tam zawsze spotkać interesujących ludzi z całego świata i wziąć udział w licznych hotelowych imprezach. W każdy niedzielny wieczór urządzone są koncerty muzyki na żywo, w czasie których umuzykalnieni goście hotelowi zapraszani są do zaprezentowania swoich możliwości. We wtorki organizowane są wspólne wyprawy po zakupy na szuk Mahane Yehuda, po których następuje wspólne gotowanie lokalnych potraw z zakupionych produktów. W środy można w ramach wspólnego wyjścia wziąć udział w nocnym życiu miasta (rajdzie po klubach i najmodniejszych nocnych barach), a w czwartki ochotnicy mogą dzielić się swymi wrażeniami z podróży po Izraelu i nie tylko, prezentując publicznie kolekcje wykonanych przez siebie fotografii. W piątki można wspólnie przygotować i spożyć w hotelowej jadalni szabatową kolację. Hotel oferuje też wspólne zwiedzanie miasta i wiele ciekawych wycieczek, m.in. nad Morze Martwe, do Jerycha i Ramallah w Autonomii Palestyńskiej, a także atrakcje takie jak całodniowe przejażdżki samochodem terenowym po pustyni.

Jak wspominałem, nie wiadomo właściwie, czemu ulica Proroków zawdzięcza swoją nazwę, chociaż sam związek biblijnych proroków z Jerozolimą nie budzi specjalnych wątpliwości. Tyle że owi prorocy większości z nas wydają się dziś mało interesującymi, półmitycznymi

² Czynności te w szabat są dla ortodoksyjnych wyznawców zabronione.

³ Określa się w ten sposób turystów przeważnie młodszych wiekiem, podróżujących indywidualnie, z plecakami (ang. backpack), o ograniczonym budżecie.



Etiopski kościół Debre Ganet przy Ethiopia Street

postaciami z zamierchłej przeszłości. Tych spośród czytelników, w których spacer po ulicy Proroków obudził jednak głębsze zainteresowanie nimi, pozostaje mi odesłać do największego dwudziestowiecznego żydowskiego filozofa i teologa Abrahama Heschela, który w swym fundamentalnym dziele „Prorocy” pięknie i przejmująco tłumaczy, na czym polegała ich rola pośredników między Bogiem poszukującym drogi do człowieka i ludźmi szukającymi dróg do Boga.

Osoba Abrahama Heschela ze wszech miar zasługuje na uwagę. Podobnie jak ulica Proroków łączył on w sobie przeszłość z terażniejszością. Był potomkiem szacownych dynastii chasydzkich i od wczesnego dzieciństwa przygotowywano go do roli chasydzkiego cadyka, ale spowodowana lekturami ewolucja duchowa zaprowadziła go jednak do świata judaizmu postępowego, szeroko wykraczającego poza ramy wyznaczone przez judaistyczną ortodoksję. Dla polskiego czytelnika ważny może być fakt, że Abraham Heschel był Warszawiakiem z Muranowa. Bliższe przyjrzenie się jego osobistej historii życiowej rzuca światło również na złożoność i dramatyzm relacji polsko żydowskich przed II Wojną Światową. Heschel urodził się i pierwszy okres życia spędził w Warszawie (w domu przy nieistniejącej dziś ulicy Muranowskiej pod numerem 40), żyjąc w zamkniętym chasydzkim świecie. Na warszawskim cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej znaleźć można grób jego ojca, Reb Mosze Mordechaja Heschela, zwanego Pelcowizner Rebe (kwatery 47; rząd 1; grób 5.).

Z okresu spędzonego w Warszawie dzieciństwa i wczesnej młodości zachował do końca życia dość bolesne wspomnienia dotyczące obcości i wrogości, jakiej doznawał w stosunkach z polskim otoczeniem. Po studiach odbytych na wiodących uczelniach judaizmu liberalnego

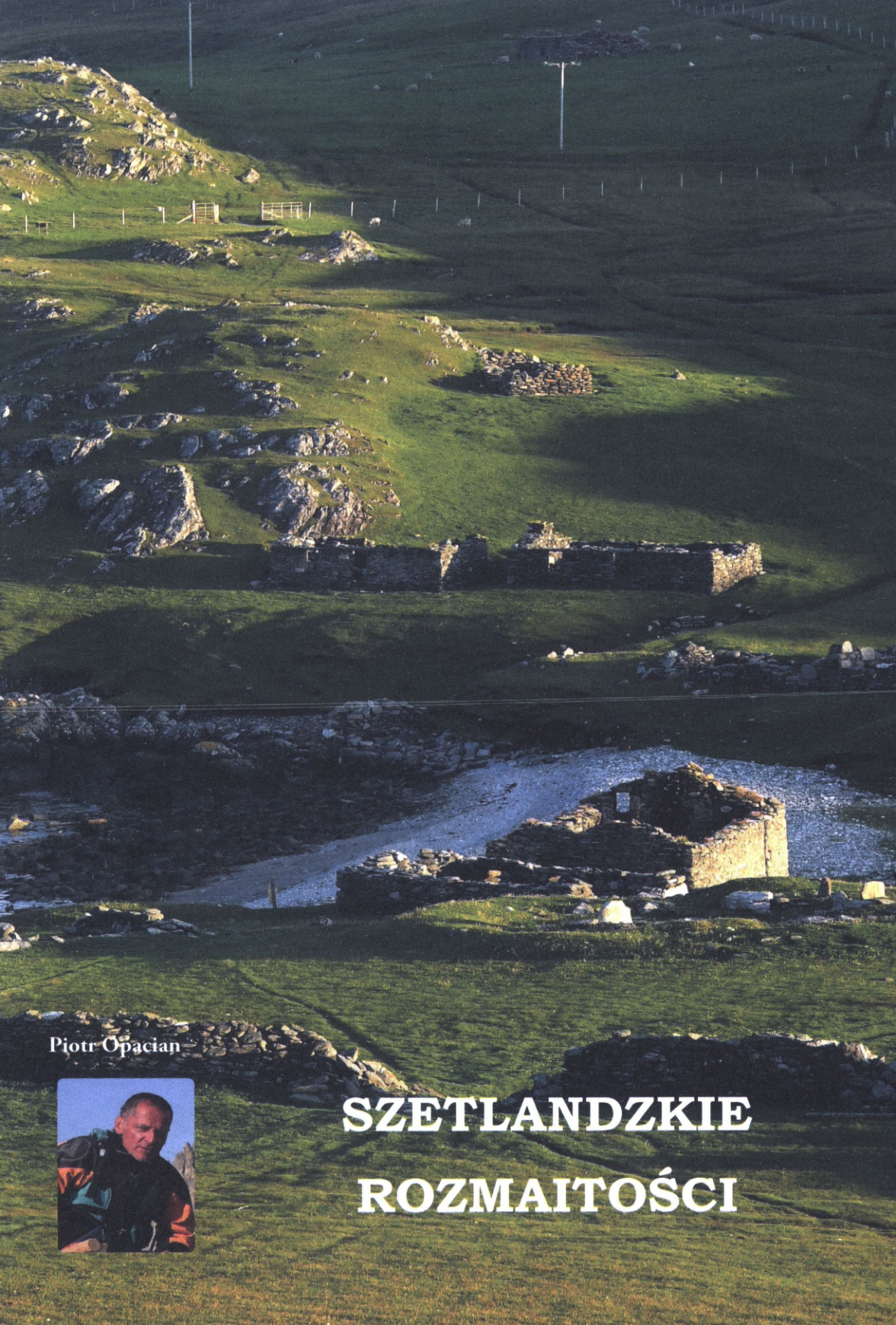
w Berlinie, wyznaczony został przez samego Martina Bubera na jego następcę na stanowisku dyrektora Instytutu Studiów Judaistycznych we Frankfurcie nad Menem, skąd w listopadzie roku 1938 został deportowany przez nazistów i wyładował w obozie przejściowym w Zbąszynku. Gdy wydostali go stamtąd wpływowi polscy znajomi, zaproponowano mu prowadzenie wykładów w warszawskim Instytucie Nauk Judaistycznych, którego budynek przetrwał zburzenie Getta i mieści dziś Żydowski Instytut Historyczny. Heschel opuścił Warszawę dosłownie w ostatnim momencie, bo pod koniec lipca 1939 roku, wyjeżdżając przez Londyn do USA, gdzie później do końca życia wykładał w najważniejszej dla judaizmu konserwatywnego uczelni teologicznej. Jego książki o tematyce filozoficznej szybko zdobyły rozgłos i szerokie grono czytelników na całym świecie.

Na początku lat sześćdziesiątych Heschel odegrał także bardzo istotną rolę w dialogu żydowsko-chrześcijańskim, uczestnicząc w pracach nad przygotowaniem deklaracji soborowej *Nostra aetate*, dokumentu rewolucjonizującego stosunek kościoła katolickiego do żydów i judaizmu.

W kolejnych latach stał się też osobą powszechnie rozpoznawalną w USA, protestując ramieniem w ramię m.in. z Martinem Lutherem Kingiem przeciwko segregacji rasowej, a następnie angażując się w protesty przeciwko wojnie w Wietnamie. Abraham Heshel jest postacią symboliczną dla przemian, które dokonały się w światowej społeczności żydowskiej w XX wieku nie tylko ze względu na swoją działalność polityczną i społeczną, ale przede wszystkim ze względu na otwartość, z jaką jako teolog i pisarz konfrontował się z problemami stawianymi przed religią przez współczesność, a rola, jaką odegrał w dialogu chrześcijańsko-żydowskim, jest trudna do przecenienia. Kto wie, czy nie zasłużył sobie właśnie tym samym na miano jednego ze współczesnych proroków?

Spacer ulicą Proroków jest wędrówką przez historię, a ściśle rzecz biorąc przez najnowszą historię Jerozolimy. Jej część arabska to w sensie kulturowym, religijnym, politycznym i estetycznym po prostu Bliski Wschód. Wystarczy rzut oka na architekturę, rozwiązania urbanizacyjne, wygląd, odgłosy i zapachy ulicy czy choćby ubiory przechodniów. Natomiast tak zwana Jerozolima Zachodnia (używam tych nazw mimo świadomości, że sami Jerozolimczycy – zarówno Żydzi, jak i Arabowie – bardzo się przeciwko nim buntują), czyli zbudowana na przełomie wieków XIX i XX, zamieszкана niemal wyłącznie przez Żydów część miasta, choć także ma pewną unikalną, trochę „śródziemnomorską” specyfikę, to po prostu Europa – ze wszystkim, co nam się ze słowem Europa historycznie, kulturowo czy cywilizacyjnie kojarzy. A ulica Proroków jest jakby symboliczną syntezą tych cywilizacyjnych kontekstów i skojarzeń. Dostrzegalna w Jerozolimie granica między Europą a Azją to tylko jedna z wielu granic przebiegających przez to niezwykle miasto. Są tu przecież jeszcze: granica między historią a współczesnością, między tradycją a nowoczesnością, granice etniczne, religijne, granice postaw, wartości, stylów życia, gustów, zwyczajów, smaków i przyzwyczajień. Na usta, również w kontekście ostatnich dramatycznych wydarzeń, ciśnie się oczywiście pytanie: czy to się wszystko uda kiedyś połączyć w jedno?





Piotr Opacian



SZETLANDZKIE ROZMAITOŚCI

FETHALAND

Budzi mnie w nocy wrażenie, jakbym nie był sam. Zawsze tak mam, kiedy nocuję w opuszczonych wioskach. To chyba duchy osób, które tu mieszkały; przeżywały chwile szczęścia, swoje małe i duże tragedie. Przychodzą do mnie i szepczą coś, co później przybiera postać snów na jawie. Rzadko kiedy pewnie ktoś samotnie spędza tu noc, a to dla nich najlepszy czas. To była duża osada i jest bardzo dobrze zachowana. Tylko jedna na szkockich wyspach może się z nią równać – ta na Stromie na Orkadach. Dużo ruin po domostwach oznacza dużo dusz i dużo opowieści – a noc taka krótka. Wioska usadowiona była na przesmyku łączącym szetlandzki Mainaland z małym półwyspem – Fethaland. Przesmyk o szerokości może stu metrów od północy schodzi do morza niedostępną „plażą” zawałoną głazami, ale od strony południowej, przy odpływie, pojawia się nawet piasek. Fethaland zawija tak mocno dookoła tej południowej plaży, że tworzy bardzo bezpieczną zatokę-port, w którym nie tylko może schronić się kilka kajaków, ale i cała flotylla.

Tę wspaniałą konfigurację wykorzystali szetlandzcy rybacy, którzy stąd wyruszali w swoich wiosłowych łodziach, zwanych przez nich sixareens („szóstaki”) – od ilości wiosł, które je napędzały, daleko na północ, na tzw. „haaf fishing”. Odpływali od tego najbardziej na północ wysuniętego skrawka Mainlandu na ponad 60 kilometrów, tam morze było bardzo „żyzne”; płynęli bez prognozy pogody, tylko w oparciu o swoje doświadczenia i przeczucia. Zajęcie to było bardzo trudne i niestety nie wszyscy wracali. Ich dusze błąkają się po północnym Atlantyku, a nocą zawijają do swojego portu, do którego za życia nie dane było im powrócić. Opowiadają niesamowite historie, ale też tłumaczą, dlaczego tak bardzo ryzykowali. Zajęcie było dość intratne, a przecież na lądzie czekały głodne gromadki dzieci, które



trzeba było nakarmić. Boom tych połowów przypada na połowę XIX wieku, potem ich miejsce zaczęły zajmować statki, które były i bezpieczniejsze, i wydajniejsze.

UYEA

Przypłynąłem do Fethaland bezpośrednio z innego przesmyku łączącego Mainland, ale tym razem nie z małym półwyspem, ale wyspą. Dlaczego pomimo tego, że oba przesmyki łączą Mainland z niewielkim „łędem”, w jednym przypadku to półwysep, a w drugim to wyspa? Przesmyk na Uyea to piaszczysta obustronna plaża, plaża tombolo i może być w czasie jesienno-zimowych sztormów przerywana na jakiś czas. Może też być zalewana w czasie wysokich przyływów, więc nie łączy na sta-



łe Uyea z Mainlandem i zyskuje status wyspy. Przesmyk na Fethaland wysoki i skalisty „nie boi” się sztormów, ba, można było nawet wybudować na nim kilka domów.

Uyea jest jednak najbardziej malowniczym zakątkiem na Szetlandach. Wąskie piaszczyste tombolo oblewane jest z obu stron szmaragdową wodą Oceanu Atlantyckiego. Sąsiadujące z nią klify nie są wysokie, ale dość rozczłonkowane z licznymi skałami i skałkami na ich przedpolu. Żeby zobaczyć całe piękno tego zjawiska, trzeba wspiąć się na przyległe skały, choć najlepiej jest unieść się w powietrze jak ptak lub jak dron (w moim przypadku) i spojrzeć na ten zakątek wybrzeża z powietrza. Szczęście mi dopisało. Dzień był słoneczny, z lekkim wiatrem, mogłem więc „polatać” i podziwiać Uyea’ę do woli. Pomimo tak wspańskiego dnia byłem sam. Na przesmyk prowadzi tylko długa i trochę uciążliwa ścieżka, co skutecznie zmniejsza liczbę gości, którzy tu docierają.

MUCKLE ROE

Kiedy Uyea i Fethaland były jeszcze dla mnie daleką przyszłością, nad moją głową rozległ się przeraźliwy huk silnika i wirników dużego pasażerskiego helikoptera brutalnie przerywając moje kontemplowanie cudów szetlandzkich klifów. Zatoczył cztery lub pięć dużych okręgów nad najdłuższą i najdramatyczniejszą rozpadliną klifów wyspy Muckle Roe, która wdziera się wąskim niby kanionem na kilkaset metrów w linie brzegową wyspy, i ku mojemu zadowoleniu zniknęła gdzieś za horyzontem. I zaraz potem naszła mnie taka refleksja.



Tyle przeżyli turyści, którzy zapłacili dość słono za ten lot. Obok hałasu i zapachu spalin przez kilka chwil spojrzeli na to чудо z góry i poleciali. A co z odgłosami morza, które helikopter skutecznie zagłuszył? A co z zapachem morza? A co z rytmicznym rozkołyssem, który Atlantyk hojnie mi tu oferuje? A co z labiryntem tuneli, jaskiń, łuków skalnych, których oczywiście z góry nie widać?

Ja zostałem tu sam na sam z arcydziełem stworzonym przez naturę i czasu miałem sporo, choć przyznam, że nie zawsze tak jest. Konfiguracja prądów morskich zmusza czasami do pośpiechu – trochę tak było przy opływaniu Papa Stour. Tutaj jednak miałem komfort czasowy. Przedzierałem się przez huk i „białą wodę” na przedpolach tych „kanionów”, by po jakimś czasie znaleźć się nagle na spokojnej wodzie tuneli i jaskiń w zupełnej ciszy przerywanej tylko stłumionym uderzeniem echa, to tu, to tam. I po chwili znowu w białą wodę i rozkołys oceanu ...

NOSS

Klify Noss to był początek – dopiero czwarty dzień mojego rejsu dookoła Szetlandów. Na Szetlandach są dwie wielkie ptasie kolonie; właśnie tu na Noss i daleko na północ klify Hermaness na wyspie Unst, które opłynąłem dwa tygodnie później po obejściu całych zachodnich Szetlandów. I to tu na Noss i tam na Hermaness miałem najwięcej „roboty”. Rozkołys morza był spory po kilkudniowych wiatrach o sile 5B, a i teraz wiało coś około 4B, więc ostro trzeba było „zakasać rękawy” mojej suchej, kajakerskiej kurtki, która zrobiła się na koniec dnia wilgotna. Na Noss pokrywa chmur była dość nisko, trochę padało i choć





bliski kontakt z tego rodzaju klifem i dużą ilością ptaków krążących nad głową zawsze wywiera spore wrażenie na kajakarzu, to trochę z tej uczytą pogoda mi zabrała.

Dużo był walki z falami, które w pobliżu klifów stają się bardzo nieregularne i niebezpieczne. Zjawisko to nazywane jest z angielskiego „clapotis”. Fale „wstają” na podejściu do klifów, a spowodowane jest to konfiguracją dna na jego przedpolu. Tak „pobudzone” energetycznie fale uderzają z dużą siłą w klify, odbijają się od nich i wracają w stronę otwartego morza. Tam spotykają fale napierające na klif i zderzają się z nimi. Robi się totalny galimatias, chaos. Fale nie idą już z jednego kierunku, tylko mogą uderzyć z każdego, ale clapotis to dopiero wykwitły fal jak kalańiory uderzające spod spodu. Uderzają zniecka od dołu, trudno przewidzieć kiedy i wynoszą kajak na grzywie wysoko. Kajakarz traci równowagę i nie bardzo wie, z której strony powinien się podeprzeć wiosłem.

HERMANESS

Klify Hermaness są znacznie bardziej spektakularne niż Noss, no i jest tam bardzo duża kolonia głuptaków, obok maskonurów, moich ulubionych ptaków północnych mórz. Kiedy tam dotarłem, wiatr „siadał”, ale rozkołys był spory, a co za tym idzie przejście wzdłuż Hermaness było bardzo wymagające, ale ta pogoda ... Było słonecznie. Niebieskie niebo i strefami sunałem po białej pianie – takie odwrócenie kolorów. Po podejściu pod ciemne, pionowo opadające skalne ściany klifów uniosły się z nich setki głuptaków i przysłoniły sobą niebo. Na niebieskim tle, te duże, w przeważającym stopniu białe ptaki (rozpiętość skrzydeł do dwóch metrów) obniżające swój lot czasami do kilku metrów nade mną, wyglądały niesamowicie. To było arcydzieło natury, spotęgowane przez zastane warunki atmosferyczne. Tam trzeba być właśnie w takich warunkach, by tego w pełni zakosztować.

Wrażenie robiło to nie tylko z dołu, ale i z góry. Spacerujący po klifach adepci kajakarstwa morskiego, którzy właśnie zakończyli sympozjum kajakarskie na Muckle Roe i postanowili zajrzeć na klify, zauważyli ten spektakl i zrobili trochę zdjęć umieszczając je na swojej grupie i zamieszczając trochę komplementujących komentarzy. Jedna grupka zajrzała też do zatoki, w której kończyłem rejs tego dnia i z wielką przyjemnością co nieco powiedzieliśmy sobie o kajakarstwie morskim i morzu jako żywiole.

PRAWIE ODLOT

A ta zatoczka okazała się sąsiadować z Saxavord Spaceport – szetlandzkim przyładkiem Canaveral i prawie trafiłem na pierwszy w UK start rakiety wynoszącej satelitę na orbitę okołobiegunową! Kiedy dowiedziałem się, że start został wstrzymany poprzedniego dnia z powodu problemów technicznych i ma się odbyć wieczorem po moim przybyciu pomyślałem, że to już chyba byłoby science fiction. Los czekał na mnie, żebym zdążył. Czekałem z Amerykaninem, który relacjonował to wydarzenie dla prasy amerykańskiej. Znowu problemy techniczne. Nie mam żadnego niedosytu. I tak to było mega wydarzenie!



Arkadiusz Welniak

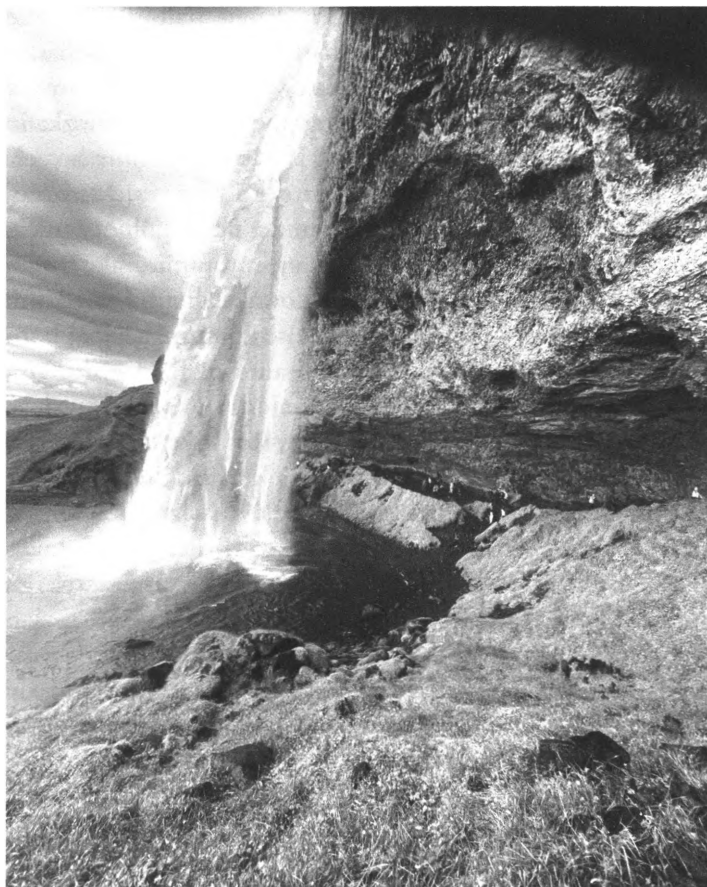


WYSPA BOGÓW. ISLANDIA OKIEM KOCIEWIAKA

Ojciec Wszechrzeczy, dziękuję Ci za te widoki. Dziękuję Tobie, Njordowi i Walkiriom, że przywiedliście mnie do tego miejsca – mówi serialowy wikingiński odkrywca i samotnik Floki Vilgerdason urzeczony majestatem i pięknem wodospadu Skogafoss. Miałem tę scenę szczególnie mocno utrwaloną w pamięci, ale na żywo szeroka ściana wody spadająca z ogromnym hukiem z kilkudziesięciometrowego klifu potęguje wrażenia. Doświadczenie metafizyczne? Wzniosły charakter ogromu natury, które stawia ludzkie „ja” wobec idei nieskończoności – jak chciał Kant? Czemu nie. Albert, lokalny przewodnik w wieku cokolwiek już słusznym, objaśniał wielonarodowej grupie uczestników wycieczki zachwyconych tym niezwykłym pejzażem detale topograficzne, geologiczne i hydrologiczne. Mówił doskonałym angielskim, wtrącając jednak co rusz całe islandzkie frazy, niezrozumiałe zwroty i słowa. Cytując w oryginale króciutki fragment słynnej średniowiecznej *Sagi o Egilu*, wpisanej do kanonu lektur obowiązkowych w islandzkich szkołach, zaznaczył, że jej autor Snorri Sturluson nie miałby dziś właściwie żadnego problemu, żeby zrozumieć i dogadać się swobodnie ze współczesnymi mieszkańcami. Bo przecież historia Wyspy to ciągłość, a jej wielowiekowa izolacja i model społeczny z jej homogenicznością i silnymi więzami rodzinnymi były i pozostają nośnikiem tej ciągłości. Albert Armannsson, drągal z wielkim wąsiskiem, potarganymi przez wiatr długimi, siwymi włosami, wciśnięty w swój przyciasny, niebieski sztormiak, był częścią tego świata, w którym koegzystencja człowieka i przyrody jest silniejsza niż gdziekolwiek indziej. Kiedy opuszczaliśmy równinę pod Skogafoss zasugerował, żeby spróbować wody z potoku odchodzącego z rzeki Skoga zasilanej z lodowca Eyafjoll. W ten wyjątkowo słoneczny, sierpniowy czwartek mój zmysł smaku po raz pierwszy doświadczył czym jest owa *jökulvatn* (woda lodowcowa). Nabrałem jej zresztą na dalszą drogę do pustej, plastikowej butelki po mineralnej marki Żywiec. I ta zastępuje butelka uzupełniana z kolejnych górskich potoków, krystalicznych źródełek i studzienek w mijanych osadach na południowym wybrzeżu, towarzyszyła mi już do końca mojej islandzkiej wyprawy.

Idea kilkudniowego pobytu na Islandii towarzyszyła mi od dobrych kilku lat. Zawsze pojawiały się mniej lub bardziej nieoczekiwane przeszkody, które przesuwają ten wyjazd w czasie. A to pandemia, a to sprawy zawodowe, a to wybuch wulkanu Fagradalsfjall na półwyspie Reykjanes, który na tydzień zablokował ruch lotniczy. Swoją rolę odgrywały koszty samego pobytu, które nawet osobie o zarobkach nieco powyżej średniej krajowej nakazywały dokładnie planować wydatki, wyliczać i redukować wszystko co możliwe do redukowania. To, że Islandia jest krajem bardzo droгим, stanowi wiedzę powszechną. Jednak

fakt, że jest aż tak drogo, objawił się dopiero wtedy, gdy znalazłem się na miejscu. Przygotowania organizacyjne, kondycyjne i mentalne do mojego islandzkiego dream-tour rozpocząłem już wczesną wiosną. Wliczyłem do nich także lekturę pasjonujących książek Egilla Bjarnassona i Piotra Milewskiego oraz długie godziny odsłuchu podcastów o historii, kulturze, walorach krajoznawczych i życiu na Wyspie. Podczas pracy przy komputerze słuchałem nawet islandzkich stacji radiowych, próbując bezskutecznie wyłapać sens i kontekst wypowiedzi redaktorek o przyjemnych głosach i nazwiskach kończących się na -dottir. Do późnej nocy towarzyszyły mi płyty islandzkich artystów inspirowane



Jeziorko na kraterze Kerid

w dużej mierze tradycyjną muzyką ludową i naturalnymi dźwiękami tamtejszej przyrody. Syntezatorowe dzwoneczki i piszczałki w kompozycjach Mum imitujące dźwięk kropli topiącego się lodu w parku Gróðrarstöðin. Świsł arktycznego wiatru i stada piskliwych mew krążących nad Isafjordur wkomponowane w utwory z *Kveikur* i *Valtari* eksperymentalnej grupy Sigur Ros. Grzmot mas wody spadającej z kaskad wodospadu Detiffoss czy piekielny syk gejzera Strokkur wzmacniające u słuchacza odbiór postmetalowych zespołów Dynfari i Zhrine.

Właściwie już samo lądowanie na jedynym na Wyspie międzynarodowym lotnisku Keflavik dostarcza pierwszych wrażeń. Byłoby właściwie skaliście i księżycowo, gdyby nie wyraźnie zarysowana linia wybrzeża morskiego z przylegającym doń pasem w kolorze wrzosu i zgnilej zieleni. Prognozy pogody sprawdzane aż nazbyt często przed wylotem okazały się na szczęście mocno nietrafione. Dojazd z lotniska do centrum Reykjavíku zajmuje trzy kwadransy, a terminal BSI wykazywany w przewodnikach jako główny dworzec stolicy jest faktycznie mniejszy od tego w Elblągu. Pokoik w hostelu ulokowanym tuż koło siedziby miejscowego Uniwersytetu, mimo dość skromnych warunków i wspólnych łazienek, posiadał wiele zalet. Po pierwsze blisko stąd do samego centrum i głównych atrakcji Reykjavíku

oraz starej dzielnicy portowej. Po drugie najbliższe otoczenie niezbyt przypomina duże miasto, w naszym kontynentalnym rozumieniu. Ruch samochodowy wieczorem zanika, a nad okolicę nadciąga niezmałony spokój. Za oknem rozciągała się wielka płaska łąka, jedno z setek miejsc weekendowego odpoczynku mieszkańców stolicy. W tle góry z wierzchołkami ginącymi w chmurach. Po drugiej stronie hostelu urokliwy niemal bezdrzewny park z jeziorem Tjörninn wokół którego przez wieki rozrastało się miasto. I już pierwszy dwugodzinny spacer po Reykjavíku tuż przed północą miejscowego czasu pozwolił mi osobiście potwierdzić jedną z zasłyszanych opinii. Tak, byłem faktycznie w największej wsi w Europie z tempem życia, zabudową wolną od wielkomiejskich molochów, topornych biurowców oraz odrzucających miejsc komunikacyjnej kumulacji.

Hostel studencki przy Hringbraut miał zdecydowanie międzynarodowy charakter. W obsłudze i recepcji dominowali młodzi Polacy, których zdradzał nie tyle akcent co gadatliwość i swojski rodzaj wylewności w stosunku do gości. Już następnego dnia wcześniej rano w obszernym pomieszczeniu z wydzieloną jadalnią z aneksem kuchennym spotkali się przy śniadaniu przedstawiciele tuzina krajów świata. Rodzina z Mediolanu, miłośnik zjawisk nadprzyrodzonych z Australii, sobowtór Bruce'a Lee z Tajwanu, studenci z Indonezji, hiszpańskie małżeństwo, przemyły, dystyngowany Irlandczyk, grotolazi z Katowic, uśmiechnięta para Szwajcarów, grupka Amerykanów i Niemców. Tych ostatnich miałem spotkać zresztą potem jeszcze dwukrotnie w Geysir i na szlaku wiodącym pod wulkan Hengli. Niektórzy z hotelowych gości dopiero co przyjechali, inni po dłuższym lub krótszym objeździe Wyspy wracali. Temat „Islandia” rozwijany w detalach i szczegółach oraz obfitujący w dobre rady i praktyczne sugestie przeciągał czas przy stole. Podstawą wspólnego posiłku z rotacyjnym



Czarna plaża Reynisfjara

przeływem uczestników były zarówno produkty własne kupione w jednym z okolicznych sklepików oraz karma dobrodusznie pozostawiona przez byłych rezydentów. W lodówce z naklejoną żółtą karteczką *food for all good people. Give thanks to Odin, Jesus or Budda!* znalazło się mleko, wędzony ser, sprasowane daktyle i figi, solone masło oraz szynka konserwowa w plastrach, której islandzka nazwa *skinka* została przyswojona najszybciej. Efektem rozmów porannych była decyzja o wykupieniu w pierwszy dzień z koszyka GetYourGuide całodniowej wycieczki objazdowej po południowej części Islandii. Na jej korzyść przemawiała nie tylko cena konkurencyjna do kosztów wynajmu auta, ale przede wszystkim nieskrępowana możliwość delectowania się krajobrazami i widokami zza okna komfortowego autokaru. Program jedenastogodzinnego objazdu obejmował kilka najważniejszych atrakcji *Suðurland* skoncentrowanych pomiędzy miejscowościami Hvollsvöllur oraz Vik.

Autokar oraz niezliczony ciąg aut przemierzał *Pjóðvegur 1* – drogę krajową numer 1 nazywaną przez niektórych islandzką autostradą, mimo dozwolonych tam maksymalnych prędkości między 60 a 90 km/h. Ale te ograniczenia to właśnie idealne rozwiązanie dla turystów wpatrzonych w przesuwane się krajobrazy. Właściwie za każdym kolejnym zjazdem i skrętem drogi oczom ukazuje się nowy bajkowy widok. Zielone wzgórza, pod którymi przycupnęły wioski z białymi domami o czerwonych dachach, kamienne przełęcze z wyrastającymi ponad nimi czapami lodowca, płaskie nadmorskie równiny porośnięte wrzosem i poprzecinane licznymi potokami, powulkaniczne czarne skały kontrastujące z intensywnie błękitnym kolorem nieba. *Idealne tło, perfekcyjne światło* – ekscytował się starszy Amerykanin siedzący obok z aparatem, którego obiektyw mierzył dobre kilkanaście cali. Chęć zatrzymania i uwiecznienia tych obrazów szybko zapełniała kartę pamięci w telefonie. Ta zachłanność ogniskowała się w wielokrotnych ujęciach mijanej kaskady rzecznej Ytri-Ranga czy uwiecznieniu stad koni i owiec wypasanych na zielonych równinach Flóahreppur. Nastawiony maksymalny zoom przybliżał wzburzony, wartki nurt rzeki Pjórsá jakby z nadzieją, że w kadrze znajdą się również wspomniane przez przewodnika największe okazy tutejszych prastagów.

Pierwszym punktem na trasie był lodowiec Mýrdalsjökull. Marsz do punktu widokowego po wulkanicznej, żuźlowej ścieżce zajął dobre pół godziny, a wyraźnie odnotowany spadek temperatury nakazał wielu nałożyć zimowe czapki albo przywdziać dodatkowy polar. Jezioro lodowca od strony południowej wyrastał nad taflą jeziora *Heiðarvatn*, po którym pływały kry lodowe o różnorodnych formach i kształtach. Przedpołudniowe słońce oświetlało ścianę Mýrdalsjökull zawdzięczającą swój czarny kolor wyjątkowej aktywności wulkanu Katla i ostatnim wielkim erupcjom i powodziom lodowcowym z lat 1721, 1755 i 1918. Wielu wprawionych turystów, wyposażonych w raki, czekany i jaskrawe kaski zaczyna właśnie nad jeziorem *Heiðarvatn* kilkugodzinne przejście do jaskini lodowcowej *Ishellir* i szczytu Huldujökull, z którego najlepiej widać pofałdowany, księżycowy teren wokół wulkanu Katla.

Zjeżdżając krętą drogą w dół w stronę wybrzeża i miejscowości Vik, mija się znany z wielu przewodników turystycznych stuletni kościółek. Skromne wyposażenie, oszczędny styl, który idealnie scala cechy islandzkiego luteranizmu z prostotą życia tutejszych rybaków i surowym klimatem tego miejsca. Mimo silnego wiatru i dopływających hałaśliwych grupek azjatyckich turystów widok z przykościelnego wzniesienia na Ocean i szeroką, czarną







Jezioro na kraterze Kerid



Park Narodowy Þingvellir



Tradycyjna islandzka zabudowa w okolicach Reykholt



Skólavörðustígur – tęczowa ulica w Reykjavíku

plażę okoloną zielonymi górami, musi robić wrażenie. Stojąc na solidnym falochronie, o który rozbijają się wysokie fale, u każdego wrażliwego człowieka uczucie podziwu musi mieszać się z jakimś nieokreślonym lękiem i przeświadczeniem, jak niewiele znaczy przy siłach natury. W jednej z wielu tutejszych restauracji o mało zachęcanej nazwie *Ice Cave Bistro* miałem okazję spróbować miejscowej potrawy. Wybór był spory, ceny wysokie, a nazwy serwowanych dań mimo angielskiego menu brzmiały dość tajemniczo. *Plokkfiskur* – gulasz rybny, *Harðfiskur* – tradycyjnie suszona ryba z dodatkiem warzyw i przypraw, kilka rodzajów zup. Z radą przyszła urodziwa kelnerka proponując *Lambsoup (Kjötsup)*, czyli zupę warzywną z solidną wkładką z jagnięciny oraz burgera, w którym znalazł się soczysty kawał baraniego steku upchany w sporych ilościach słonego majonezu między ciemną bułką. W każdym razie treściwe i smaczne jedzenie wystarczyło do końca całodniowego objazdu.

Kilka kilometrów od urokliwego Vik znajduje się Reynisfjara – słynna czarna plaża, najdalej wysunięty na południe punkt Islandii. Posłużyła ona za epickie tło w teledyskach do utworów *Míðaftan* i *Fjara* hardrockowej grupy Solstafir. Czarny piasek, wulkaniczne klify oraz wysokie bazaltowe kolumny uformowane przez wulkaniczną lawę i formacje skalne wystające wysoko z wody tworzą na wyjątkowość tego miejsca. Górujące nad plażą wzniesienia *Reynisfjall* przyciągają każdego lata tysiące maskonurów, niezwykle ruchliwych i zabawnych na swój sposób ptaków morskich o charakterystycznych okrągłych głowach i czerwonych dziobach. W wiekach średnich opisano je łacińską nazwą „arktyczni bracisz-kowie”, a w wierzeniach ludów północy maskonury symbolizowały pośmiertną postać rybaków, zaginionych na morzu. Uwagę przyciąga też ogromna grota *Hálsanefshellir*, z której wnętrza można podziwiać nie tylko tajemnicze nawisy i naturalne rzeźby jej wysokiego sklepienia, ale i charakterystyczne kilkudziesięciometrowe głazy zatopione w Oceanie. Wedle miejscowej legendy były to psotliwe trolle zamienione w kamienie – czego nie omieszkał skomentować guru grupy, Albert, wskazując, że podobny los powinien czekać lekkomyślnych turystów wchodzących mimo wysokich fal na zalewowy klif lub wspinających się czasami ku gniazdom maskonurów. Wieść niesie, że lata temu któryś z przewodników wspomniał uczestnikom wycieczki, że brunatne, płaskie kamyki z Reynisfjara zapewniają szczęście. Pokutuje to do dziś, bo wielu odwiedzających to niezwykle miejsce zabiera z sobą na szczęście swoje i swoich krewnych tuziny kamyków.

Majestatyczny Skogafoss był wstępem do wizyty pod kolejnymi siostrzanymi wodospadami: Seljalandsfoss i Gljúfrafúti. Mimo, że oczy zdążyły już nieco przywyknąć do istic bajkowych widoków, wyrastające nagle w oddali zielone wzniesienia poprzecinane nitkami spadającej w nich wody robiły niesamowite wrażenie. Dodatkowo kąć słonecznego oświetlenia tworzył nad progiem wodnym Gljúfrafúti barwną tęczę, której drugi koniec przechodził przez szczelinę sąsiedniej jaskini. Mój nieoceniony, świętej już pamięci nauczyciel fizyki z podstawówki, znalazłby właśnie tu idealne miejsce do udowadniania i tłumaczenia prawd z zakresu optyki i reguł emisji światła. Wodospad Seljalandsfoss jest jednym z kilku na Islandii, który można obejść skalną półką biegnącą na jego tyłach. Sam widok zza ściany spadającej wody jest dostateczną rekompensatą za przemoczone ubranie i obłocone buty. Widoczną oznaką islandzkiego lata była spora liczba namiotów, które wyrosły na zielonej polanie u podnóża Seljalandsfjall. Mimo chłodnych nocy i wiatrów znad Atlantyku można poświęcić wiele, aby zasypiać przy szumie wodospadów i witać nowy dzień napawając się



Lodowiec Mýrdalsjökull



Maskonury nad Reynisfjall



Grota Hálsanefshellir w Myrdal

ich widokiem. Mogłem się o tym sam przekonać podczas noclegu na kempingu w idyllicznym Reykholt.

Tymczasem w drodze powrotnej do Reykjavíku przewidziany był jeszcze jeden dłuższy postój w miasteczku Hella. Miejscowość, której nazwę wymawia się jak *heetla*, stanowi główną bazę wypadową na wulkan Hekla, do parku Þórsmörk i rezerwatu przyrody Tindfjallajökull. Niektórzy historycy podtrzymują tezę, że właśnie w pobliskich jaskiniach Hellamir, jeszcze przed przybyciem w IX wieku na Wyspę pierwszych norweskich osadników, mieszkali irlandzcy mnisi-eremici. W jednym ze sklepów położonym na tyłach restauracji o diabolicznej nazwie Grill 66 Hellu największy asortyment stanowiły tekstylia i wyroby z wełny. Grube, białe swetry z charakterystycznymi wzorami, ręcznie robione biało-wiśniowe wełniane kaptcie, czapki i karpety z symboliką runiczną. Szybkie przeliczanie tysięcy islandzkich koron na złotówki nie jest łatwe, ale wsparty aplikacją nie mogłem sobie ostatecznie odmówić zakupu granatowej czapki za jedyne 3650 ISK. W sąsiednim markecie spożywczym lady chłodnicze wypełniały ryby wszelkiego rodzaju. Duże, mniejsze, porcjowane i w całości o wyłupiastych oczach i masywnych płetwach. Ten wybór ryb z arktycznych mórz i słodkowodnych wód zachwyciłby pewnie każdego polskiego wędkarza i smakosza, nawet jeżeli wypatroszony *steinbitur* (zębacz), odrzucał pod względem wizualnym i zapachowym. Dobrze prezentowały się także lokalne sery, których etykiety ozdobione dodatkowo rysunkiem zwierzątka, wskazywały, czy mamy do czynienia z serem krowim, kozim, owczym czy serem z mleka kłepy łosia pochodzącym z jednej z okolicznych, eksperymentalnych farm. Zakupiony brązowy ser z Araukari stał się w każdym razie

podstawą moich śniadań w kolejnych dniach. Muszę podkreślić, że niektóre opisy na regałach są również w języku polskim, co dowodzi w praktyce jak duża jest obecnie na Islandii grupa emigrantów z nad Wisły.

Powrót do islandzkiej stolicy przypadł na godzinę 21.30 lokalnego czasu, aczkolwiek patrząc na błękitne niebo i tkwiące wysoko słońce można by uznać, że jest dopiero wczesne popołudnie. Kilkukilometrowy spacer nadmorską promenadą między słynnym Solfar, rzeźbą szkieletu statku Sun Voyager, do zatoczki dawnego portu rybackiego i półwyspem muzeów był idealnym zakończeniem dnia. Mogłem przy okazji zobaczyć na własne oczy audytorium hostel KEX – miejsce szczególne dla miłośników skandynawskiej muzyki niezależnej oraz perełkę współczesnej architektury, przeszkloną halę kongresowo-koncertową Harpa. W tej drugiej nagrał swój najważniejszy album koncertowy Olafur Arnalds, a rozwieszane wokół Harpy plakaty zapowiadały nadchodzący *Reykjavik Jazz Festival* i koncerty Sigur Ros. Resztę atrakcji islandzkiej stolicy odłożyłem na ostatni dzień mojego pobytu na Wyspie, a w głowie układałem program dwudniowego, samotnego objazdu wypożyczonym autem trasą tak zwanego Złotego Kręgu. Ten ponad 250-kilometrowy odcinek naszpikowany spektakularnymi wytworami natury należy do najpopularniejszych i obowiązkowych celów większości turystów. Musiałem się szybko przestawić na automatyczną skrzynię biegów oraz liczyć się z gorszą nawierzchnią niektórych odcinków dróg, stromizną kilku podjazdów oraz nie do końca przewidywaną aurą. Mogłem z nadzieją polegać na własnych umiejętnościach jazdy. Te na szczęście okazały się wystarczające, choć mijanki na wąskiej drodze z wielkim kamperem czy roboczym sześciokołowcem na pewno kosztowały mnie trochę nerwów.

Szczegółowy opis istnych cudów natury, które podziwiałem w piątek i sobotę, ze względu na objętość tekstu i obawę o nadmierną egzaltację i pompacyjność zostawiam dla siebie. Pierwszego dnia były to w kolejności wodospad Helgufoss, szlak pieszy na punkt widokowy pod wulkanem Helgli z dymiącymi siarkowymi wokół fumarolami oraz park narodowy Þingvellir, gdzie na równinie zbierał się ponad tysiąc lat temu pierwszy islandzki Althing. Sporym przeżycie był przejazd przez tzw. Ryft Środkowoatlantycki, gdzie stykają się płyty tektoniczne euroazjatycka i północnoamerykańska. Nad brzegiem obfitującej w łososie i pstrągi górską rzekę Öxará z uznaniem patrzyłem na pracowników zabezpieczających na wysokości osuwisko skalne. Niedaleko miejscowości Laugarvatn doświadczyłem spotkania ze stadem owiec spacerujących po drodze oraz gwałtownego deszczu, po którym na niebie pojawiła się zachwycająca tęcza. Gejzer Strokkur, którego wyziewy czuć z dobrych kilku kilometrów, otoczony nadmierną liczbą turystów żądnych spektakularnej eksplozji wody, kazał dłużej czekać na niezwykle widowisko. Wrażenia z obserwacji potężnej kaskadowej grupy uskoków i zlewisk wodospadu Gulfoss popsuła nieco krótkotrwała ulewa, ale miałem tam specjalnie wrócić następnego dnia. Pięknie za to prezentowały się parujące gorącymi źródłami laguny w okolicach wsi Fludir. Zabukowany wcześniej nocleg na kempingu w uroczym Reykholt, pięknie położonej osadzie, z którą związany był wspomniany wcześniej pisarz Snorri Sturluson, okazał się strzałem w dziesiątkę. Pracujący w recepcji Bjarni przydzielił mi za niewielką dopłatą łóżko w pustej „trójce” z przecudnym widokiem na zakole rzeki Hvita. Przemiliły człowiek, który bywał w Gdańsku i miał przyzwoitą wiedzę na temat polskiej historii, udzielił mi darmowej lekcji na temat wymowy tych wszystkich



Vík i Myrdal



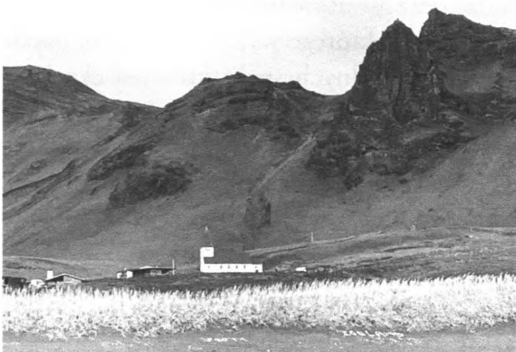
Plaża w Vík



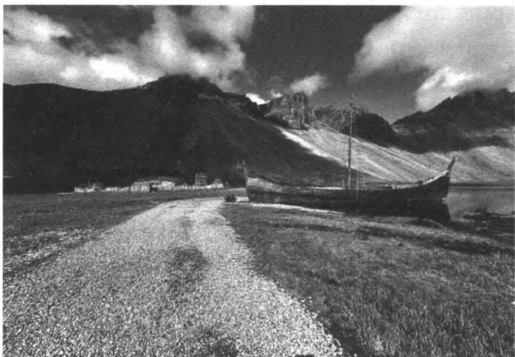
Wody Hestaváðsfoss nad progiem Skogafoss



Kościół Hallgrímskirkja i pomnik Leifa Eriksona



Widok na kościół w Vík



W drodze na Laugarvatn



Wodospad Óxarárfoss w Parku Narodowym Þingvellir

islandzkich -p z brzuszkiem czy -o albo -a z kreszczką. Już nawet nie zaścianałem okna roletą, bo zmęczony organizm zaczął przyzwyczajać się do nocy nie do końca ciemnych trwających raptem trzy godziny. Rankiem w Reykholt roztaczał się wilgotny zapach niczym z polskich łąk solankowych, co komponowało się z gwarantowanym śniadaniem na słono z kawałkiem suszonej ryby, ostrym, aromatycznym serem i wyjątkową niesmaczną kawą. Z kempingu w Reykholt zabrałem dwójkę niemieckich studentów przemierzających od miesiąca pieszo i autostopem Islandię, którzy akurat tego dnia planowali przejście szlakiem pod wodospad *Hjalparfoss*. Do Reykjavíku wracałem ponad dziesięć godzin, zatrzymując się co rusz, bo tu dymiący mały gejzer, tu wielobarwne skałki koło Laugaras, tam z kolei majaczące masyw lodowców Lang- i Jónsajökull. Powulkaniczne krystalicznie czyste, szmaragdowe jezioro powstałe w miejscu krateru *Kerið* zrobiło tak wielkie wrażenie, że spędziłem tam ponad dwie godziny robiąc dziesiątki fotografii z wszelkich możliwych stron. Późnym wieczorem minawszy *Laugardalur*, miasto Selfoss i poprzecinaną górami gminę Sandskeið dotarłem do Reykjavíku.

Słoneczna niedziela w Reykjavíku rozpoczęła się dla mnie wczesnym rankiem, kiedy główne ulice były w zasadzie puste, a jedynymi istotami, które napotkałem, były łabędzie i dziłki kaczki nad brzegiem Sudurtjörn. Przygotowany wcześniej plan indywidualnego zwiedzania stolicy uwzględniający najważniejsze zabytki i atrakcje został zrealizowany w ponad stu procentach. Całe miasto było przystrojone tęczowymi flagami zgodnie z tradycją celebrowania tygodnia tolerancji, otwartości i wsparcia dla środowisk LGBT. Wchodząc na tęczywy deptak *Skólavörðustígur* widzimy w oddali katedrę Hallgrímskirkja wzniesioną w latach osiemdziesiątych XX wieku. Kościół jest potężny, a z jego wieży widać nie tylko cały Reykjavík, ale i kraniec półwyspu Seltjarjarnes oraz ptasią wyspę Engey. Stojący przed

frontem katedry pomnik odkrywcy kontynentu północnoamerykańskiego – Leifa Eriks-sona, został w 1930 roku podarowany przez władze Stanów Zjednoczonych z okazji ty-siąclecia islandzkiego parlamentu *Althingu*. Niska zabudowa ścisłego centrum Reykjavíku, stosunkowo skromna liczba obiektów i budynków historycznych, ukazuje prowincjonalną rangę i specyfikę rozwoju miasta na przestrzeni ostatnich stuleci. Budynki rządowe, pałac prezydencki, siedziba islandzkiego parlamentu są skromne i gabarytowo bliżej im do urzędów miejskich w Sztumie czy Dzierżgoniu niż do siedzib władz zamożnego, europejskiego państwa. Minimalizm architektoniczny i stylowa skromność mogą być pierwszym skojarzeniem. Najładniej prezentuje się panorama starego Reykjavíku z brzegu jeziora Tjörnín, gdzie aleja pełna zieleni i kwiatów łączy nowoczesny ratusz miejski z mostem Skothúsvegur. Kawalek dalej za fasadą białych secesyjnych rezydencji i budynków willowych znajduje się zadrzewiony *Holavallgardur* najstarszy w mieście cmentarz. Spoczywają tu m.in. Jón Sigurðsson (1811–1879) jeden z ojców islandzkiej niepodległości i uniezależnienia się od Danii, oraz Ingibjörg Bjarnason (1868–1942), pierwsza niewiasta w Althingu, działaczka na rzecz praw kobiet. Kaskadowy zacieniony sektor południowy *Suðurgötu* z pochylo-nymi ze starości tudzież zapadniętymi kamiennymi tablicami o wytartych już zębem czasu epitafiach stanowiłby idealną scenografię filmowych adaptacji powieści grozy Horacego Walpole’a. Na wielu przysłoniętych bluszczem grobach wyrastają krzewy, a mech, który zgromadził się na drzewach, mosiężnych gotyckich krzyżach i kamiennych płytach nagrobnych, nadaje całości upiorny, surrealistyczny wygląd. Zły stan niektórych nagrobków w nowszej części wynika zapewne z surowych warunków klimatycznych i arktycznej zimy, ale odzwierciedla także obecne podejście samych Islandczyków do religii i kultu zmarłych. *Ars moriendi* – sztuka umierania i śmierci jest głównym motywem w *Höggmyndagarðurinn* Ogrodzie Rzeźb stworzonym blisko sto lat temu przez Einara Jonssona (1874–1954). Kilkanaście monumentalnych rzeźb z brązu ustawionych w pięknym zacienionym parku oraz sam dom rzeźbiarza, nad którym góruje wieża katedry są enklawą spokoju i zadumy w samym centrum turystycznego Reykjavíku. Przy ograniczeniach czasowych udało mi się z dość bogatej oferty muzealnej islandzkiej stolicy odwiedzić jedynie dwa miejsca. Najpierw *Pönksafn Íslands* (Muzeum Islandzkiego Punkrocka) w podziemiach niewielkiego budynku o ścianach pokrytych graffiti o anarchistycznych i rewolucyjnych hasłach. W pstrokatych pomieszczeniach, gdzie zwiedzającemu towarzyszą brzmienia punkrockowe i nowofalowe, zgromadzono pokazną kolekcję eksponatów, gadżetów, gitar, odzieży oraz rzadkich wydań płyt i bootlegów sprzed kilku dekad. Wystawa stała, której patronował m.in. John Lydon, wokalista legendarnego Sex Pistols, ukazuje przekrojowo rozwój islandzkiego under-groundu m.in. postpunkową formację KUKL, w której swoją wielką karierę zaczynała Björk. Znacznie ważniejsza z perspektywy poznawczej okazała się jednak dla mnie blisko dwugodzinna wizyta w Muzeum Osadnictwa i Historii Reykjavíku. Placówka powstała przy ulicy Aðalstræti, w miejscu, gdzie archeolodzy odkryli ślady osady wikińskiej z X wieku. Fragmenty tej odkrywki są zresztą wkomponowane w jedną z sal wystawienniczych, przedstawiająca ślady i etapy osadnictwa w mieście aż do momentu chrystianizacji Islandii. Liczba znalezisk archeologicznych jest stosunkowo skromna, co jak zgryźliwie skomentował pracownik muzealnego sklepiku jest zasługą Duńczyków panujących w przeszłości nad Wyspą. Interesująco przedstawia się ostatnia z trzech części wystawy stałej poświęcona



Wodospad Skogafoss



Reykjavik z brzegu jeziora Tjornin

ostatniemu stuleciu. Makieta miasta z początków ubiegłego stulecia oraz liczne fotografie i wycinki z kronik filmowych unaocniają, jak małym ośrodkiem był niegdyś Reykjavik, i jak bardzo przyspieszyło tempo jego rozbudowy w ostatnich kilku dekadach.

Wczesnym niedzielnym popołudniem w centrum stolicy ciężko było wypatrzeć miejscowych, a na głównym deptaku i na pełnej uroczych kawiarni uliczce Laugavegur dominowali turyści. Mieszkańcy stolicy, korzystając z pogody, spędzają letnie weekendy poza miastem, oddają się wszelkiej możliwej aktywności fizycznej, relaksują się w basenach termalnych w zatoczce Kópavogur czy pod Grindavik albo wygrzewają na jednej z plaż pod Reykjavikiem. Wygrzewanie się w temperaturze powietrza 13–14 stopni może oczywiście z naszej perspektywy brzmieć cokolwiek przewrotnie i żartobliwie. Nabiera jednak innego wymiaru, jeżeli połączymy takie nadmorskie plaże z naturalnymi gorącymi źródłami w ich sąsiedztwie. Wybrałem plażę Nauthsölvik położoną na południowych obrzeżach stolicy. Droga doń wiodąca przez ogrodzone osiedla i nowoczesne ciągi apartamentowców w dzielnicy Hilðar wywołuje smutną refleksję, że rosnący popyt na mieszkania wypiera tradycyjną, luźną zabudowę i zmienia tutejszy krajobraz. Gruboziarnisty piasek na plaży Nauthsölvik ma kolor jasnożółty, a kąpielisko jest otoczone półowalnym falochronem porośniętym wodorostami. Kilkanaście metrów od brzegu znajduje się gorący basen w kształcie rynny. Całodzienna wejściówka kosztuje razem z kaucją niecałe 50 złotych, a w pakiecie jest szatnia, przebieralnia, zimne i ciepłe prysznice a dla chętnych ręcznik, czepki i buty do wody. W szatni nie ma zamykanych szafek, więc wszelkie własne rzeczy, plecaki, sprzęty i telefony pozostawia się bez żadnego nadzoru i zabezpieczenia w otwartych koszach. *Można wartościowe rzeczy zdeponować odpłatnie u nas, ale kradzieże się u nas właściwie nie zdarzają, więc proszę bez obaw* – przekonywał grupkę niemieckich seniorów pracownik kąpieliska. Woda w basenie termalnym ma dokładnie 36 stopni i już po kilku minutach zaczyna być człowiekowi za gorąco. Gdyby nie kilku głośnych Włochów panowałaby niezmacona cisza, a widok na zatokę i okoliczne zielone wzgórza wprowadzałby w stan błogości. Po półgodzinnym zanurzeniu w termach, kiedy dodatkowo intensywna woń zepsutych jajek zaczyna mocno drażnić, nadchodzi idealny czas na zmianę otoczenia. Wejście do wody morskiej o wyświetlonej na tablicy temperaturze 10,3 stopni Celsjusza jest wybawieniem. Zresztą krótką kąpiel w Atlantyku na wysokości koła podbiegunowego można zawsze wpiąć z dumą do notatnika z własnymi wyczynami i spełnionymi marzeniami. Po południu bezwietrzny i bezchmurny Nauthsölvik zapełnia się kolejnymi rodzinami z dziećmi. Można leniwie wpatrywać się w samoloty lądujące na pobliskim lotnisku, można popatrzeć na zacięty mecz siatkówki plażowej w wydaniu islandzkich dziewcząt albo zdrzemnąć się pod islandzkim słońcem. Na tarasie jest kawiarnia, stoisko z przekąskami i napojami. Na pożegnanie tego pięknego miejsca koniecznością zdaje się wejście raz jeszcze do gorącego basenu, w którym w międzyczasie przybyło sporo nowych miłośników termalnych kąpeli. Słyszę język włoski, francuski, angielski i, o zgrozo, nawet rosyjski. Międzynarodowe towarzystwo zalegające w naturalnej rynnie o długości kilkunastu metrów. W samym rogu siedział potężnie zbudowany gość, z runicznym wzorem tatuażów na ogolonej głowie i ramionach oraz długą, siwą brodą związaną w warkocz. Kiedy pomyślałem *oto ucieleśnienie islandzkiego wojownika, potomek dzielnego Eryka Rudego, współczesny Ragnar Lothbrok...* ów wiking spytał swojej towarzyszki po polsku *czy zabrała może jego fajki*.

Smutek pojawił się już wówczas, kiedy samolot linii Wizzair oderwał się od pasa lotniska Keflavik i obrał kurs na południowy-wschód. W hali odlotów dostrzegłem wielki baner w barwach Islandii, a na nim kontury Wyspy i napis *Visit Us again*. Zaproszenie przyjmuje i już planuję kolejny, dłuższy pobyt w krainie wulkanów i gejzerów. Czekają przecież jeszcze północna część Islandii, zachodnie fjordy, klify półwyspu Reykjanes i cały Interior, w którym jak wierzyć nordyckiej mitologii i sagom goszczą Thor z córką Frudur, Njord i sam Loki syn olbrzyma Fabratura i Laufey. *Sjáumst bráðum, fallega Ísland* – do zabaczenia, piękna Islandio.

sierpień 2024



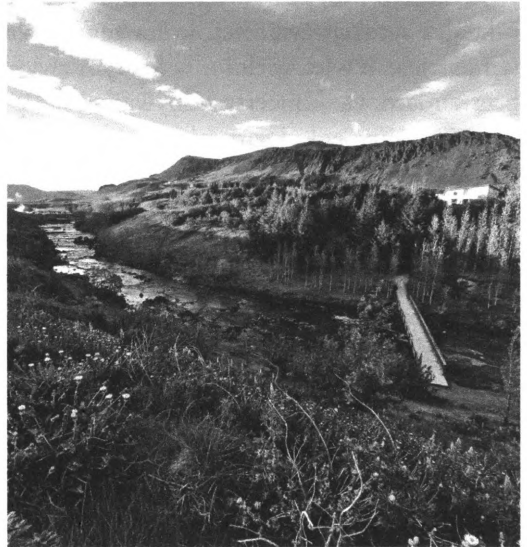
Plaża miejska w Nauthsolvik



Gejzer Strokkur



Muzeum Osadnictwa i Historii Reykjavíku



Krajobraz zachodniej Islandii

Wacław Bielecki



ZAPISKI MELOMANA

Recital Marca Laforêta w Filharmonii Narodowej

niedziela, 9 czerwca 2024 r.



Marc Laforêt kłania się warszawskiej publiczności, fot. W. Bielecki

I tym razem mój pobyt w Filharmonii Narodowej w Warszawie nie był planowany, a wyniknął z sytuacji życiowej, która zawiodła mnie ponownie do stolicy. Koncert odbył się w niedzielę, a więc w dniu, w którym zwykle filharmonia jest zamknięta dla melomanów, bo standardowe koncerty odbywają się w piątki i są powtarzane w soboty. Był to koncert nadzwyczajny, w którym solowy recital zagrał francuski pianistą Marc Laforêt. Ten dobiegający sześćdziesięciu lat życia muzyk w 1985 r. zdobył II nagrodę na Konkursie Chopinowskim (wtedy I nagroda przypadła Stanisławowi Buninowi, Rosjaninowi).

W programie recitalu były tylko dzieła Chopina. Koncert zaczął się od *Andante spianato i Wielkiego Poloneza Es-dur op. 22*, potem artysta zaprezentował – w innej kolejności, niż przedstawiam to w tej relacji – *4 Mazurki op. 24 i 4 Mazurki op. 33*, dwa *Nokturny – Es-dur op. 9 nr 2 i c-moll op. 48 nr 1*, trzy *Walce – As-dur op. 34 nr 1, cis-moll op. 64 nr 2, Des-dur op. 64 nr 1* oraz dwa *Scherza – b-moll op. 20 i b-moll op. 31*.

Największy aplauz publiczności zyskały, zagrane tuż po przerwie w zawrotnych tempach, walce. Mnie jednak najbardziej przypadły do gustu mazurki wykonane w sposób subtelny, z najróżniejszymi odcieniami rytmicznymi i agogicznymi, perfekcyjnie, wręcz cudownie, z polską rzewnością i francuską lekkością. Przypomnieć tutaj wypada, że za wykonanie mazurków podczas wspomnianego Konkursu Chopinowskiego pianista otrzymał nagrodę specjalną. Mniej przekonująca była dla mnie interpretacja nokturnów, szczególnie *Es-dur*, świetnie natomiast zostały wykonane oba scherza.

Mimo nietypowego terminu oraz słonecznej niedzieli publiczność szczerze wypełniła salę koncertową i wyklaskała dwa bisy: *Balladę g-moll op. 23* oraz *Mazurka f-moll op. 7 nr 3*. Po raz pierwszy od wielu lat w Filharmonii Narodowej udało mi się po zakończeniu recitalu zrobić zdjęcie kłaniającego się pianisty. Służby porządkowe jakoś nie reagowały na wyciągnięte w wielu rękach melomanów smartfony i iPhone'y podczas owacji na stojąco.

Jakub Kuszlik w Waplewie

piątek, 14 czerwca 2024 r.



Jakub Kuszlik przy fortepianie Steingraeber & Sohns, fot. W. Bielecki

Do wykonanie recitalu w pierwszym dniu 18. Pomorskich Dni Chopinowskich w Waplewie Wielkim został zaproszony młody polski pianista Jakub Kuszlik, zdobywca IV nagrody na XVIII Konkursie Chopinowskim w 2021 r. Tak się złożyło, że podobnie jak opisywany w poprzedniej relacji Marc Laforêt, otrzymał nagrodę specjalną za wykonanie mazurków. Jednak mazurków podczas waplewskiego wieczoru było niewiele, tylko trzy z dojrzałego okresu twórczości Chopina z opusu 50: *G-dur*, *As-dur* i najbardziej znany *cis-moll*. W prezentacji tych miniatur nie pomógł, moim zdaniem, wypożyczony na tę okazję fortepian marki Steingraeber & Sohns, gdyż ten instrument nadmiernie eksponuje niskie tony i ma specyficzną, ciemną barwę dźwięków. Jeszcze gorzej było od strony brzmienia instrumentu z *Fantazją d-moll KV 397* W. A. Mozarta, która wymaga fortepianu wydającego perliste, dźwięczne i jasne tony, a tak zabrzmiała nieco ciężkawo. Przepięknie natomiast została zagrana na otwarcie recitalu *Fantazja f-moll op. 49* oraz *Polonez – fantazja As-dur op. 61* Chopina. Te monumentalne dzieła wydają się być jakby stworzone do tego typu fortepianu, a sam pianista włożył wiele serca w ich wykonanie i pokazał najwyższy kunszt wirtuozowski.

Jako ostatnie dzieło usłyszeliśmy *Kreisleriana op.16* Roberta Schumanna skomponowane w 1838 r. Zostały one zainspirowana książką o tym samym tytule, napisaną przez francuskiego pisarza, ale także, krytyka muzycznego, kompozytora, dyrygenta i malarza E.T.A. Hoffmanna. Jest to długi, ponad 30-minutowy utwór składający się z ośmiu części,

wszystkie o charakterze fantazji. Do wykonania w Waplewie został wybrany zapewne dlatego, iż Schumann dedykował ten utwór Chopinowi, o czym wspomniała prowadząca koncert. Nie dowiedzieliśmy się jednak, jak ta dedykacja została przyjęta przez Chopina oraz o tym, że pierwotnie utwór dedykowany był znakomitej pianistce – Klarze Wieck, przyszłej żonie Schumanna. A Klara, jak wiadomo, odmówiła przyjęcia dedykacji, zadając przy tym kompozytorowi kłopotliwe pytanie: „Czy nie mógłbyś choć raz skomponować całkowicie spójnego utworu?”. Dotknięty tym Schumann zmienił dedykację, ofiarując *Kreisleriana* Chopinowi, a Fryderyk stwierdził, że „najbardziej w tym utworze podoba mu się... strona tytułowa”. Jednym słowem, przyjęcie utworu nie było najlepsze. Obecnie jest to dość popularna kompozycja fortepianowa wykonywana przez różnych pianistów. Ja, podobnie jak pierwsi odbiorcy, nie podzielałam zachwyty nad tym dziełem. Jest ono, moim zdaniem, dość chaotyczne, monotonne i nużące w odbiorze, z wyjątkiem ostatniej części VIII: *Schnell und spielend* (*Szybko i zabawnie*), która jest po prostu świetna.

Recital zakończył się bisem, który zapowiedział sam pianista w podziękowaniu za zaproszenie do Waplewa i w brawurowy sposób zagrał *Walca As-dur op.34 nr1*, którego tydzień temu słyszałem w Filharmonii Narodowej w Warszawie pod placami Marca Laforêta. Obydwa wykonania, chociaż różne, były wspaniałe.

II Elbląski Festiwal Organowy

niedziela, 16 czerwca 2024 r.



Andreas Jetter po recitalu w kościele św. Wojciecha w Elblągu, fot. W. Bielecki

W ostatnim, piątym koncercie II Elbląskiego Festiwalu Organowego wystąpił szwajcarski organista Andreas Jetter, pracujący na co dzień w katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Chur, miście położonym na południe od Jeziora Bodeńskiego. Jest to muzyk bardzo wszechstronny, bo nie tylko studiował grę na organach, ale także na fortepianie (nagrał wszystkie koncerty S. Rachmaninowa) oraz dyrygenturę. Jako mistrz batuty prowadził m.in. wykonanie *Oratorium „Quo vadis?”* Feliksa Nowowiejskiego. Andreas Jetter koncertował w Elblągu po raz drugi. Poprzednio grał w tutejszej katedrze jako nastolatek.

Jego związki z miastem nad rzeką Elbląg są szczególne, bo przed wojną mieszkała tutaj jego rodzina. Pewnie dlatego w 2017 roku nagrał w Lucernie płytę z neoromantycznymi sonatami organowymi Maxa Gulbinsa, organisty i kompozytora działającego w nieistniejącym obecnie elbląskim kościele Trzech Króli na Nowym Mieście (wysadzonym w 1954 r.). Pierwszą *Sonatę c-moll* Maxa Gulbinsa, kończącą się wspaniale brzmiącą fugą, usłyszeliśmy na zakończeniu dzisiejszego recitalu.

Na początku zaś były dzieła innego organisty – Friedricha Wilhelma Markulla, urodzonego w Rychlikach pod Elblągiem. Jego ojciec był organistą w także nieistniejącym obecnie elbląskim kościele Świętej Anny, który upamiętnia krzyż na wzgórzu w Parku Traugutta, zaś sam Friedrich Wilhelm Markull przez 51 lat pełnił funkcję organisty w największej gdańskiej świątyni pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Z jego obszernej kompozytorskiej teki wybrane zostały do dzisiejszego recitalu następujące utwory: opracowany na organy *Chór z Oratorium „Stworzenie Świata”* Józefa Haydna, trzy *Preludia chorałowe* oraz *Sonata nt. chorału „Nun danket alle Gott”*. (*Teraz wszyscy dziękują Bogu*).

Między tymi „blokami” utworów usłyszeliśmy *Epithalamion*, miniaturę przeznaczoną do wykonywania podczas uroczystości ślubnych. Skomponował ją i wydał w 1616 roku Martin Raphun, organista kościoła Trzech Króli w Elblągu. Następnie solista wieczoru Andreas Jetter popisał się improwizacją z ciekawie dobranymi głosami organowymi na temat *Hejnatu miasta Elbląga*, skomponowanego w 1975 r. przez Józefa Karpińskiego, ówczesnego dyrektora szkoły muzycznej.

Program recitalu został całkowicie ułożony z dzieł kompozytorów związanych z Elblągiem i ta właśnie okoliczność skłoniła mnie do udania się na koncert, bo bardzo rzadko można usłyszeć te kompozycje. Dodać trzeba, że w porównaniu z ubiegłym rokiem, Elbląski Festiwal Organowy rozrósł się z trzech do pięciu koncertów. Trzy z nich zostały wykonane w kościele św. Wojciecha na Zawadzie na jedyne zachowane po wojnie organach elbląskiej firmy Terletzki & Wittek, a dwa w Katedrze św. Mikołaja. Publiczność dopisała, chociaż elbląscy melomani w ostatnim koncercie przeszkadzali nieco organiście podczas utworów wieloczęściowych, klaszcząc nawet po pauzach, jeszcze w trakcie wykonywania tych dzieł.

Duchem sprawczym całego przedsięwzięcia jest młody historyk i organolog Bartłomiej Skop, dyrektor artystyczny festiwalu, wspomagany przez Elbląskie Towarzystwo Kulturalne, parafie św. Wojciecha i św. Mikołaja oraz Fundację Beaty i Marka Górskich „Dialog, Rozwój i Miłosierdzie”. – *To taki „wariat”, zajmujący się muzyką organową* – jak go nazwała publicznie przed rozpoczęciem koncertu przewodnicząca Elbląskiego Towarzystwa Kulturalnego. Bartłomiej Skop jest autorem kilku naukowych artykułów poświęconych organom, m.in. w katedrze św. Jakuba w Olsztynie, katedrze św. Mikołaja w Elblągu i Konkatedrze św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie. Oby więcej, takich zakręconych muzycznie pasjonatów.

Elbląg Music Masterclass

piątki, 5 i 12 lipca 2024 r.

W sali koncertowej szkoły muzycznej w Elblągu odbył się koncert na rozpoczęcie – jak to reklamowano w mediach – „największych warsztatów w północnej Polsce”. Z Elbląską Orkiestrą Kameralną zagrali profesorowie, którzy przez następne dni prowadzili indywidualne

lekcje z młodymi skrzypkami, altowiolistami, wiolonczelistami i gitarzystami. Wśród pięciu nauczycieli znalazł się: Mariusz Patyra, skrzypek, zwycięzca nagrody specjalnej za wykonanie kaprysów na konkursie im. Nicolo Paganiniego w Genewie w 2001 r. oraz znakomity



Karolina Nawotczyńska i Mariusz Patyra grają Bacha, fot. W. Bielecki

gitarzysta klasyczny Krzysztof Meisinger związany obecnie ze Szczecinem.

Ciekawy byłem, jakie utwory wybiorą profesorowie, aby zaprezentować się uczestnikom warsztatów i elbląskiej publiczności. Z siedmiu wykonanych kompozycji zainteresowała mnie szczególnie zagrana na początku pierwsza część *Koncertu na dwoje skrzypiec d-moll* J. S. Bacha, którą z klasycznym wdziękiem i stylowo jako soliści wykonali: Karolina Nowotczyńska,

dyrektorka Elbląskiej Orkiestry Kameralnej i główna organizatorka warsztatów oraz Mariusz Patyra. Największy entuzjazm publiczności wywołała zagrana przez orkiestrę, jako ostatni utwór wieczoru, niezwykle dynamiczna i efektowna *Orawa* Wojciecha Kilara. Nic dziwnego, bo wykonanie było świetne.

Przypominałem sobie, że kilka lat temu, dokładnie we wrześniu 2015 roku, elbląscy kameraliści równie świetnie, wręcz brawurowo, wykonali ten utwór w Pałacu Sierakowskich w Waplewie Wielkim koło Sztumu. Wtedy orkiestrą dyrygował Marek Moś, szef Aukso, czyli znakomitej Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy na Śląsku. Ten charyzmatyczny dyrygent przez kilka lat współpracował z Elbląską Orkiestrą Kameralną, a po jego odejściu osieroceni elblążanie nie mają stałego dyrygenta i każdym następnym koncertem dyryguje ktoś inny, lub jak dzisiaj, muzycy grają bez dyrygenta. W tej sytuacji od razu można było zauważyć pewne trudności, bo przecież ktoś musi dać znak do rozpoczęcia i zakończenia utworu. Robili to, albo kolejni soliści, albo koncertmistrzynie elbląskich kameralistów. Myślę jednak, że gdyby orkiestrę prowadził dyrygent, to jeszcze lepiej wypadłyby prezentowane utwory. Elbląska Orkiestra Kameralna jest jedynym z nielicznych w naszym kraju zespołem funkcjonującym bez swojego stałego dyrygenta. Dlaczego tak się dzieje? Pewnie chodzi o pieniądze...

Wracając do występu, dla mnie najciekawszym, bo zupełnie nieznanym, był *Koncert podwójny na gitarę i bandeon* (odmiana harmonii) Astora Piazzolli, zaaranżowany przez Krzysztofa Meisingera na gitarę i wiolonczelę z orkiestrą smyczkową. Ta prawie dwudziestominutowa kompozycja zaczyna się od długiego, solowego wstępu gitary o charakterze improwizacji, do której dołącza wiolonczela (grał na niej Marcel Markowski), a później smyczki. Jak to jest u Piazzolli, prawie wszystko musi być tangiem, więc i w tym utworze z łatwością można było rozpoznać ten argentyński taniec. Trzeba jednak wyjaśnić, że jest to stworzone przez Piazzollę „tango nuevo”, czyli „nowe tango” przeznaczone do słuchania, a nie do tańczenia. Gitarzysta dość często traktował swój strunowy instrument jak perkusję,

wystukując na pudle rezonansowym stosowne rytmy, a od czasu do czasu, pospieszonymi gestami zachęcał muzyków orkiestry do podążania za nim, bo słyhać było, że np. kontrabas nieco się spóźnia. Oj, przydałby się dyrygent.

Po występie udało mi się zapytać Krzysztofa Meisingera, dlaczego zaaranżował koncert Piazzolli na wiolonczelę, a odstawił bandeon, na który utwór jest napisany, pamiętając przy tym, że sam Astor Piazzolla przecież grał na bandeonie. W odpowiedzi usłyszałem: – *Marcel Markowski jest tak fantastycznym wiolonczelistą, że gra mi się z nim po prostu fenomenalnie. A ten koncert na bandeon i gitarę daje możliwość opracowania go na inne instrumenty.*

Po tygodniu, w następną piątek (12 lipca) udałem się ponownie do Elbląga na koncert finałowy Elbląg Master Class do sali w Ratuszu Staromiejskim. Wystąpiło w nim sześciu solistów, zwycięzców Konkursu Młodego Wirtuoza, grających na skrzypcach, altówce, wiolonczeli i gitarze z towarzyszeniem Elbląskiej Orkiestry Kameralnej. Młodzi wykonawcy, uczniowie z różnych szkół muzycznych w Polsce, otrzymali skromne nagrody finansowe ufundowane przez prezydenta Elbląga obecnego na sali. Największą jednak nagrodą dla nich była możliwość zagrania z orkiestrą.

W relacjonowanym koncercie dominowały gitary, albowiem zwycięzcą Konkursu Młodego Wirtuoza został Filip



Filip Furmańczyk wykonuje *La Catedral* A. B. Mangore, fot. Anna Dembińska

Furmańczyk, gitarzysta klasyczny, 17-letni uczeń Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Poznaniu. Mimo młodego wieku zdążył już zdobyć kilka nagród podczas różnych konkursów w Polsce i za granicą (Sarajewo, Paryż, Czechy). Z towarzyszeniem Elbląskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Radosława Dronia zagrał utwór *La Catedral*, znaną i lubianą miniaturę paragwajskiego kompozytora Augustina Barrios Mangore. W oryginale jest ona napisana na gitarę solo. Teraz usłyszeliśmy ten utwór w aranżacji Krzysztofa Meisingera na gitarę z orkiestrą smyczkową. Trzeba powiedzieć, że była to aranżacja bardzo udana, zaczynająca się niebiańskimi pianami i ze znakomitym fragmentem w drugiej części, kiedy gitara prowadzi dialog z wiolonczelą. Głos gitary został na szczęście wzmocniony i podany przez mały głośnik. Ale na samym początku koncertu, podczas występu duetu gitar klasycznych bez wzmocnienia, ich delikatny dźwięk ginął w szumie wentylatorów.

Oczywiste wydaje się, że wykonywanie i słuchanie muzyki powinno odbywać się w ciszy. Niestety, w sali elbląskiego ratusza przez cały czas słyhać było irytujące odgłosy pochodzące od aparatury klimatyzacyjnej – ciągły szum wentylatorów. Dziwne, że wybrano tak słabe pod względem akustycznym pomieszczenie do wykonania klasycznej muzyki.

Koncert zakończyła Elbląska Orkiestra Kameralna, wykonując bardzo efektowny utwór – *St. Paul's Suite* Gustawa Holsta. Dzieło to zostało zaproponowane przez młodego

dyrygenta Radosława Dronia, absolwenta Akademii Muzycznej we Wrocławiu, który tym razem poprowadził elbląskich smyczkowców. Tegoroczna impreza odbyła się po raz trzeci i miejmy nadzieję, że będzie kontynuowana w następnych latach.

XV Koncert organowy w Sztumie

niedziela 28 czerwca 2024 r.



Składanie kwiatów pod pomnikiem Feliksa Nowowiejskiego, od lewej: ks. Andrzej Starczewski, organista Krzysztof Urbaniak, burmistrz Bartosz Mazerski, dyrektor SCK Adam Karaś, fot. W. Bielecki

Od wielu lat w ostatnią niedzielę lipca w parafii św. Anny w Sztumie obchodzony jest odpust Patronki, a wieczorem odbywa się koncert organowy upamiętniający pobyt Feliksa Nowowiejskiego tuż przed plebiscytem w 1920 r. W tym roku organy z tej okazji zabrzmiały po raz piętnasty. Zagrał na nich znakomity muzyk, dr hab. Krzysztof Urbaniak, który pracuje w Akademiach Muzycznych w Łodzi i Krakowie.

Znają go słuchacze w wielu państwach europejskich, szczególnie Niemiec i Szwecji oraz w dalekiej Japonii, tudzież melomani z szeregu nagrań płytowych. Urodzony w Wielkopolsce organista, jak sam opowiada, jest zakochany w Pomorzu:

– Zawsze mnie ciągnęło na Północ, chociaż nie wiem, dlaczego tak jest. Cały czas chce się na tę Północ wracać. Uwielbiam tutejszą atmosferę, ceglany gotyk, wodę. – Pewnie dlatego od kilkunastu lat Krzysztof Urbaniak jest dyrektorem muzycznym Międzynarodowego

Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Pasłęku. W tamtejszym kościele św. Bartłomieja znajdują się, zdaniem prof. Romana Peruckiego, najlepsze na Pomorzu organy barokowe z warsztatu gdańskiego organmistrza Andreasa Hildebrandta. To na wzór tego instrumentu Krzysztof Urbaniak zaprojektował nowe organy w swojej uczelni w Łodzi.

Artysta zaproponował sztumskim melomanom program złożony z utworów Jana Sebastiana Bacha i Feliksa Nowowiejskiego oraz własne improwizacje. Kompozycji Bacha było najwięcej i to zaprezentowanych w postaci różnych form muzycznych. Usłyszeliśmy więc melodyjny *Koncert organowy d-moll BWV 596* skomponowany na podstawie utworu Antonia Vivaldiego, króciutką *Fantazję C-dur BWV 570* oraz dwa opracowania chorałowe: *Kto los swój oddał w ręce Boga BWV 691* i *Panie Boże, zechciej otworzyć niebo BWV 1092*, napisane do wybranych tekstów z Biblii, tudzież wspaniałe *Preludium i fugę a-moll BWV 543*. Widać, że organista ceni i lubi utwory wielkiego Jana Sebastiana. Są one także bardzo lubiane przez miłośników muzyki organowej, która często kojarzy się z Bachem

Koncert zaczął się i zakończył utworami F. Nowowiejskiego. Na początku był to chętnie grany przez organistów *Marsz uroczysty Einzug in den Dom op. 8, nr 3 (Wejście do katedry)*, a na końcu zadana przez organizatorów improwizacja na temat arii *Hej, żeglarzu, żeglujże* z nieukończony przez kompozytora opery „Kaszuby”. Wiemy, że tę arię włączył Nowowiejski do pierwszych wykonań swojej opery „Legenda Bałtyku”, która odniosła wielki sukces w latach międzywojennych, poczynając od premiery w 1924 r., a później, pod wpływem krytyki, usunął ją z partytury. Ową piosnkę śpiewaliśmy dawno temu w szkole, lub przy ogniskach na obozach harcerskich. W swojej kolekcji nagrań mam ją w wykonaniu znakomitej sopranistki Opery Poznańskiej Antoniny Kaweckiej i Orkiestry Rozgłośni Polskiego Radia w Bydgoszczy pod dyrekcją Arnolda Rezlera. Nagranie pochodzi z 1973 r. Piosenkę *Hej, żeglujże żeglarzu* śpiewała niegdyś Maryla Rodowicz, z podobnymi słowami, ale przy innej melodii.

W programie koncertu miała być zagrana *Toccata z IX symfonii organowej f-moll* Feliksa Nowowiejskiego, ale do tego nie doszło. Artysta w jej miejsce wykonał *Chorał symfoniczny: Pozostań z łaską swoją* Sigfrida Karg-Elerta, niemieckiego kompozytora i organisty, urodzonego w tym samym roku co Nowowiejski, czyli 1877. Dlaczego tak się stało? Organista wyjaśnił to publiczności w kurtuazyjny sposób, ale faktyczna przyczyna była prozaiczna: braki techniczne naszych organów. Otóż pewne usterki uniemożliwiły zagranie *Toccaty* Nowowiejskiego wymagającej całkowicie sprawnego instrumentu.

Wróćmy do improwizacji. Pierwszą, jaka usłyszeliśmy było *Interludium I*. Krzysztof Urbaniak pokazał w nim bardzo ciekawie brzmiące głosy naszych organów, których używa się rzadko. Było to brzmienie – jak to określił wykonawca – bardzo współczesne, z drugiej połowy XX wieku. Kończąc tę improwizację akordem C-dur, organista przeprowadził słuchaczy ponownie do utworów Bacha.

No i na koniec, na bis, zabrzmiała trzecia improwizacja. Tym razem organista za temat obrał *Rotę* Nowowiejskiego i pod wpływem chwili, wspaniale modyfikował melodię tej powszechnie znanej pieśni patriotycznej, wprowadzał ciekawe modulacje oraz stosował wyrafinowane przebiegi polifoniczne. To, co się działo, trudno opisać słowami. Trzeba przyznać, że artysta trafił w dziesiątkę, bo właśnie ten utwór najbardziej chwalili słuchacze wychodząc z kościoła po koncercie, oczarowani kunsztem improwizatorskim organisty,

Sumując, można stwierdzić, że niedzielny koncert udał się. Nie zawiodła publiczność, która dotarła do kościoła mimo deszczu padającego przez całą noc i jeszcze po południu, aż w końcu, w samą porę, na niebie pokazało się wyczekiwane słońce. Znakomicie spisali się organizatorzy: Sztumskie Centrum Kultury i Parafia św. Anny. Z pewnością mogą zapisać ten koncert na plus w swoich kronikach.

Fromborskie improwizacje na temat Immanuela Kanta

sobota, 10 sierpnia 2024 r.



Filip Presseisen improwizuje na organach katedry we Fromborku, fot. W. Bielecki

W Bazylice Archikatedralnej we Fromborku odbył się ostatni koncert w ramach 57 Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej. Na wspaniałych organach, których historia sięga XVII wieku (wielokrotnie przebudowywanych a obecnie dysponującymi 66 głosami), zagrał Filip Presseisen. Organista na co dzień pracuje jako wykładowca w Instytucie Muzyki Kościelnej Uniwersytetu Papieskiego w Krakowie. Mimo młodego wieku, jest zdobywcą wielu nagród na konkursach organowych w Polsce i Europie, w tym I nagrody na Międzynarodowym Konkursie Organowym im. Feliksa Nowowiejskiego w Poznaniu w 2017 r. oraz laureatem Międzynarodowego Konkursu Improwizacji w Schwäbisch Gmünd w Niemczech w 2019 r. Wiemy też, że specjalizuje się w podkładaniu muzyki na żywo do wyświetlanych starych filmów niemych.

W programie koncertu usłyszeliśmy różnorodne utwory, m.in. należące do kanonu tzw. wielkiej symfoniki organowej. Na początku była to I część *V Symfonii c-moll*, tzw. symfonii losu, Ludwiga van Beethovena w aranżacji na organy solo, a na zakończenie słynna *Tocatta z V Symfonii* francuskiego kompozytora Charles'a-Marie Widora, który przez 64 lata był organistą w kościele św. Suplicjusza w Paryżu (od ubiegłego roku organistą w tym kościele ze słynnymi organami Aristide'a Cavaillé-Colla jest Polak Karol Mossakowski).

Były też w programie koncertu drobniejsze utwory nieznanymi bliżej kompozytorów niemieckich: *Nachspiel (Epilog)* – Justina Heinricha Knechta oraz *Eine Nachahmung der*

Nachtgall (Naśladowanie śpiewu słowika) Johanna Ludwiga Krebsa. W tym ostatnim, organista zaprezentował całą gamę delikatnych głosów fletowych, aby oddać śpiew małego ptaszka. Bardzo efektownie zabrzmiały *Wariacje nt. Ah, vous diraj-je, maman* Wolfganga Amadeusza Mozarta, znane u nas pod postacią dziecięcej piosenki: *Wyszły w pole kurki trzy*. W oryginale są one napisane na fortepian i do tej pory znałem je w tej wersji. Trzeba jednak przyznać, że wersja organowa jest znacznie ciekawsza, bo muzyk miał możliwość wykorzystania wielu kombinacji ciekawych głosów organowych. Nadał przy tym kolejnym wariacjom zawrotne tempa. Zauważyłem także, iż w tym utworze organista nie używał klawiatury nożnej (pedału).

Największą jednak atrakcją koncertu były improwizacje związane z wypadającymi w tym roku rocznicami: wielkiego podróżnika Marco Polo (700 rocznica śmierci) oraz filozofa z Królewca Immanuela Kanta (300 rocznica urodzin). Przyznam, że pierwszy raz jako meloman usłyszałem improwizacje nie na temat jakiejś melodii, tylko wybranych tekstów. Obie improwizacje składały się z czterech zróżnicowanych pod względem formy muzycznej części. W przypadku Marco Polo zaczęły się od *Preludium* do słów: „Nie opowiedziałem nawet połowy tego, co widziałem.” Natomiast do improwizacji na temat myśli filozofa z Królewca organista wybrał cztery cytaty i ubrał je w cztery różne formy muzyczne: *Grand-Jeu*, *Toccaty*, *Aria*, *Scherzo*. Pierwsza improwizacja o wzniosłym, majestatycznym charakterze miała oddać myśl Kanta: „Są dwie rzeczy, które napełniają duszę podziwem i czcią”. W drugiej improwizacji ubranej w formę, co było dla mnie zaskakujące, spokojnej i cichej, *Toccaty* z anielskimi arpeggiami, organista starał się odmalować środkami muzycznymi najbardziej znane powiedzenie Kanta: „Niebo gwiazdzone nade mną i prawo moralne we mnie”.

Owych niepowtarzalnych improwizacji słuchałem z dużą przyjemnością, ale nasuwa się wątpliwość, czy muzyka, która jest sztuką asemantyczną, jest w stanie oddać treści słowne, w tym przypadku filozoficzne? Mam do tego sporo wątpliwości. Zauważyłem też, że improwizacje Filipa Presseisena nie są awangardowe, a raczej spokojne, trzymające się zasadniczo kanonów muzyki romantycznej i klasycznej. Artysta nie nadużywał możliwości dynamicznych fromborskich organów: większość utworów grana była *mezzoforte* (średnio głośno). Licznie zgromadzona publiczność wynagrodziła organistę długimi oklaskami, a organizatorzy wiązką kwiatów.

Jak to wiatr popsuł pewien koncert

Stażki, niedziela 11 sierpnia 2024 r.

Organizatorzy z gminy Mikołajki Pomorskie zaprosili zainteresowanych muzyką klasyczną do leżącej na uboczu wsi Stażki, aby – pod ciągle niezamieszkałym pałacem – wysłuchali koncertu plenerowego w ramach „Festiwalu Chopin – Vacances”. Poprzedni koncert odbył się tutaj rok temu (zob. moją relację w „Prowincji” 2023, nr 3). Do udziału w tej imprezie zapraszani są przez pomysłodawcę Michała h. Korsaka, prezesa Fundacji Ziemia Dobrzyńska, młodzi pianiści. W tym roku koncerty zaplanowane zostały w 22 miejscowościach, w zachowanych



Pod pałacem w Stążkach: Michał h. Korsak i Maria Palkowska-Rybicka wójt gminy Mikołajki Pomorskie, fot. Internet

polskich dworach lub obok nich. Do Stążek trafili: Juliusz Łukasik, uczeń z Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej w Krakowie, oraz japońska pianistka Chihiro Deguchi.

W tamtym roku pogoda była sprzyjająca i koncert odbył się bez większych problemów, w tym roku było inaczej. Przeszkodą stał się silny wiatr, który spowodował duże zakłócenia w odbiorze muzyki. Mocno szumiący wiatr wiał od publiczności w kierunku ustawionego

pod namiotem świetnego fortepianu Steinway C. Spowodowało to, że nawet w pierwszych rzędach krzeseł dźwięki otwierającej koncert *Sonaty C-dur op. 53*, zwanej waldsteinowską, Ludwiga van Beethovena, były słabo słyszalne. Zareagował na to po chwili prowadzący koncert Michał h. Korsak, który po prostu umieścił nad pudłem rezonansowym fortepianu mikrofon na statywie przez który zapowiadał. Po tym zabiegu słyszeć było nieco lepiej, ale w dalszych rzędach (ja siedziałem w siódmym) słyszalność ciągle była bardzo licha. Do tego doszły donośne głosy od stanowisk gastronomicznych umieszczonych bardzo blisko wzdłuż krzeseł i ławek dla publiczności, gdzie można było kupić, m. in. gofry. Sprzedające tam panie w ogóle nie ściszały głosu, podobnie kupujący. Dobiegający od gastronomii hałas skutecznie głuszył i tak już słabe dźwięki dochodzące od fortepianu. Przy drugim, impresjonistycznym utworze Maurice'a Ravela *Jeux d'eau (Fontanny)*, nie słyszałem już prawie nic. W tej sytuacji słuchanie muzyki nie miało sensu. Pomyślałem o zmianie miejsca, ale wolnego krzesła nigdzie nie było. W tej sytuacji wstałem z ławki i odjechałem do domu. Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu, a przecież bywam na koncertach grubo od ponad pół wieku.

Chociaż w tytule relacji piszę, że to wiatr popsuł koncert, ale, czy tylko wiatr? Naszły mnie refleksje dotyczące organizacji koncertu w plenerze. Pierwsza dotyczy braku nagłośnienia. Byłem na wielu koncertach plenerowych i widziałem, że organizatorzy zapewniają tam odpowiednią ilość głośników rozmieszczonych tak, aby muzykę słyszeli nie tylko VIP-owie siedzący w pierwszych rzędach krzeseł, ale i cała publiczność. W Stążkach nagłośnienia nie było. Po drugie, mocno zadziwił mnie, a nawet zdumiał fakt, że na koncercie muzyki klasycznej stoiska gastronomiczne funkcjonowały w trakcie (!) wykonywania muzyki. Wiele osób siedzących wokół mnie podchodziło do nich, kupowało gofry i jadło je podczas wykonywania muzyki. Czy jej słuchało? Wątpię. Z moich obserwacji wynika, że tak dzieje się podczas ludowych festynów, koncertów muzyki rockowej czy disco polo. Na koncercie muzyki klasycznej, gdzie gra się Beethovena czy Chopina, tak być nie może. Gastronomia,

jeśli już jest, powinna funkcjonować tylko przed i po koncercie oraz w trakcie dłuższej, zaplanowanej przerwy.

Sumując, muszę z bólem stwierdzić, że tegoroczna organizacja koncertu muzyki klasycznej w Stażkach wymknęła się organizatorom spod kontroli. Myślę, że nie tylko dla mnie, ale i dla innych słuchaczy, stał się on źródłem frustracji. Przybyłem tutaj przecież na plenerowy koncert muzyki klasycznej, ale nie zapewniono mi możliwości normalnego wysłuchania występu pianistów.

Oliwskie Mozartiana

środa, 21.08.2024 r.



Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej, w środku na pierwszym planie – jej szef i pierwszy skrzypek Jan Lewtak, fot. W. Bielecki

W Parku Oliwskim na dziedzińcu pod Pałacem Opatów odbył się plenerowy koncert inauguracyjny „20 Festiwal Mozartiana”. Z powodu tego miejsca koncert nazywany jest przez organizatorów: parkowym. Oprócz tej lokalizacji festiwalowe koncerty odbywają się w Dworze Artusa pod kolumną Neptuna, a koncert kończący festiwal wykonywany jest zwyczajowo w Katedrze Oliwskiej. Twórcą Mozartiana jest prof. Jan Łukaszewski, dyrektor i dyrygent Polskiego Chóru Kameralnego. Wieczorem w Oliwie szczęśliwie przestał padać deszcz i w pod sceną zebrała się liczna rzesza trójmiejskich melomanów i turystów. Niektórzy z nich, nie licząc na miejsca siedzące na ławkach rozmieszczonych wśród kwiatowych klombów, przynieśli składane krzesła.

Po krótkich przemówieniach WIP-ów i wysłuchaniu pierwszej części powszechnie znanej *Serenady Eine kleine Nachtmusik* Mozarta zaczął się koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej Filharmonii Narodowej z Warszawy. Zespołem tym kieruje od wielu lat skrzypek Jan Lewtak, nota bene urodzony w Gdańsku.

Program koncertu podzielony był na dwie części. W pierwszej usłyszeliśmy trzy krótkie utwory trzech polskich kompozytorów z XVIII wieku. Na początku była to *Uwertura do baletu Orfeusz i Eurydyka* Jana Dawida Hollanda. Jej twórcą jest niemiecki muzyk osiadły w Polsce, najpierw w Warszawie a później u Radziwiłłów w Nieświeżu oraz we Lwowie, gdzie zmarł. Holland pisał też opery komiczne, m.in. *Agatkę, czyli Przyjazd pana* – pierwszą polską operę klasycystyczną, opartą na motywach krakowiaka, oberka i poloneza. wystawioną w 1784 r. dla uświetnienia pobytu króla Stanisława Augusta w Nieświeżu. Libretto do tej opery napisał książę Maciej Radziwiłł, wielki podkomorzy litewski, który oprócz polityki zajmował się także komponowaniem, m.in. polonezów. Podczas oliwskiego koncertu usłyszeliśmy krótkie *Divertimento* Macieja Radziwiłła w stylu galant, składające się z trzech kontrastujących części: szybka – wolna – szybka.

Ostatnim dziełem polskiego kompozytora wykonanym na inauguracji parkowych Mozartian była *Symfonia D-dur* Adama Haczewskiego, działającego w Wielkopolsce w drugiej połowie XVIII wiek. Niestety, nie wiadomo nic o jego życiu prywatnym i wykształceniu. Nieznana jest nawet data jego urodzin i śmierci. Jedyne zachowane utwór Adama Haczewskiego, to *Symfonia D-dur* z 1771 roku. Jest ona uznawana przez muzykologów jako jedna z pierwszych polskich symfonii napisanych w stylu klasycznym. Jest to krótki utwór, składający się z trzech części, gdzie w części II i III można usłyszeć narodowe tańce polskie – poloneza i mazura.

Ogólnie mogę stwierdzić, że gdybym nie znał tych trzech utworów polskich kompozytorów, to zapewne zaliczyłbym je do dzieł stworzonych przez Mozarta, bo tak mocno są podobne do kompozycji klasyka wiedeńskiego. Była zresztą natychmiastowa możliwość porównania dzieł polskich kompozytorów z kompozycjami Mozarta, bo jako ostatnią usłyszeliśmy wspaniałą *Symfonię g-moll KV 550* Mozarta, przedostatnią spośród pół setki symfonii, które napisał, ale tylko jedną z dwóch w tonacji mollowej. Rozpisywać się o tym powszechnie znanym dziele geniusza nie ma po co. Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej zagrała ją w sposób stylowy i porywająco.

Przypominając sobie niedawny koncert plenerowy w Stążkach, zwróciłem baczną uwagę na zachowanie się publiczności. Nigdzie nie zauważyłem słuchaczy jedzących podczas słuchania muzyki, chociaż było ich kilkakrotnie więcej. Tylko kilka osób sięgnęło po butelki z napojami. Oczywiście, jak to jest podczas koncertów plenerowych, melomani znajdujący się w dalszej odległości od sceny spacerowali po parku, rozmawiali, słychać było dzieci, ale nie przeszkadzało to zbyt w słuchaniu muzyki, bo przestrzeń była dobrze nagłośniona przez liczne głośniki umieszczone nad sceną i w głębi parku. Nie było też żadnych stanowisk gastronomicznych, czyli było tak, jak to jest na normalnych koncertach plenerowych z muzyką klasyczną.

MARZĘ O STWORZENIU W PRZEZMARKU DOMU PRACY TWÓRCZEJ

Z Mileną Wiśniewską rozmawia Agnieszka Świercz-Karaś

Jedni ludzie mają marzenia i na tym poprzestają. Jest też druga kategoria, osoby, które nie tylko mają cele, ale też robią wszystko, aby je zrealizować. Milena Wiśniewska należy do tych drugich. W lipcu 2024 r. spełniło się jej marzenie o własnej wystawie na zamku w Przezmarku. Teraz czas na kolejne zadanie: stworzenie w swojej rodzinnej miejscowości domu pracy twórczej.

Agnieszka Świercz-Karaś: Na miejsce ostatniej wystawy wybrała pani Przezmark, choć nie jest to pani miejsce zamieszkania. Skąd taki pomysł?

Milena Wiśniewska: Obecnie mieszkam w Toruniu. Do Przezmarku jednak wrócę jeszcze na stałe. Na razie każdy wolny czas spędzam tutaj. To miejsce jest wyjątkowe. Przyroda, jezioro, lasy... myślę, że stąd też się wzięła moja wrażliwość na piękno i umiłowanie natury. Uwielbiam obserwować przyrodę. Zamierzam stworzyć tu takie miejsce, które tworzę obecnie w Toruniu. Na starówce mam swoją pracownię i galerię ceramiki i malarstwa. Zapraszam tam do współpracy innych artystów. Wraz z dziewczynami tworzymy w Pracowni MIŁA wyjątkowe dzieła, są tradycyjne pamiątki oraz unikatowe wyroby malarskie i ceramiczne.

Moim marzeniem jest jednak stworzenie tak zwanego domu twórczego w Przezmarku. Chciałabym, aby było to miejsce, w którym bym mieszkała, w którym miałabym pracownię malarską, ceramiczną, sale, w których mogłabym prowadzić warsztaty i zapraszać do współpracy innych ludzi. Chodzi o warsztaty rozwojowe, gdzie można połączyć sztukę wraz z rozwojem osobistym czy malarstwem intuicyjnym.

Czym jest sztuka intuicyjna?

– Sztuka intuicyjna polega na tym, że wytworzenie dzieła nie jest celem. Celem jest sam proces tworzenia, aby móc się wyrazić i uwolnić emocje. To, co powstaje, to wartość dodana, malarstwo czy ceramika jest medium do przepracowania pewnych rzeczy i dotykania stref w sobie, których często nie możemy/nie potrafimy dotykać na co dzień.

Dlaczego warto dotykać te sfery?

– Warto, ponieważ wpływają bardzo na nasze życie, na nasze odbieranie świata, samopoczucie, a przede wszystkim na zdrowie psychiczne. Nie wynik jest ważny, ważne, aby przeżyć doznanie tu i teraz.

Czyli cieszyć się chwilą?

– Tak, dokładnie. Bycie w tu i teraz jest bardzo ważne.

Teraz jesteście w Przezmarku, w pani rodzinnym domu, do którego planuje pani wrócić.

– Ten budynek, przy którym stoimy, może mieć nawet 400-letnie fundamenty. Stąd pochodzili moi dziadkowie. W którymś momencie moi rodzice zdecydowali się wrócić do Przezmarku.



Artystka przy pracy

Marzy mi się, że kiedyś wszyscy tu osiadziemy. W moim wymarzonej Domu Twórczym. Ja ciągle zdobywam wiedzę. Na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu uczyłam się malarstwa sztalugowego i ściennego oraz witrażu. Teraz zbieram narzędzia, aby móc zrealizować swój pomysł. Zdobywam wiedzę i doświadczenie. Biorę udział w różnych kursach i staram się rozwijać. Miałam szczęście, bo po studiach trafiłam od razu do Pracowni Ceramiki Cud Alicji Bogackiej. Tam nauczyłam się nie tylko ceramiki, ale też zarządzania takim miejscem. Uczyłam się, jak sztuka łączy się z biznesem. Dla takiej osoby jak ja: latającej, artystycznej duszy, to było ważne doświadczenie. Teraz sama otworzyłam Pracownię MIŁA na starym mieście w Toruniu. Na jesień zaczynamy tam warsztaty, chcemy uczyć innych.

Malowidło ściennie wielkoformatowe, czyli potrafi pani tworzyć także graffiti?

– Tak, tylko narzędziem nie są spreje, a pędzel i farba, bo tak mi najłatwiej operować. Takie życie pełne

pasji. Zresztą pasji mam dużo. Jedną z nich jest orientalny taniec brzucha, który ćwiczę już 9 lat. Jest to wspaniały przykład, jak poprzez ruch można się pięknie wyrażać. To taka medycyna naturalna. Jest to odprężające, relaksujące, kobiece. Uprawiam też jogę i medytuję. To mój świat, w którym znajduję spokój i równowagę. Dużo jest bodźców wokół mnie. Zwłaszcza teraz, kiedy prowadzę swój biznes, potrzebuję tej równowagi.

Jeżeli chodzi o taniec, jogę, to ja wierzę, że ciało jest świątynią naszej duszy, a w zdrowym ciele zdrowy duch. Ważne jest, żeby z tym ciałem dobrze się zapoznać i spędzać czas z samym sobą, aby móc się docenić, przytulić, odpocząć.

Myszę, że w dzisiejszych czasach jest to bardzo trudne, aby móc osiągnąć taki spokój.

– Tak, ale czasem naprawdę 15 minut wystarczy. W dzisiejszych czasach jest to o tyle łatwiejsze, że można sobie w internecie wyszukać zajęcia np. „15 minut jogi” i nie musimy nigdzie wychodzić. Na własnym dywanie można pooddychać i wyciszyć się. Polecam spróbować. Często czujemy opór, ale jak już się do tego zasiądzie, to dopiero doceniamy spokój jaki to daje.

Jest też medycyna naturalna, którą rozumiem jako język natury, gdzie doceniamy np. mowę i właściwości roślin, jakie rosną wokół nas. Miłość do roślin oddziedziczyłam zresztą chyba po mamie (przypis autora* rozmowę przeprowadzono w pełnym roślinności, pięknym ogrodzie domu rodzinnego pani Mileny), która nie tylko sieje, ale też suszy i zaplata. Ma to w sobie dużo magii dawnych wierzeń słowiańskich. Taki powrót do korzeni.

Korzenie to też tytuł pani wystawy, którą w sierpniu można było podziwiać na najwyższym piętrze zamkowej wieży w Przemarku.

– Wystawa w Przemarku była dla mnie bardzo ważna, bo moje serce bije właśnie tutaj i wystawienie swoich prac w tym miejscu było jednym z moich marzeń. Chciałam, aby cała moja rodzina mogła w tym uczestniczyć. Marzyło mi się, aby mogli na nią przyjść ludzie z okolic i po prostu cieszyć ze mną obrazami i tym projektem, który mogłam tworzyć.

Dziękuję państwu Jolancie i Ryszardowi von Pilachowskiemu, że pozwolili mi skorzystać z tej wspaniałej przestrzeni. Na realizację mojej wystawy zdobyłam w tym roku stypendium kulturalne Starostwa Powiatowego w Sztumie.

Jako wątek przewodni swoich ostatnich prac wybrała pani legendy, to był łatwy temat?

– Wypożyczyłam kilka książek w bibliotece w Starym Dzierzgoniu i te historie mi się spodobały. Czytałam i co chwilę czułam, jak mi się oczy zaczynają świecić. Wiedziałam od razu, jak te obrazy mogę ja przedstawić i z lekkością powstawały kolejne prace. Nie ukrywam, że najlepiej malowało mi się godzinami wieczornymi i nocnymi. Ma to związek z ciszą i spokojem, jaki wówczas zapada. Mogę się wtedy skupić i tworzyć. Czasem potrafiłam namalować obraz jednym ciągiem siedząc od 15 do 1 w nocy. A czasem malowałam po dwie godziny i robiłam sobie przerwy. Wszystko zależało od dnia. Powstała wystawa „Korzenie”.

Wszystko można pięknie połączyć. Kolejny krok w drodze do marzeń.

Dziękuję za rozmowę

Milena Wiśniewska pochodzi z Przechmaru. Przyszła na świat w 1993 r. Ukończyła studia magisterskie na kierunku Malarstwo Sztalugowe na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Obecnie w tym samym mieście przy ul. Most Pauliński 14 prowadzi Pracownię i Galerię MIIŁA. Jej prace w sieci podziwiać można m.in. na profilu: Milena Wiśniewska – Malarstwo.

Wybrane wystawy

Indywidualne:

- „Kawatek siebie” Galeria „Mała”, Grudziądz, luty 2016 r.
- „Dwa spojrzenia” Galeria Homo Faber, Solec Kujawski, luty 2027 r.
- „Lapis Lazuli” Galeria Centrum Kultury Teatr, Grudziądz, styczeń 2023 r.
- „Aż kobieta” Galeria Homo Faber, Solec Kujawski, luty 2024 r.
- „Korzenie” Zamek w Przechmaru, sierpień 2024 r.
- „Poruszenia” Muzeum Etnograficzne w Toruniu, listopad 2024

Grupowe:

- „Wizytówka” galeria „Od nowa”, Toruń, czerwiec 2016 r.
- „Nowalijki” Ratusz Staromiejski, Toruń, lipiec 2016 r.
- „Sztuka to mój konik” Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu, wrzesień 2016 r.
- „IV Kazimierska PLENERIADA” Galeria STALOWA w Warszawie, styczeń 2017 r.
- „Erasmus Three” Atrio di Palazza Santa Rosalia, Palermo, Włochy, lipiec 2017 r.
- „Triennale jednego dzieła” Galeria Klub Centrum w Grudziądzu, czerwiec 2022 r.



Miłość, 50x40 cm, akryl na płótnie, 2023

Piotr Napiwodzki



PATRONKA DZIERZGONIA I JEJ WIZERUNKI – PODSUMOWANIE

Gdy Ernst Kantorowicz w słynnej biografii Fryderyka II (1194–1250) opisuje podróż tego cesarza po ziemiach niemieckich w latach 30. trzynastego wieku, podkreśla efekt, jaki na Zachodzie wywoływała szeroko pojęta egzotyka sprowadzona z Południa i Wschodu. Cesarz Fryderyk demonstrował poddanym całą „bajkową wspaniałość” tych do czasów krucjat nieznanymi ziem, co onieśmiało, fascynowało i w dużej mierze przesądzało o jego politycznych i dyplomatycznych sukcesach. Magia tego, co odległe, a co kojarzono jednoznacznie z nieznanymi dotychczas na Zachodzie przepychem Wschodu, stanowiła jeden z filarów ugruntowywania pozycji cesarza i budowania jego Imperium¹.

Trzeba tu także wspomnieć o wydarzeniach, które rozegrały się około dwadzieścia lat wcześniej. Czwarta krucjata nie dotarła do Ziemi Świętej, ale skończyła się złupieniem Konstantynopola (1204). Wielka ilość skarbów Wschodu znalazła się wówczas na Zachodzie i już wtedy pobudzała wyobraźnię i tęsknoty za potęgą, bogactwem i przepychem. W takim kontekście dochodzi również do piątej wyprawy krzyżowej (1217–1221), która tym razem, na skutek różnych okoliczności, kieruje się do Egiptu. Krzyżowcy oblegają Damiettę, zdobywają tę twierdzę w 1219 roku. Zaznaczmy od razu, że piąta krucjata stała się ważnym punktem odniesienia dla rycerzy zakonu krzyżackiego. Zakon ten podczas walk o Damiettę zdobył uznanie w oczach zachodnich feudałów, a sława i dobra opinia doprowadziły wkrótce do nowych darowizn i nadań w Europie. Krucjata skończyła się niepowodzeniem, ale dzięki niej oczy ludzi Zachodu kierują się na Egipt, a tam, między innymi, dostrzegają oni klasztor św. Katarzyny na Synaju. Wraz z rycerzami do Egiptu docierają pielgrzymi, opisują to, co widzą i przeżywają, a to z kolei oddziałuje na różnych płaszczyznach na tych, którzy zostali w Europie². Z pewnością również, a może nawet przede wszystkim, na ich religijność i związane z nią wyobrażenia. Jednym z niemieckich pielgrzymów jest Thietmar, autor „Liber peregrinationis”. W roku 1218 udaje się on do klasztoru świętej Katarzyny na Synaju, a szczegółowy opis tej podróży był chętnie kopiowany i czytany zwłaszcza w krajach niemieckich.

Według podań pierwszą kaplicę u stóp góry Synaj zbudowała cesarzowa Helena, a więc kult chrześcijański rozpoczął się w tym miejscu prawdopodobnie już w IV wieku. Klasztor powstał w czasach cesarza Justyniana I, około 530 roku. Chroniony tak zwanym

¹ Ernst Kantorowicz, *Fryderyk II. 1194–1250*, Oświęcim 2017, zwłaszcza s. 301–303.

² Por. Anastasia Drandaki, *Through Pilgrims' Eyes: Mt Sinai in Pilgrim Narratives of the Thirteenth and Fourteenth Centuries*, w: „Deltion tes Christianikes Archaialogikes Hetaireias”, Ser. 4, vol. 27 (2006), s. 491–504.

„Testamentem Mahometa” klasztor mógł trwać i się rozwijać w coraz bardziej muzułmańskim otoczeniu. W X wieku w klasztorze przechowywano już relikwie świętej Katarzyny Aleksandryjskiej, według legendy cudownie przeniesione na górę Synaj przez aniołów. Legenda ta to pierwsze świadectwo o Katarzynie, tak zwane „Passio”, dzieło, które powstało na Wschodzie w VI/VII wieku, a od wieku VIII obecne było także na Zachodzie w wersji łacińskiej. Chociaż z „Passio” dowiadujemy się o przeniesieniu relikwii Katarzyny na górę Synaj, to jednak Epifaniusz Mnich (Epifaniusz z Konstantynopola), który odwiedził klasztor na Synaju przed rokiem 820, nie wspomina jeszcze ani słowem o świętej Katarzynie³. Sprawa jest więc skomplikowana i w zasadzie musimy pogodzić się z faktem, że metody historyczne są w przypadku świętej Katarzyny Aleksandryjskiej, męczennicy z początku IV wieku, całkowicie bezradne.

Pewnym jest natomiast, że właśnie z X wieku, z okresu ożywienia kultu Katarzyny, pochodzą pierwsze znane przedstawienia tej świętej. Do dzisiaj w klasztorze na Synaju przechowywane jest wiele wspaniałych ikon. Musieli również zetknąć się z nimi trzynastowieczni pielgrzymi z Zachodu. Wizerunki Katarzyny Aleksandryjskiej z XI i XII wieku jednoznacznie wpisują tę świętą w poczet świętych władczyń, wzmacniają skojarzenie świętości z przepychem cesarstwa bizantyjskiego. Święta Katarzyna przedstawiana jest często razem ze świętą Ireną i świętą Barbarą. Być może w każdym z tych przypadków chodzi o męczennice z IV wieku, ale święta Irena była niewątpliwie kojarzona również ze świętą cesarzową bizantyńską, która w latach 797–802 sprawowała samodzielnie rządy jako pierwsza kobieta w historii Bizancjum i odegrała ważną rolę w walce z ikonoklazmem (czyli z nurtem odrzucającym możliwość tworzenia ikon i postulującym ich niszczenie). W każdym razie wszystkie trzy święte występują często w szatach cesarskich i w takiej formie i w takim zestawieniu oddziałują na wyobraźnię pielgrzymów z Zachodu, gdzie z wielką siłą odżywa tęsknotą za nowym chrześcijańskim imperium, które ostatecznie zdobędzie Jeruzolimę i zaprowadzi powszechny pokój.

Pamiętajmy, że wiek XII i XIII obfituje w millenarystyczne ruchy zapowiadające nadejście nowego tysiącletniego królestwa. Swoje posłannictwo w tym aspekcie odkrywają tak cesarze, jak i ubodzy naśladowcy św. Franciszka z Asyżu, tak mnisi wyruszający na misje, jak i rycerze biorący udział w krucjatach. Stary świat zdaje się przemijać i oto powstają szanse dla tego, co nowe, o wiele wznioślejsze i wspanialsze, bo przynależące do epoki Ducha.

Nie dziwi zatem, że w takiej atmosferze postać św. Katarzyny stała się wyjątkowo atrakcyjna i chętnie przyjmowano ją jako patronkę nowych przedsięwzięć. W przypadku zakonu krzyżackiego przywoływała pamięć o piątej wyprawie krzyżowej, która przyniosła zakonowi wiele wizerunkowych korzyści. Ponadto, ze swoją cesarską szatą, nawiązywała, przynajmniej na początku tworzenia się państwa zakonnego, do postaci głównego protektora zakonu – cesarza Fryderyka. Jej splendor miał zapowiadać wspaniałość nowych przedsięwzięć planowanych na zdobytych ziemiach, miał olśniewać i onieśmielać na równi z krzyżackimi zbrojami i zamkami. Miecz jako atrybut świętej musiał szczególnie przypaść do gustu zakonowi rycerskim. Nic dziwnego, że dla Dzierzgonia czy Działdowa wybrano tę właśnie patronkę.

Ponadto kult świętej Katarzyny rozwinął się dzięki pielgrzymom i to jej poświęcano w średniowieczu kaplice zakonów opiekujących się pątnikami, a więc właśnie kaplice

³ Por. *LThK (Lexikon für Theologie und Kirche)*, 1961, VI, 60–61.

„szpitalników”. Nie inaczej było z zakonem krzyżacki – to w końcu Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie.

Warto również zwrócić uwagę, że na ziemiach podbijanych przez krzyżaków obecni byli także dominikanie, na początku nawet w charakterze biskupów, a ci zakonnicy darzyli świętą Katarzynę wielką estymą ze względu na jej patronowanie teologom i filozofom (święta Katarzyna została na przykład patronką paryskiej Sorbony – uniwersytetu, który dominikanie, na czele ze św. Tomaszem z Akwinu,

„szturmowali” z sukcesem w XIII wieku). Wśród atrybutów świętej, obok koła, miecza i korony, pojawia się przecież także księga. Jak dostrzegają to dzisiejsi badacze, w wizerunku Katarzyny Aleksandryjskiej można dostrzec wiele rysów pogańskiej Hypatii, aleksandryjskiej uczonej zamordowanej na skutek intrygi uknutej przez biskupa Aleksandrii, Cyryla; pamięć o Katarzynie stanowiłaby więc swego rodzaju zastępcze wspomnienie Hypatii: to niejako trwały wyrzut sumienia, a zarazem włączenie w chrześcijański system tego, co wcześniej jawiło się mu jako wrogi i obce. Z podobną sytuacją intelektualną i społeczną mamy do czynienia w wieku XIII – recepcja arystotelizmu wzbudza na Zachodzie wielkie kontrowersje, przebiega z wielkimi oporami, ale ostatecznie nadaje nową dynamikę dalszemu rozwojowi filozofii i nauki. Patronką tych przemian może być właśnie święta Katarzyna tak często przedstawiana w sztuce późnego średniowiecza.

Nie inaczej rzecz się ma w renesansie – Katarzyna Aleksandryjska (czasami nieodróżniana już od Katarzyny Sieneńskiej [+ 1380] – czternastowiecznej dominikańskiej mistyczki gwałtownie napominającej papieża, a być może także od Katarzyny z Bolonii [+ 1463], Katarzyny z Genui [+ 1510] czy Katarzyny ze Szwecji [+ 1381]) jest kluczową postacią wielkich przemian, co najlepiej ilustruje jej miejsce na fresku „Sądu Ostatecznego” Michała Anioła – wpleciona w wielką historiozbowczą i apokaliptyczną wizję jest postacią graniczną, na tyle pierwszoplanową, że nawet późniejsze jej „ukrycie” przez domalowanie szat wzmacnia jedynie jej wyjątkową pozycję⁴. Ma również swoje miejsce w zmaganiach z protestantyzmem, gdyż odnajdujemy ją w tryumfalnej wizji katolickiej kontrreformacji u Tintoretta, w jego „Chwale Raju” w Pałacu Dożów w Wenecji⁵.

Renesans tak chętnie nawiązujący do kultury pogańskiej, posługujący się horoskopami i szukający w gwiazdozbiorach wskazówek i przepowiedni, przywołujący postaci i sceny z mitologii, staje się szczególnie wrażliwy na postać Fortuny, której posąg (często z kołem) pojawiał się na placach i w świątyniach starożytnych pogańskich miast, szczególnie Rzymu⁶. Męczeńskie koło Katarzyny łatwo staje się kołem Fortuny, symbole się przenikają



Fragment greckiej mozaiki z XI wieku przedstawiający św. Ireneę, św. Katarzynę i św. Barbarę

⁴ Por. „Prowincja” 3 (53) 2023, s. 112–118.

⁵ Por. „Prowincja” 4 (54) 2023, s. 78–82.

⁶ Pierre Grimal, *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*, Wrocław 1987, s. 106.

i ząbają, nadając wizerunkom Katarzyny nowe znaczenia i nową siłę. Jej rzeźba w Dzierzgoniu autorstwa Zbigniewa Chrostka także łączy już te dwa odniesienia⁷.

Katarzyna już dawno oddzieliła się od tego, co pierwotnie symbolizowała, jej postać stała się pretekstem do przedstawiania zupełnie nowych treści i do eksperymentów czysto formalnych. To z kolei przywołuje nowe treści i łączy je ze sposobem ich prezentacji. Mamy więc do czynienia z klasycznym już, dwubiegunowym rozumieniem przedstawienia symbolicznego: z jednej strony magiczno-łączącym, gdzie symbol zlewa się z symbolizowanym (jak w ikonach), z drugiej strony z logiczno-rozdzielającym, gdzie pomiędzy symbolem a tym, co symbolizowane, zachodzi stosunek rozłączności (jak w wielu współczesnych próbach transpozycji tematu)⁸. Tak więc pomimo sekularyzacji czy też dramatycznie postępującej powszechnej ignorancji w sprawach sztuki czy estetyki, postać Katarzyny Aleksandryjskiej będzie nieustannie inspirować artystów do tworzenia przestrzeni dla nowych powiązań znaczeniowych i treściowych, a dla odbiorców sztuki stanie się prawdziwie hermeneutycznym wyzwaniem, osadzając doświadczenie estetyczne w perspektywie „stapiania się horyzontów”: „Rozumieć możemy tylko wtedy, gdy ściera się nasz i cudzy punkt widzenia. I w tym sensie może człowiek prowadzić rozmowę z tradycją, że obcy horyzont i jego własny wzajemnie się splatają i stapiają”⁹. Pozostaje mieć nadzieję, że tego typu konfrontacja z dziełami sztuki nie będzie dla nas czymś meczącym i irytującym, ale satysfakcjonującym i owocnym.

⁷ Por. „Prowincja” 1 (55) 2024, s. 195–198.

⁸ Por. Friedrich Theodor Vischer, *Symbol*, tłum. P. Napiwodzki, w: „Stan Rzeczy”, 2015, s. 17–34.

⁹ M. Potępa, *Rozumienie, podmiot, język w filozoficznej hermeneutyce*, w: *Studia z filozofii niemieckiej. Tom I. Hermeneutyczna tożsamość filozofii*, s. 145.

Czego ci matka nie powie...

Paulina Hoppe-Gołębiewska



MAGIA WIECZORNEGO CZYTANIA: ODKRYWANIE ŚWIATA KSIĄŻEK Z DZIEĆMI

Wspomnienia z dzieciństwa mają tę niezwykłą właściwość, że nabierają z czasem coraz większego znaczenia. Kiedy myślę o swoich pierwszych krokach na literackiej ścieżce, widzę przed sobą małą dziewczynkę, która z trudem składała litery w słowa, a słowa w zdania. Nauka czytania była dla mnie trudnym procesem, pełnym frustracji i znudzenia. W świecie pełnym kuszących bodźców – gier, zabaw na świeżym powietrzu, a nawet bajek w telewizji – litery na kartach książek wydawały się mniej interesujące. Pamiętam, jak z niechęcią podchodziłam do lektur szkolnych, nie widząc w nich nic poza obowiązkiem. Czytanie było narzucone, a ja, jak większość dzieci, niechętnie poddawałam się temu przymusowi. Jednak jeden dzień odmienił wszystko – dzień, w którym mój starszy brat zabrał mnie do biblioteki w Klubie Garnizonowym w Malborku.

Do dziś pamiętam ten moment, gdy po raz pierwszy przekroczyłam progi biblioteki. Zaciemniony hol, wejście na piętro, korytarz z długim chodnikiem pośrodku, zaszkłone gabloty na ścianach i ten niepowtarzalny zapach – zapach książek, który jakby unosił się w powietrzu, wypełniając każdą szczelinę. Ten zapach papieru, drewna i cichego szelestu stron przetrwał w mojej pamięci do dziś. Biblioteka stała się dla mnie miejscem magicznym, pełnym tajemnic i nieodkrytych historii. Atmosfera, która panowała w tym miejscu – dominujący brąz, bordowe chodniki tłumiące kroki, cisza i spokój – wprowadzała mnie w stan oczekiwania na coś niezwykłego.

To właśnie tam, wśród równych rzędów regałów, pełnych przeróżnych książek, pierwszy raz sięgnęłam po „Opowieści z Narnii”. Był to przełomowy moment. Dwa opasłe tomy, ozdobione pięknymi ilustracjami, które przemówiły do mojej wyobraźni i przeniosły mnie do świata pełnego magii, przygód i niesamowitych postaci. Wcześniej książki były dla mnie zbiorem słów, które musiałam zrozumieć i zapamiętać. „Opowieści z Narnii” pokazały mi, że książki mogą być portalem do innych światów, miejsc, gdzie wyobraźnia nie zna granic.

Tamtego dnia moja relacja z książkami zaczęła się zmieniać. Już nie były one tylko szkolnym obowiązkiem, lecz drzwiami do przygód, które mogłam przeżywać w zaciszu swojego pokoju. Każda kolejna wizyta w bibliotece była jak podróż do nieznanego kraju – nie wiedziałam, jakie skarby znajdę, jakie historie będą na mnie czekać. Biblioteka stała się moim ulubionym miejscem, gdzie mogłam na chwilę oderwać się od codzienności i zanurzyć w świecie literatury.

Nieco później, jako nastolatka, odkryłam twórczość Dean’a Koontz’a. „Opiekunowie”. Książka, która mnie pochłonęła, była początkiem mojej literackiej fascynacji thrillerami. Przeczytałam wszystko, co było dostępne w bibliotece, napisane przez tego autora. Każda nowa historia była jak kolejna odsłona niesamowitego filmu, którego nie mogłam przestać

oglądać. Wciągały mnie fabuły pełne napięcia, zaskakujących zwrotów akcji i bohaterów, którzy wplątani w niezwykle wydarzenia, zawsze ostatecznie odnajdywali światło. Koontz stał się pierwszym autorem, którego twórczość poznałam tak dokładnie, że po pewnym czasie musiałam od niego odpocząć. Jednak to właśnie on nauczył mnie, że książki mogą być równie emocjonujące jak najlepsze filmy.

To właśnie wtedy zaczęła się moja prawdziwa przygoda z literaturą, która stała się dla mnie nieodłącznym elementem codzienności, sposobem na relaks, a jednocześnie na rozwijanie wyobraźni i umiejętności myślenia. Samodzielne odkrywanie dalekich krain, różnych historii, wdychanie do bohaterów i głowienie się nad zagadkami stało się moim wyznacznikiem weekendów czy popołudniowego czasu poza szkolnymi obowiązkami. To był mój sposób na oderwanie się od rzeczywistości, na wędrowkę w światy, gdzie wszystko było możliwe. Jednak dorosłe życie, z jego obowiązkami i pośpiechem, zepchnęło literaturę na dalszy plan.

Kiedy urodził się mój syn Szymon, poczułam, że nadszedł czas, aby ponownie odkryć magię książek. Tym razem z nową misją – by wprowadzić w ten świat moje dziecko. Już od pierwszych chwil jego życia zaczęłam szukać książek, które mogłyby być odpowiednie do czytania maluchowi. Wiedziałam, jak ważne jest, aby od najmłodszych lat otaczać dziecko słowem pisanim. Początkowo były to książeczki czarno-białe, przeznaczone dla niemowląt – proste, kontrastowe obrazki, które miały stymulować rozwój wzroku. Później przyszła kolej na kolorowe książeczki obrazkowe, które stały się naszym codziennym rytuałem.

Te pierwsze książeczki, choć proste, miały ogromne znaczenie. Oglądanie razem obrazków, liczenie ptaszków, szukanie koparek na każdej stronie – te chwile pełne radości i śmiechu stały się fundamentem naszej relacji. Do dziś leżą na półkach moich chłopaków i choć są już zniszczone od częstego używania, nie pozwolę ich wyrzucić. Mają dla mnie wartość sentymentalną, przypominają o tych pierwszych wspólnych chwilach, kiedy to książki były mostem łączącym nasz mały, rodzinny świat.

Jednak, jak to mam w zwyczaju, szybko poszłam o krok dalej. Nabyłam pierwszą książkę z historyjką do czytania na dobranoc. Była to „Snów kolorowych, placu budowy” autorstwa Sheri Duskey Rinker, wydana przez Naszą Księgarnię. Książka ta stała się u nas prawdziwym hitem, i do dziś jest jedną z najbardziej poszukiwanych przez rodziców. Nic dziwnego – barwne ilustracje, rymowana opowieść i urocze postacie maszyn budowlanych tworzą doskonale prelude do wieczornego zasypiania. Codziennie, po dniu pełnym zabaw, budowy i śmiechu, wielkie maszyny budowlane szykowały się do snu, a my z Szymonem zegnaliśmy je klasycznym „Cśśś...”, które stało się naszą małą, wieczorną mantrą.

Te wspólne chwile, kiedy siedzieliśmy razem i czytaliśmy książki, stały się jednym z najpiękniejszych wspomnień mojego wczesnego macierzyństwa. Czasem, zamykając oczy, widzę siebie jako stróża na budowie, który z termosem ciepłego oleju chodzi od maszyny do maszyny, pomagając im znaleźć miejsce na sen, a za mną podąża mój mały syn w piżamce, ze smoczką w buzi i pieluszką pod pachą, powtarzając cicho „Cśśśś...”. Te chwile wypełniają moje serce ciepłem, są dowodem na to, że książki mają moc zbliżania ludzi, tworzenia niezapomnianych więzi i budowania wspomnień, które przetrwają całe życie.

Choć dziś Szymon jest już starszy i nie czytamy o maszynach budowlanych, wieczorny rytuał czytania pozostał. Teraz sięgamy po bardziej skomplikowane historie, które rozwijają jego wyobraźnię i wzbogacają słownictwo. Cieszy mnie, że mimo wieku, nadal czerpie radość z wspólnego czytania, a nasze wieczory z książką są dla niego równie ważne, jak dla mnie.

Warto jednak zauważyć, że książki, które kupujemy dla naszych dzieci, to nie tylko narzędzie do rozwoju i wspólnego spędzania czasu, ale także potencjalna inwestycja. Rynek książek dla dzieci, zwłaszcza tych dobrze wydanych, z pięknymi ilustracjami i wartościową treścią, jest bardzo dynamiczny. Wiele książek, zwłaszcza tych, które były wydane w ograniczonym nakładzie, z czasem zyskuje na wartości. W momencie, gdy nakład się wyczerpie, ceny egzemplarzy dostępnych na rynku wtórnym mogą gwałtownie wzrosnąć, często przekraczając kwotę 200 zł.

Klasyczne tytuły, które od lat cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem, jak „Snów kolorowych, placu budowy” czy „Gruffalo” Julii Donaldson, są doskonałym przykładem książek, które mogą stać się cenną pamiątką, a jednocześnie źródłem zysku. Warto więc, kupując książki dla naszych dzieci, pomyśleć o nich nie tylko jako o narzędziach do rozwijania ich wyobraźni, ale także jako o potencjalnych inwestycjach. Kto wie, może za kilka lat książeczka, którą kupiliśmy za kilkanaście złotych, stanie się poszukiwaną perłą na rynku kolekcjonerskim?

Czytanie przed snem ma nieocenione znaczenie dla rozwoju dziecka. Pomaga zredukować lęki, wyciszyć się przed snem, a także poprawia jakość snu. Każda wspólnie przeczytana książka to kolejny krok w stronę rozwijania umiejętności językowych, koncentracji i myślenia abstrakcyjnego. Co więcej, te chwile pomagają nam, rodzicom, na nowo odkryć magię literatury, a także cieszyć się bliskością naszych dzieci, zanim dorosną i wyfruną z rodzinnego gniazda.

Wieczorne czytanie to nie tylko sposób na spędzenie czasu – to inwestycja w przyszłość naszych dzieci i w naszą relację z nimi. Wspólne przeżywanie emocji, odkrywanie nowych światów i rozmawianie o tym, co przeczytaliśmy, buduje więź, która przetrwa całe życie. A książki, które dziś czytamy naszym dzieciom, mogą kiedyś stać się cennymi pamiątkami, przypominającymi o tych wspólnych chwilach.

Dlatego warto pielęgnować tę tradycję i czerpać z niej jak najwięcej radości. Bo książki to nie tylko zbiór słów na papierze – to brama do niekończącej się przygody, która zaczyna się na pierwszej stronie i trwa aż do ostatniego zdania. A każda taka przygoda, przeżyta wspólnie z dzieckiem, staje się bezcennym skarbem, który pozostanie w naszych sercach na zawsze.

Alicja Łukawska

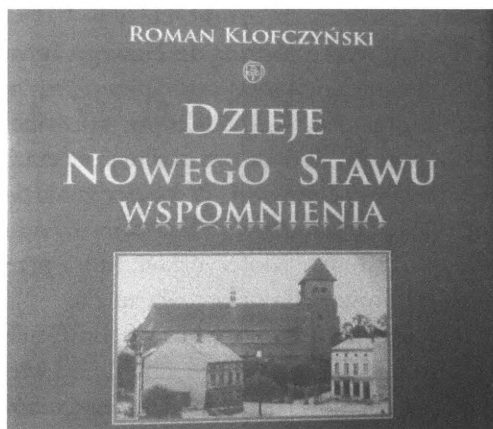
NOWY STAW WE WSPOMNIENIACH

Roman Kłofczyński, „Dzieje Nowego Stawu. Wspomnienia”, Nowy Staw 2024.

Wiosną tego roku samorząd Nowego Stawu wydał kolejną książkę o przeszłości tej gminy. Pierwsza taka publikacja, której autorami byli Wiesław Jedliński i Roman Kłofczyński, a która nosiła tytuł „Dzieje Nowego Stawu”, wyszła w 2009 roku. Jej tematyką była historia Nowego Stawu do 1945 roku oraz historia różnych miejskich instytucji po 1945 roku (poczta, szkoły, sklepy, zakłady pracy, itp.).

Książka „Dzieje Nowego Stawu. Wspomnienia” to drugie z kolei wydawnictwo nowostawskiego samorządu poświęcone historii miasta i gminy. Celem wydania tej publikacji była próba uchronienia od zapomnienia pierwszego, najtrudniejszego okresu tworzenia i utrwalania na nowo polskości na tym kawałku Żuław.

– Tym razem ocalamy od zapomnienia głosy tych, co na trwałe zaznaczyli ślad swojego bytowania na nowostawskiej ziemi. Powiększamy krąg słuchaczy opowieści, które być może przedstawiane były już w czasie rodzinnych spotkań, opowieści o tym, jak bieda, głód i trudne warunki życia zmuszały do opuszczania swoich rodzinnych stron, opowieści o pracy i o szkole, o radościach i upokorzeniach, o dzieciństwie i młodości, o strachu i poczuciu bezpieczeństwa. Przeżyjemy o bardzo trudnych decyzjach wyjazdów z Kresów Wschodnich, o wygnanych i wysiedlanych. Razem z autorami wspomnień przemierzmy tysiące kilometrów i cudem przeżyjemy, żeby dotrzeć tutaj – do



Nytychu, do Nowego Stawu. Czytamy wypowiedzi pełne emocji i wzruszeń. Czytamy je w czasach, kiedy coraz mniej świadków naszej wspólnej historii żyje wśród nas – napisał we wstępie Jerzy Szałach, burmistrz Nowego Stawu.

W książce zebrano 60 (sześćdziesiąt) wspomnień zarówno mieszkańców miasta Nowy Staw, jak i wiosek tworzących gminę Nowy Staw (m. in. Brzózki, Dębina, Kącik, Laski, Lipinka, Mirowo, Myszewo, Pręgowo, Świerki, Tralewo). Większość z zamieszczonych tam tekstów to opowieści Polaków, choć jest także kilka relacji miejscowych autochtonów, którzy czasem mieli nawet polskie korzenie lub polskie nazwiska, a ich przodkowie przybyli na Żuławę z Kociewia lub Kaszub w czasach zaboru pruskiego lub Wolnego Miasta Gdańska.

Są tam historie tych, którzy znaleźli się tu nie z własnej woli, a zostali zmuszeni do przyjazdu na Ziemie Odzyskane (np. Wołyniacy, którzy grupowo osiedli w Dębiniu pod Nowym Stawem); są też opowieści tych,

których do przybycia tutaj zmusiła powojenna bieda w ich małych ojczyznach (Kielecczyzna, Rzeszowszczyzna, Krakowskie); są również historie Polaków, którzy przybyli na Ziemię Odzyskane po prostu w celu poprawy własnego losu, szukając tu swojego nowego domu i lepszej pracy, jak np. dziadek Autora, Tadeusz Cymański, który w 1945 r. przyjechał wraz z rodziną do Nowego Stawu z Pelplina na Kociewiu i został pierwszym po wojnie organistą w kościele pw. św. Mateusza Apostoła, dodatkowo pracując na etacie w miejscowej cukrowni. W książce znajdziemy opowieść jego córki, a jednocześnie matki Autora, Teresy Klofczyńskiej, która przez wiele lat prowadziła miejscową aptekę.

Na „Dzieje Nowego Stawu. Wspomnienia” składają się relacje rolników i robotników wiejskich, urzędników i nauczycieli, rzemieślników i kupców, a także pracowników licznych zakładów pracy, w czasach PRL-u znajdujących się w Nowym Stawie, który spełniał niegdyś rolę ośrodka handlowo-edukacyjno-przemysłowego dla dużej części powiatu malborskiego. Dzięki znakomitym, chyba lepszym niż obecnie, połączeniom komunikacyjnym, na które składała się gęsta sieć kolejki wąskotorowej oraz często kursujących autobusów PKS, ludzie mogli docierać do Nowego Stawu do pracy, szkoły, urzędów i na zakupy z różnych żuławskich miejscowości.

Jedną z najciekawszych opowieści jest relacja nieżyjącego już Edwarda Cyrklaffa, którego ojciec Alojzy Cyrklaff z Gdyni był pierwszym przedstawicielem polskiej władzy w powojennym Nytychu. W maju 1945 r. starosta gdański mianował Cyrklaffa pierwszym wójtem Nytychu, jednak już w listopadzie został odwołany z tego urzędu.

Znajdziemy tu obrazowe opisy powojennego życia mieszkańców Nowego Stawu, które z jednej strony było bardzo trudne

i biedne, ale z drugiej barwne i kolorowe. Zwłaszcza starsi czytelnicy mogą w czasie lektury poczuć pewien sentyment za tym, co już bezpowrotnie minęło. – Czytając wspomnienia poczujemy smak posypanego solą chleba z olejem oraz smak czekolady w proszku z żółtej puszki UNRRA – pisze we wstępie Autor, który pytał swoich rozmówców m. in. o smaki i zapachy związane z dawnymi czasami.

Dzięki przedstawionym historiom, a także pewnemu sensualizmowi narracji, jest to książka zarówno lokalna, jak i uniwersalna. Za „swoją” mogą ją uznać chyba wszyscy mieszkańcy Ziemi Odzyskanych, których przodkowie w wielkim trudzie polonizowali i zagospodarowywali te tereny po II wojnie światowej. Ich doświadczenia życiowe były praktycznie identyczne z tym, co przeżywali ludzie w Nytychu/Nowym Stawie. To podobieństwo losów akcentują także zamieszczone w książce liczne fotografie obrazujące, jak żyli ludzie w początkach PRL-u. Trzeba jeszcze dodać, że ten ciężki wagowo (bo drukowany na grubym, kredowym papierze) tom jest bardzo elegancko wydany i po prostu piękny pod względem edytorskim.

Prace nad tą publikacją rozpoczęły się w 2017 r. Roman Klofczyński wraz z zespołem współpracowników (Teresa Jędrzejewska i Maria Schmidt) przeprowadzali i nagrywali wywiady, a ich spisывaniem zajmował się Szymon Musiaka (z ramienia urzędu). W pracy redakcyjnej pomagała także Dorota Klofczyńska, żona Autora. Książka została wydana w nakładzie 1000 egzemplarzy i była rozdawana za darmo wśród uczestników spotkań promocyjnych organizowanych przez samorząd Nowego Stawu. Obecnie jest jeszcze do kupienia w tamtejszym ośrodku kultury. Autor twierdzi, że jest planowana jeszcze jedna publikacja, która ma dotyczyć

powojennych archiwaliów związanych z Nowym Stawem.

Dobrze byłoby, gdyby inne samorządy na Żuławach (i nie tylko) poszły tą samą drogą i zadbały o historię swojej gminy,

przygotowując takie „księgi pamiątkowe” o swoich mieszkańcach i ich przodkach. To, co zapisane i wydrukowane na papierze, zostaje przecież z nami na zawsze. Brawo Nowy Staw!

Beata Langowska

GŁODNE KAWAŁKI

Janusz Ryszkowski, „Głodne kawałki, opowiadania małe i mniejsze”, Ridero 2024.

„Głodne kawałki” to trzydzieści opowiadań Janusza Ryszkowskiego, które ukazywały się w ciągu ostatnich czterdziestu lat w różnych czasopismach literackich, kulturalnych oraz na portalach internetowych. Książka została wydana w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero. Są to „opowiadania małe i mniejsze”, o czym czytelnik dowiaduje się zapoznając z podtytułem.

Na początku narrator przenosi odbiorców, wzorem bohatera „Madamme” Antoniego Libery, w szkolny świat, przypomina uczących go belfrów. Zamiast powieściowej nauczycielki języka francuskiego jest pani Zofia Dolińska, ucząca rysunków. W dalszej części opowiadania wspomniany został między innymi bunt robotników na Wybrzeżu w 1970 roku, opisane realia PRL-u. Te retrospekcje i wiele innych jeszcze pojawiły się z okazji zjazdu absolwentów.

Autor w kolejnych opowiadaniach „wciska” czytającemu następne „głodne kawałki”, jednak czytelnik musi mieć świadomość, że są one stylizowane na opowiadania autobiograficzne. Dajemy się zwieść, że bohater wpuszcza nas do swojego świata,



odkrywa się przed nami, oprowadza po znajomych współcześnie miejscach w Sztumie i okolicy – o czym świadczy, na przykład, że na miejscu dawnej apteki przy głównej ulicy jest dziś barber. Dalej prezentuje swoich kolegów i bliskich. Kto wie? Może ktoś odnajdzie w nich siebie? Kim jest jednak narrator? W jednym z opowiadań nosi ksywkę „Ryży”. Wydarzenia rozgrywają się w różnym czasie, czy zatem jest to ta sama postać? Rzuca zdania mimochodem, od niechcenia, że niby takie tam gadki – kto chce, niech wierzy. Nie można się jednak oprzeć myśli,

że mówi o samotności człowieka, wyobcowaniu, odosobnieniu z własnej woli lub przez przypadek. Dotykamy śmierci, miłości niespełnionej, romantycznej może... Nic nie jest jednoznaczne. Chodzi o to, aby się zatrzymać, przyjrzeć chwili i zastanowić, co jest w życiu ważne, czy warto o wszystko zabiegać? Na te pytania jednak każdy musi sam znaleźć odpowiedź.

W przewrotny sposób w pierwszym opowiadaniu autor szuka tematu, żeby zacząć pisać i to staje się pretekstem do niezauważalnego przejścia do kolejnych opowieści. W ostatnim „mniejszym” utworze jest znowu mowa o ciągłym poszukiwaniu ciekawego tematu do opisu. Zataczamy koło, autor mówi „Idziemy”, zatem zabiera czytelnika ze sobą. Obserwuje ulice, bawiące

się w parku dzieci, wybiera miejsca uczęszczane – na wszelki wypadek, gdyby zaśnął. Koniec spaceru jest sygnałem, że trzeba się rozstać. Okazuje się, że żadne słowa – żadne „głodne kawałki”, nie są w stanie odpowiedzieć wprost, co jest w życiu ważne, gdy zaczyna się samotność, i czy miłość daje gwarancję szczęścia? Autor sam przyznaje: „Ciagle bez mitologicznej nici w dłoni, dzięki której uda się przedrzeć przez labirynt cudzych i własnych słów. Tak już chyba pozostanie”.

Zachęcam do lektury „Głodnych kawałków”. Tytuł mylnie sugeruje, że są to brednie, banialuki, głupoty, mało ważne sprawy. Niech czytelnik po zapoznaniu się z tekstami sam zdecyduje, czy rzeczywiście tak jest.

Polecam.

Noty o autorach

Yael Bachrach-Barzilai – kończy obecnie studia magisterskie z zakresu studiów nad Holocaustem na Uniwersytecie w Hajfie (międzynarodowy program magisterski Weiss-Livnat). Od 2014 roku zajmuje się badaniem wydarzeń historycznych związanych z przeszłością jej rodziny oraz pisaniem na portalu www.archiv-log.com. Rodzina jej babki ze strony matki mieszkała w Prusach Wschodnich, a jej pradziadek Julius Krombach z żoną Nanny mieszkał przed wojną w Sztumie.

Wacław Bielecki – od 1947 roku mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Krzysztof Czyżewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztorą i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Paulina Hoppe-Gołębiowska – ur. w 1986 roku w Malborku, mieszkanka Sztumu od 2007 roku. Związana z fundacją Damy Radę, asystentka do spraw marketingu w Malborskiej firmie So Chic. W 2013 roku założyła blog pod nazwą Radość i Partyzantka. W 2021 przemianowała go na paulapisze.pl, gdzie w dalszym ciągu z dystansem pisze o codziennych sprawach.

Andrzej Kasperk – ur. w 1958 roku, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Alfred Kohn – ur. w 1960 r. w Makowie Mazowieckim. Animator i działacz kultury, poeta, redaktor, kolekcjoner starych zdjęć z Tarczyna i Makowa Mazowieckiego. Opublikował tomiki poetyckie: *Pegaz złagodniał* (1986), *(Nie)dzielne wiersze* (2000) i *Powroty* (2021) oraz trzy tomy Albumów Fotograficznych pt. *Tacy byliśmy jeszcze wczoraj... ziemia tarczyńska na starych fotografiach*. Wiersze swoje drukował w wielu czasopismach i almanachach literackich. Laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich. W latach 1989-1995 – dyr. Sztumskiego Ośrodka Kultury. Od 1 lipca 1996 r. kieruje Gminnym Ośrodkiem Kultury w Tarczynie k/Warszawy.

Sylwia Kubik – autorka poczytnych powieści obyczajowych osadzonych na Powiślu i Żuławach. Debiutowała w sierpniu 2019 roku. Tworzy zarówno powieści współczesne, jak i z tłem historycznym. Opublikowała do tej pory kilkanaście powieści. *Miłość pod naszym niebem* została uznana za Książkę Roku 2020 w kategorii proza polska. Zaś sama autorka za aktywne promowanie regionów otrzymała tytuł Osobowość Roku 2019 i 2020 w kategorii: Kultura, zaś w 2022 tytuł Ambasadorki Kultury Pomorza w kategorii: Kultura. Stypendystka Marszałka województwa warmińsko-mazurskiego w kategorii: Kultura. Mieszka w Dąbrówce Malborskiej, w gminie Stary Targ.

Beata Langowska – nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej w Wąplewie Wielkim. Poetka, w ramach Stypendium Kulturalnego Starosty Sztumskiego wydała tomik poetycki *Słowa szemrane*.

Andrzej C. Leszczyński – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor pięciu książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

Alicja Łukawska – ur. w 1959 roku, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, później pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka prasy lokalnej i krajowej, autorka książki *Duchy Kresów Wschodnich* wydanej w 2018 roku w wyd. von Borowiecky, współautorka książki *Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza*.

Krzysztof Marcinkowski – dr nauk humanistycznych, polonista, przez dwanaście lat (1999–2011) związany z Instytutem Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego jako nauczyciel akademicki. Aktualnie nauczyciel języka polskiego w Szkole Podstawowej Stowarzyszenia „Dzieci Autystyczne Razem” w Gdyni. Zainteresowania: podróże po tekstach kultury, muzyka jazzowa.

Bartosz Marguardt – ur. 1994 w Sztumie, absolwent ekonomii na UMK w Toruniu. Założyciel i redaktor strony na Facebooku, poświęconej historii Cieszymowa, skąd pochodzi. Pomysłodawca utworzenia Izby Pamięci w dawnej szkole w Cieszymowie.

Piotr Napiwodzki – ur. w 1972 roku w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006–2010 rektor Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. Ostatnio w Bibliotece Prowincji wydał *Małe obrazki, proste scenki. Powiślańskim szlakiem Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników* (2020). Od 2010 mieszka w Koślince koło Sztumu.

Piotr Opacian – podróżnik, kajakarz i fotograf przyrody, zainteresowany głównie Ameryką Południową, gdzie zorganizował już wiele wypraw. Za samotne przepłynięcie kajakiem Rio Madidi, znajdującej się w Amazonii Boliwijskiej, otrzymał statuetkę Kolosa 2005 i nagrodę dziennikarza. Podróżował również do Afryki, na Syberię, Spitsbergen. Instruktor kajakarstwa i członek Rady Kolorosów w kategorii Wyczyn Roku. Mieszka w Kwidzynie.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 roku. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Stefan Rusin – ur. w 1946 r., poeta, pisarz, krytyk literacki, plastyk (malarz, rysownik, grafik, plakacista). Opublikował kilkadziesiąt zbiorów wierszy, ostatnio „Bez retuszu” (Biblioteka „Toposu” 2023), zbiory szkiców i esejów, także związanych z regionem. Mieszka w Koninie.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 roku w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806–1945* (2014).

Ryszard Rząd – ur. w 1958 roku, historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 roku w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017), *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2018) oraz *Franciszek Baumgart. Osaczony bohater* (2024).

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 roku. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzonym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Marek Suchar – z wykształcenia psycholog oraz absolwent studiów z zakresu judaistyki i archeologii biblijnej, nauczyciel akademicki na sopockim Wydziale Uniwersytetu SWPS w Sopocie. Autor czterech książek i licznych artykułów poświęconych historii i teraźniejszości Jerozolimy. Ostatnio ukazała się drukiem jego powieść *Kwadrat jerozolimski*.

Agnieszka Świercz-Karaś – absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Od początku kariery zawodowej związana z samorządem i lokalnymi mediami. Wieloletnia redaktor naczelna „Nowin Gniewskich”, współpracowała m.in. z TVP i Wydawnictwem Pomorskim. Obecnie zatrudniona w Starostwie Powiatowym w Sztumie i zaangażowana w tworzenie nowego wydawnictwa „Dzień Dobry Powiat Sztumski”.

Arkadiusz Wełniak – ur. w 1973 roku, historyk archiwista, genealog. W latach 1999–2011 kustosz i kierownik Oddziału w Archiwum Państwowym. Od 2011 roku pracujący w branży usług archiwistycznych, dokumentacyjnych i genealogicznych, w międzynarodowej firmie GEN Gesellschaft w Berlinie. Aktywny członek Towarzystwa Genealogicznego Prus Wschodnich i Zachodnich. Publikował m.in. na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Przeglądu Zachodniego”, „Archeionu”, „Archiwisty Polskiego” oraz periodyków genealogicznych w Niemczech. Zainteresowania naukowe koncentrują się wokół problematyki polsko-niemieckiego pogranicza w XIX i XX wieku. Praca doktorska dotycząca kwestii migracyjnych, demograficznych i społecznych Elbląga w latach 1945–1950, obroniona na Uniwersytecie Gdańskim. Miłośnik muzyki, twórczości Günтера Grassa i literatury współczesnej.

Biblioteka Kwartalnika Prowincja



Leszek Sarnowski

FRANCISZEK BAUMGART

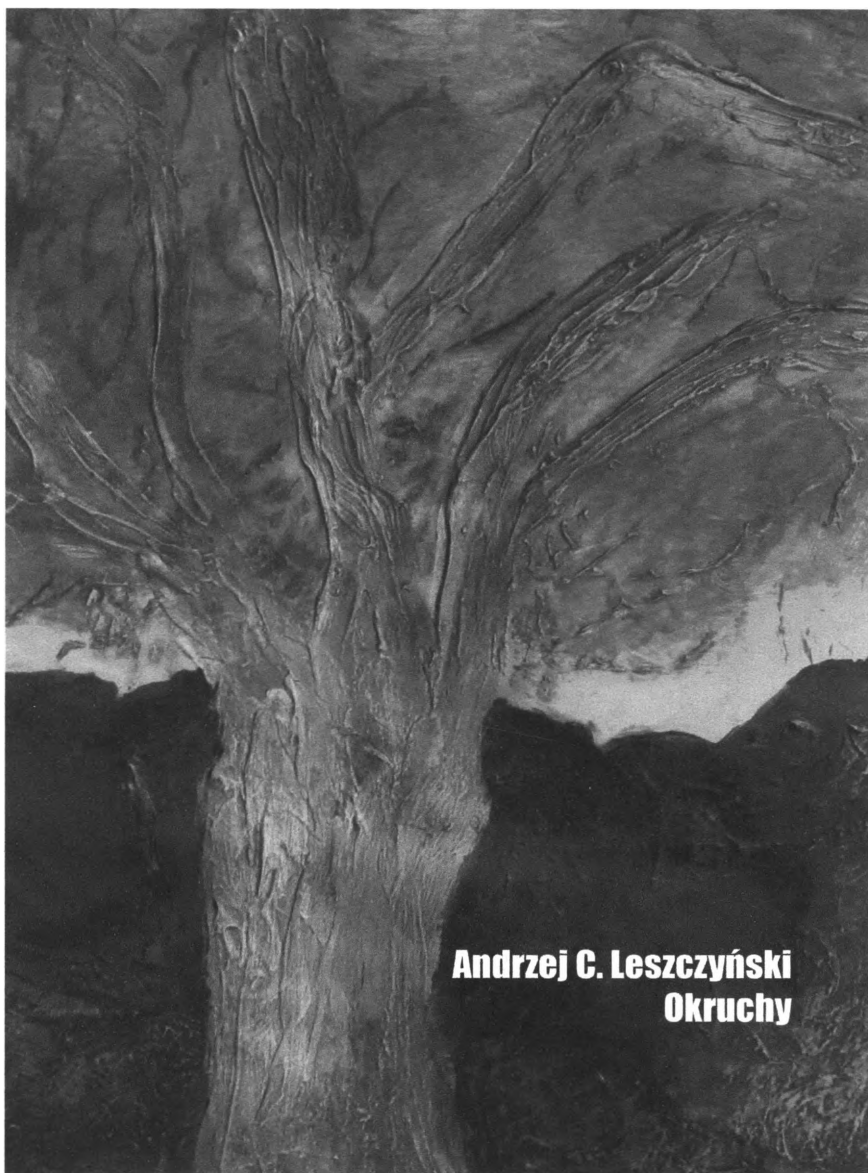
OSACZONY BOHATER

Publikacje można zamawiać na

provincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

Biblioteka Kwartalnika Prowincja



Publikacje można zamawiać na
prowincja@onet.pl
Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

Biblioteka Kwartalnika Prowincja

**SIERAKOWSCY Z WAPLEWA
HISTORIE MYŚLIWSKIE**

Adam Langowski



Publikacje można zamawiać na

provincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

Biblioteka Kwartalnika Prowincja

PIOTR PODLEWSKI

ŻYWOTY ZMARŁYCH

PLYTY NAGROBNE NA POWIŚLU XIV–XVIII W.



PENETRACJE PO POWIŚLU

Publikacje można zamawiać na

prowincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

